NA ZŁAMANIE KARKU

ADOLF DYGASIŃSKI

DZIEŁA

PIERWSZE WYDANIE ZBIOROWE

TANIE

W OPRACOWANIU
WŁADYSŁAWA WOLERTA

Z PRZEDMOWĄ
Prof. AL. BRÜCKNERA

ORAZ
Z ŻYCIORYSEM NAPISANYM PRZEZ CÓRKĘ AUTORA

POWIEŚCI

IX

NA ZŁAMANIE KARKU

B. Rończkowski

ADOLF DYGASIŃSKI

NA ZŁAMANIE KARKU

POWIEŚĆ

TOM I

Pamiętaj

ten znak

NAKŁADEM „BIBLJOTEKI GROSZOWEJ"
Warszawa, Moniuszki 11. Telefon 190-93.

Wszelkie prawa, co do tłumaczeń i przeróbek, zastrzeżone.
Przedruki, nieuprawnione przez wydawcę, wzbronione.

106407

Polska Drukarnia w Białymstoku, Sp. Akc., Warszawska 59a.

ROZDZIAŁ I

Maryna Grzędzianka i jej zalotnicy. — Agent.

Chałupa starej Grzędziny w Rokitnicy stała blisko karczmy, więc nic dziwnego, że się tam uwijało pełno ludzi, szczególniej też wieczorem, a w dzień świąteczny—zaraz po południu. Jaki taki szedł do karczmy na wódkę, a inny z karczmy właśnie wyszedł, spotykają się, przystają, dalej gwarzyć o tem i o owem. Czasami spora gromadka ludzi wystawała bądź pod karczmą, bądź pod chałupą Grzędziny—wszystko jedno.

Nie sama karczma była powodem takich zebrań: Grzędzina miała córkę Marynę, dziewuchę—czyste malowanie; około niej kręcili się różni parobcy. Do zalotników miała zaś Maryna ogromne szczęście; niech jeno mimo niej przeszedł jaki młody, a ona do niego parę słów zamówiła, już się taki dziwnie przywiązywał i lgnął do dziewuchy.

Nie mówiąc o rozmaitych wiejskich parobkach, pisarz prowentowy u dworu, pisarek, co pisarzowi gminnemu pomagał w kancelarji, a nawet syn dziedzica Rokitnicy—precz robili słodkie oczy do Maryny.

Ona się z nikim nie wiązała słowem, nie obiecywała, że pójdzie zamąż za tego czy za drugiego, ale lubiła mieć koło siebie kilku umizgan-

tów. Zwyczajnie, służyła we dworze przy pannach za pokojową, nabrała tam min i przywykła do strojów; umiała tak jakoś osobliwie nosić się i szczerzyć zęby, że zwabiała ku sobie kawalerów. Baby, jako też dziewki ze wsi powiadały:

— Ona koniecznie musi mieć jakiś magnes i przez to tak ściąga zalotników.

Uwijał się koło Maryny Wicek Strzała, fornal dworski, który chciał z nią iść do ożenku; ale ten dostał odprawę: nie chciała go Grzędzianka, bo strasznie zezował i miał takie dzioby, jakby mu kto tatarkę posiał na gębie, a prócz tego wszyscy powiadali, że Wicek był najduchem. Sama Grzędzina miała się raz odezwać:

— Nie chcę takiego zięcia, co przy żadnym kościele niema, jak należy, jego metryki.

Strzała się dowiedział o takich gadaniach, wziął to do serca i nieraz potem przyciął okrutnie Marynie czy jej matce.

Miejsce Strzały przy Grzędziance zaraz zajął Walek Kuc, syn gospodarski, chłopak śmigły i gładki. Ten zalecał się przedtem do Jagny Głodzikowszczanki; ale kiedy poznał Marynę, porzucił Jagnę, choć już był z nią po zrękowinach.

Oprócz tego, myśleli o Grzędziance inni jeszcze, a żaden się tak w niej nie rozmiłował, jak ojciec Jagny, Marcin Głodzikowski, wdowiec, chłop już przeszło pięćdziesięcioletni i z pięciorgiem dzieci po pierwszej babie. Miał on w Rokitnicy ośm mórg gruntu, trzymał parę szkap, cztery krowy i całe jego gospodarstwo było w porządku.

Po śmierci żony Marcin zaczął trochę zapijać i w karczmie zwykle każdemu dowodził, że mu teraz baba w chałupie koniecznie potrzebna, bo sobie z małemi dziećmi rady dać nie może. Niejeden mu mówił:

— Naco wam druga kobieta? Dajcie sobie po-

kój, kiedyście się jednej pozbyli, drugaby was pewnikiem do grobu wpędziła!

Wtedy Marcin na ochotę wypijał nowy kubek, ściskał się ze sąsiadami, a wykrzykiwał:

— Ej, muszę mieć babę, Panie święty! Co, druga mię do grobu wpędzi?... Kto to może wiedzieć, co będzie?...

Raz dobrze podchmielony, prosto z karczmy poszedł do chałupy Grzędziny i zaczął się do drzwi dobijać:

— Otwórzcie—wołał—otwórzcie mi, jeśli Boga macie w sercu!

— Maryna—mówi stara—słyszysz ty, Głodzikowski się dobija, idźże otworzyć, nie trza go zrażać!... Dla ciebie los... gospodarz taki.

— Cóż ja staremu dziadowi drzwi będę w nocy otwierała? Nie może on to po dniu zajść do chałupy?

Ale Marcin walił coraz mocniej we drzwi, a skamlał, żeby mu otworzono. Musiała się Maryna nareszcie zwlec z posłania, rozpalić łuczywo i drzwi otworzyć.

— Licho was—powiada—po nocy nosi, tłuczecie się nikiej Marek po piekle i spać ludziom nie dajecie!

— Oj, Maryś moja, Maryś, toć ja przez ciebie ani dospać, ani dojeść nie mogę!...

Wszedł do izby, zaraz staje przed Grzędziną, składa ręce, jak do pacierza, i mówi:

— Dajcie mi swoją Marysię, bo inaczej to mię co złego trafi.

Spostrzegły obie kobiety zaraz, że z pijanym mają do czynienia, tak go łagodzą, jak mogą, proszą siedzieć na ławie, a on się precz przed niemi wywnętrza:

— Wszystko, co mam, to na Marynę pójdzie; wolno mi rozporządzać swoją pracą!... W kance-

larji u wójta zeznam, jak się należy, przysięgnę przed Bogiem w Trójcy Świętej Jedynym, a niech ją mam w swojej chałupie! Umrę, nie umrę. kto to może wiedzieć, co będzie!

— Dobrze, dobrze—rzeknie Maryna—ino idźcie do chałupy, wyśpijcie się dzisiaj, a jutro urządziewa wszystko, jak należy.

Uspokoiły baby starego i wyprawiły go od siebie. On zaś szedł przez wieś, po drodze się zataczał i o Marynie ciągle pośpiewywał. Wrócił do domu, to pobudził dzieci, opowiadał im, że od jutra będą miały matkę, że jej powinny słuchać lepiej, niż rodzonej. Najstarsza jego córka Jagna miała już dziewiętnaście lat skończonych i chciałaby była sama wyjść za chłopa, więc gdy posłyszała, co ojciec mówi, żachnęła się zaraz z gniewem, ile że zła była na Marynę o swego zalotnika, Walka Kuca.

— Oj, niestatku—powiada—coście wy za tatuś taki, macochę chcecie rodzonym dzieciom do chałupy wprowadzić!... Nic z tego!

Marcin zaraz wpadł w złość, dał Jagnie dobrze za plecy, inne dzieci też pobił, tak że wszystkie do bielutkiego dnia beczały na posłaniu.

Grzędzina, zwyczajnie, jako matka, rada byłaby teraz wydać zamąż córkę; ale Maryna precz odmawiała.

— A czy mi to pilno, czy mi lata już przeszły, czy mi źle w chałupie? Jak sobie którego upodobam, to z nim do ołtarza pójdę.—Tak się odzywała.

— Ej, ty, wietrznico jedna, nie przebieraj!—powiada matka.—Szczęście twoje może przeminąć i potem pies koło ciebie ogonem nie pokręci.

— Dajcie pokój, matusiu, mnie się panieństwo nie przejadło—rzecze Maryna.

— Gdzie ci się miało przejeść, kiedy a to cią-

gniesz za sobą bandę zalotników. Powiadam ci, że to nie potrwa, miej rozum!

Przekomarzały się tak matka z córką, a zalotnicy coraz nowi przybywali i przybywali. Bałamuctwa i mitręgi w robocie było z tej przyczyny nieraz sporo.

Jednego dnia na przypołudniu zagadała się Maryna z Walkiem Kucem i nie wypuściła z obory krowy, kiedy gromadzkie bydło pędzono przez wieś na pastwisko. Spostrzegła się, było późno i musiała potem sama przepędzić Smolichę daleko, aż pod gaj.

Wraca ona stamtąd do domu, narwała sobie po drodze kwiatków, umaiła niemi głowę i zaczęła wyśpiewywać. Spojrzy naraz, a tu idzie jakiś człowiek, niestary, niemłody, porządnie przyodziany, więcej podobny do szlachcica, niż do chłopa.

— Niech będzie pochwalony! — zamówił on pierwszy.

— Na wieki wieków—amen.

— A skądże to panienka?

— Skądżeby jak nie z za góry, z Rokitnicy.

— O, w Rokitnicy jest dużo zasobnych gospodarzy, ale jest też dosyć i bezrolnych, takich, co głodu często gęsto zaznać muszą, a zawsze im bardzo ciężko przychodzi czarny kawałek chleba!

— Juści prawda—odrzecze dziewczyna—jeno co na to począć, ale mnie to wszystko równo, w chałupie u nas, Bogu dzięki, jeszcze nie ostatnio: jest krowina, para wieprzków, po ojcu się też zostało będzie ze dwie morgi gruntu niezgorszego.

— Dwie morgi gruntu, mój Boże! I panienka powiada, że to nie ostatnio? Przecie kobieta taka, jak łania, mogłaby być panią całą gębą! Na jaką nie dwie morgi gruntu, bo i dwie włóki mało. Jedna krowa, para prosiąt, co to za majątek!

Podług urody, coby się jej niejedna szlachcianka powstydzić mogła, powinno być kilka włók gruntu, krów ze dwadzieścia, porządne wozy, bryczka, koni z dziesięć...

— Jakby było, to dobrze, ale kiej niema, trzeba się smakiem obejść.

— A poco się smakiem obchodzić, kiedy to wszystko być może? Trzeba tylko, żeby panienka chciała.

— Żebym ja chciała? Mocny Boże, a cóżbym nie miała chcieć? Tylo skąd wezmę?

— No, to powiadam panience, że dosyć rękę wyciągnąć i wziąć.

— Co mię też pan po próżnu mani!

— Nie manię, nie manię, jak mi Bóg miły! Wielkie dla panienki szczęście, że oto spotkała takiego, jak ja, człowieka.

— A skądże też Pan Bóg prowadzi?

— Oho, zdaleka, zdaleka! Polak jestem, katolik, z tych stron pochodzę; ale od dwudziestu lat osiadłem w jednym takim kraju, gdzie w ziemi złoto leży, diamenty, tylko się po nie schylić trzeba. Dobrze mi teraz i przychodzę swoim rodakom powiedzieć, żeby tam po chleb poszli. W owym kraju nikt nie jada kartofli... wszyscy pijają kawę; nie jedzą chleba czarnego, tylko ciasto światłe, jak słońce; tam się ma ryż, cukier, rodzynki taniej, aniżeli tutaj bób; tam niema żadnych chłopów... wszyscy są sobie równi panowie; tam nigdy nikomu nie jest zimno, bo ludzie mają wieczną wiosnę... Raj był w tym kraju, kiedy Pan Bóg stworzył Adama i Ewę.

— Święty Boże, gdzie też jest kraj taki?

— Jakbyś panienka chciała zostać wielką panią w tym kraju, to ja tam mogę wysłać, powiedzieć, co trzeba zrobić, żeby szczęśliwie dojechać.

— Bogaćbym nie chciała, jeno pan pewnie tak kusi dla żartu, a ja głupia gotowam uwierzyć.

— Dla swojego szczęścia i dla szczęścia swej rodziny powinnaś mi uwierzyć!—zawołał podróżny.— Bóg ci los wielki zsyła, trzeba go szanować!

Ten człowiek mówił tak jakoś poważnie, że w Marynie aż serce zadrżało, jakby się wzruszyła w kościele na kazaniu. Spojrzała pokornie na nieznajomego, myślała, że to chyba jaki prorok, a on tak dalej mówił:

— Pan Bóg chce, żeby wszyscy ludzie byli szczęśliwi; ale ludzie są głupi i Boga nie słuchają. Niejeden zapaprze się w nędzy i ani pomyśli, że mógłby dobremi końmi jeździć, a chodzi piechotą, że mógłby mieć cienką koszulę, świecące buty, a chodzi w zgrzebnem płótnie i boso. O, w Polsce takich głupich jest dużo!

Tak się rozwodził ów wędrowiec i Maryna ani spostrzegła, że z nim zaszła w szczere pole między wzgórzami. Dopiero tutaj on się obejrzał wkoło, stanął i mówił w te słowa:

— Jest kraj, co się nazywa Brazylja, kraj bardzo bogaty; ziemi tam tyle, że gdyby nią wszystkich polskich chłopów obdzielić, to każdy byłby jeszcze bogatszy od najbogatszego tutaj szlachcica. Do onej Brazylji nielada kto zajedzie, bo mało kto wie, gdzie ona leży. Tacy dostaną najlepsze grunta, rozbiorą najpiękniejsze lasy i w dodatku dostaną największe zapomogi, żeby się zagospodarowali... Co ja mam z panną długo mówić? Daję tu oto taki dokument, w którym wszystko jest dokładnie opisane. Ktoby jeszcze i temu nie uwierzył, może napisać list do miasta Lizbony w Portugalji, do jednego pana Santosa, konsula z Brazylji, a dowie się już wszystkiego. Ja nie jestem z tych, co to lud bałamucą, ja chcę tylko, żeby biednym było na świecie dobrze, żeby wszyst-

ko szło podług nauki Jezusa Chrystusa, za nas ukrzyżowanego.

Mówiąc te słowa, nieznajomy zdjął kapelusz na znak uszanowania dla religji, co też Marynę za serce chwyciło. Potem wydobył on z zanadrza pakę papierów, odłączył z nich jeden arkusz żółty i zadrukowany, a dając go Marynie do rąk, rzekł:

— Niechże ci to, moja panienko, przetłumaczy kto znajomy na polskie, bo mnie mogłabyś nie wierzyć, a nawet nie chcę, żebyś wierzyła; ty sama powinnaś się o prawdzie przekonać własnemi oczyma.

Skoro to powiedział ów nieznajomy człowiek, ukłonił się Marynie grzecznie kapeluszem i poszedł w stronę Rypina.

Maryna została w polu sama z kawałkiem tego żółtego papieru, czarno zadrukowanego. Nie umiała ona czytać, więc się i przekonać nie mogła, o co chodzi.

Siadła sobie na miedzy, patrzyła na ów papier, myślała o czemś przez czas jakiś; potem się nagle porwała, złożyła papier porządnie, schowała go w zanadrze i co żywo do wsi biegła.

ROZDZIAŁ II

Żółty list i narady chłopów.

Jeszcze tego samego dnia pod wieczór, to pod karczmą, to około chałupy Grzędziny, wystawali różni ludzie i gwarzyli, a najwięcej było młodzieży. Maryna też zrobiła w domu, co do niej należało, choć ta nie była bardzo robotna, i wyszła przed chałupę. Nasłuchiwała rozmowy innych, a swoją drogą świerzbiał ją język, żeby o tym szczęśliwym kraju opowiedzieć: czekała jeno dobrej pory. Zgadało się jakoś akurat, że parobcy poczęli wyrzekać na ciężką służbę we dworze i u gospodarzy rokitnickich, na dużą a ciężką robotę, na lichą płacę i całe złe utrzymanie. Tylko jeden Wicek śmiał się ze skarg owych:

— Ostatnie durnie—powiada—chłopy takie, co przed babami się żalą, kiedy im się źle dzieje. A cóż na to baba poradzić może? Każda z nich, jak dostanie chłopa, na jego ręce patrzy i jeszcze biedy przysparza.

— Nie mów tak, Wicek — rzeknie Maryna—bo możeby się znalazła baba, coby poradziła na biedę.

— Rajcuj, któż ci broni! — powiada Wicek.— Ale ja tam nie wierzę w babskie rady.

Jak też temi słowy podbił szczęśliwie Marynie bębenka, dopiero ona rozpuściła język i dowodzić zaczęła:

— A wiecie wy, że tylko głupiemu bieda—mówi—bo jest na świecie kraj taki, gdzie cię człowiek nie spracuje jak wół, a swoje zawsze dostanie?

— Jużci może i jest, tylo go pierwej trza znaleźć!—odrzekł Wicek ze śmiechem.—Ja zaś takich krajów nie będę szukał, bobym z głodu zdechł, zanimbym je znalazł; swojej roboty muszę pilnować, a nie, to mi jeść nie dadzą.

— No, a kiej wam o takim kraju powiem, to co będzie za to?

— Cóż ma być?—rzeknie Wicek.—Jak znasz, powiedzieć musisz, bo coby kraj znaczył, gdyby był dla samych bab, a chłopów w nim brakowało?

Roześmiali się parobcy na te słowa, Maryna zaś mówić zaczęła znowu:

— Widzicie, jest na świecie jedna taka Bryzolja, co tam ludziom rozdają grunta i wszystko, a ten tylko bogaczem nie zostanie w onym kraju, który się uprze i sam nie zechce.

— Pleć baje, kiedy ci widno!—zawołał Wicek.—Gdzie znowu ma być jaka Bryzolja? Kto słyszał kiedy o takim kraju?

— Będę plotła!—powiada Maryna.—A jak mię nie usłuchają jedni, to usłuchają drudzy! Głupi nikogo nie posłucha, wiadome rzeczy, ale mądry może zmiarkować...

— Wicek, toć się nie swarz, nie wadź Marynie! Niech ona wypowie wszystko! — mówi na to Walek Kuc.

Ponadchodzili też inni, którzy szli ku karczmie, i przystanęli, nasłuchując tych swarów. Tak starszy jakiś chłop zawołał:

— Nie pytaj, Maryna, powiedz wszystko, co wiesz o tym kraju!

Dziewusze też tej zachęty jeno brakowało; zaczęła dopiero rozkładać rękoma, a dowodzić tak i tak; rozpowiedziała akuratnie wszystko, co jej

tamten nieznajomy mówił był w polu. Skoro skończyła, dobyła z zanadrza żółty papier i pokazała go ludziom.

— Psiakość jakiś zamysłowaty ten szlachcic, kiedy on się z babą wdał w rozmowę, a nie poszedł do chłopa!—rzekł znowu Wicek, pokpiwając.

— Cicho bądź, Wicek, nie bałamuć! — odzywa się starszy już chłop, Mikołaj Dąbek, który uważnie słuchał Maryny.

— Cóż tu w mroku takim dojdzie kto z onego papieru?—powiada znowu Matus Dzwonko, gospodarz rolny z Rokitnicy.—Pójdźwa a to do karczmy, niech nam dziewka przy świetle pokażę, ki to djabeł!

— A juści, do karczmy, do karczmy!—nawoływali inni i całą ciżbą do karczmy się wtłoczyli.

Biorą ten papier do światła, patrzą, ale tylko jeden Dąbek umiał trochę czytać drukowane: przyglądał się, przyglądał długo, inni myśleli, że sobie pocichu odczytywał, a on po jakiejś chwili potrząsnął głową i powiada:

— Po frajcusku jacy czyli też po żydowsku musi być drukowane, bo dojść nie mogę; rozumby mi się na nic pomieszał, jakbym tego chciał dochodzić. Litery, bo litery, rychtycznie polskie, tylo krętanina tu taka, jakby kto umyślnie na psotę ludziom ni to, ni owo nagryzmolił.

Szynkarz też rokitnicki był co niebądź czytelny, ale i on powiedział, że jest jakaś osobliwa dziwność w tym druku. Tak on, jak Dąbek, przeczytali jeno—„*Amerika, Brasilien*".

— Musi to nie po polskiemu — powiada szynkarz—sam organista chybaby nie pojął.

— Żeby to nie był tylko figiel jakowy—rzeknie Matus Dzwonko—to się znajdzie we dworze czy w mieście taki, co wyrozumie one kulasy.

— Pisarzowi gminnemu zaniesta, to mu za czy-

tanie zapłacita, a on obełga, przeczyta, co mu się podobał—rzekł ze śmiechem Wicek.

— Do naszego dwora zanosić też tego papiera nie można—powiedział Dąbek—bo dwór nieżyczliwy dla chłopów, toby jeszcze zdradził albo co takiego...

— Trzeba z tem iść do miasta koniecznie, do adwokata Bajczyńskiego!—zawołał Dzwonko.

— Bajczyński zedrzeł—powiedział któryś.

— Zedrze, jeno swoje akuratnie zrobi!—odrzekł Dzwonko.

— Do miasta, do miasta!—wykrzykiwali wszyscy.

Nazajutrz w całej Rokitnicy precz po chłopach o tem tylko rozmawiano, że Maryna Grzędzianka dostała jakieś osobliwe pismo o rozdawaniu gruntów, tylo nikt nie może zrozumieć, po jakiemu to pisane.

— Wietrznica taka, to się Bóg wie z kim zadaje, mogli jej umyślnie jaką sztukę podsunąć—mówiła jedna baba do drugiej.

— Jednego ona to za sobą wodzi? — odrzekła druga—Głodzikowski, nie przymierzający, staruch taki, rozum już całkiem w głowie stracił, dzieci swoje i wszystko przez nią marnuje.

— A wiecie wy—powiada inna znowu—żem ja kiedyś o zmroku widziała tego pisarka z kancelarji, jak właził przez płot do sadu Grzędzinej... Pocóż on tam zachodził? Juści mu się śliwek nie zachciało.

— Żeby to jeno tyle!—zawołała jeszcze któraś inna. — Ja oto kiedyś widziałam, jak Grzędzianka publicznie zęby szczerzyła do młodego dziedzica, a on wyjął coś z kieszeni i dał jej na rękę...

— Nicpotem jedna! Kto weźmie takiego wiechcia do chałupy, dopiero będzie miał pociechę...

Tak między sobą rozmawiały baby, a rozma-

wiali też o Marynie i chłopi, ale już inaczej: przez to, że się jedni do niej zalecali, a drugim żółty papier ćwieka w łeb zabił. Ci w karczmie, inni przed karczmą, jeszcze inni na drodze, w środku wsi, deliberowali precz o Marynie i o żółtym papierze.

Najgorętsza rozmowa prowadziła się w karczmie.

— W tej Bryzolji duchem musi być grunt do rozdania. Już to tam Marynie dobrze ktoś powiedział, kiedy ona tak dokumentnie dowodzi. Pocóżby miała łgać bez potrzeby?

— Ee, gdzie znowu! Choćby chciała, toby takich rzeczy nie potrafiła wymyślić!...

— Kiej Maryna mówi, to musi być święta prawda! — wykrzykiwał Marcin Głodzikowski, który się już na czas upił i sąsiadów pokolei obcałowywał.—Kto to może wiedzieć, co będzie?... Jak Bóg na niebie, Maryna musi być moją babą! Do Bryzolji czy kaj indziej, wszędzie z nią pojadę, tak mi panie Boże dopomóż!

— Słuchajcie-no--odzywa się Matus Dzwonko —tak rozprawiać w karczmie, to do niczego! Tu trzeba koniecznie, żeby kto należycie wyrozumiał ów ten żółty papier i nam wytłumaczył. W Rokitnicy takiego człowieka nie znajdziewa, więc zabierzwa Marynę i jedźwa do miasta zaraz dzisiaj.

— A po co z Maryną?—odzywa się jakaś baba.—Nie może ona to, psianoga, oddać wam tego papieru? Chłopi, nie dziewki czy baby, z papierami muszą mieć do czynienia!

— Ale gdzieby miała papier taki oddać! Dali jej samej do rąk, to nie popuści! — rzekł któryś chłop.

— Głupiaby była, żeby popuściła, kiedy to może być majątek! Taki papier, to jak pieniądz...

— Marcinie—powiada Matus—załóżcie do wo-

żu swoje konie i zajeżdżajcie tu przed karczmę! Nas pięciu i Maryna szósta pojedziewa do miasta.

— Kto to wie, co być może?... Z Maryną na skraj świata pojadę!—zawołał Głodzikowski, całując Matusa w same usta.

— No, pójdźcie, pójdźcie. Pomogę wam konie założyć; niech się raz cała ta historja wyświeci. Jeno pamiętajta, że jak przyjdzie co do czego, to myśwa tu pierwsi byli, cośwa sposób obmyślili!— zawołał Dzwonko.

— A jakże, jakże, my pierwsi! — odezwali się inni chłopi w karczmie.—Ostatnich gruntów w tej Bryzolji my brać nie będziemy.

Teraz Matus wziął pod rękę pijanego Głodzikowskiego i poszedł z nim zaprzęgać konie do wozu.

Pozostali w karczmie chłopi rozprawiali jeszcze bardzo żywo, kiedy z głośnym turkotem i w całym pędzie zajechał wóz Głodzikowskiego. Dzwonko powoził, a Marcin, siedząc na wiązce grochowin, zapadł się na spód wozu i łbem tłukł o półkoszki, to na prawo, to na lewo.

Potrzeba było sprowadzić Marynę, więc Matus poszedł do chałupy Grzędziny. Zaraz w progu spotkał dziewuchę i mówi:

— Maryś, zabieraj ze sobą ten żółty papier, przyodziej się trochę, bo wóz zaprzężony już na ciebie czeka; pojedziewa do miasta. Jak nam Bajczyński nie wyśpiewa, co tu stoi, to kto drugi?

— O rany! a pocóż wy mi też dziewkę z pod ręki zabieracie? — powiada Grzędzina. — Robota w domu!

— Nie skrzeczcie, matka, nie skrzeczcie! — zawołał Matus. — Wola gromadzka taka, i koniec! Jak się co wskóra, to i wam będzie lepiej.

Maryna bo nigdy nie uważała na to, co matka mówi; więc teraz przywdziała na siebie czem prę-

dzej co najlepsze szmaty, włożyła na szyję dwie modre paciorki, zarzuciła na ramiona chustkę i razem z Matusem opuściła chałupę.

Ledwie oboje podeszli przed karczmę, a tu widzą, że Marcin Dąbek szamocą się z Jagną, która koniecznie chciała konie z wozem do chałupy zawrócić i strasznie wywoływała na ojca.

— Poszła precz, głupia ciapo! — krzyknął zboku Dąbek.—Dopóki ojciec żyją i nie zdali na ciebie gospodarstwa, to tu jego rządy, nie twoje!

Powiedział to i odepchnął Jagnę od wozu, a sam zaraz siadł na przodzie, żeby powozić. Maryna usiadła ztyłu, przy niej się usadowił Marcin, a trzej inni chłopi czepili się, gdzie który mógł.

Potem wóz wartko ruszył z przed karczmy drogą ku miasteczku.

ROZDZIAŁ III

Adwokat pokątny.

Na podwodzie Głodzikowskiego Matus wnet przybył do miasta, bo koni nie żałował; mówił, że jedzie po kawalersku. Zajechał przed ładny domek, który się znajdował na samym końcu miasta; tutaj chłopi i Maryna poschodzili z wozu, a potem wszyscy garnęli się ku drzwiom z gmeczkiem. Matus śmiało ujął taśmę od dzwonka i pociągnął. Zaraz też potem w sieni dały się słyszeć czyjeś kroki, skrzypnął klucz w zamku, drzwi się otwarły i na progu stanął człowieczek chudy, jakby go kto wyssał, i niski; niebieskie oczy bystro mu się świeciły, a usta się słodziutko uśmiechały.

— Skądżeśta, moi obywatele? — spytał.

— Nie poznaje mnie to pan adwokat? — rzekł Matus.

Wtedy chudy człowiek stuknął się palcem w czoło, jakby sobie co przypominał, i tak mówił:

— Szelmowska moja pamięć! Cudzych interesów na głowie pełno! Któż wy jesteście, powiedzcie, bom na śmierć zapomniał.

— Toć mnie u pana Sobek Kostrzewa cięgiem podawał na świadka i byłem tutaj będzie więcej, niż dwadzieścia razy.

— Kostrzewa? ten gospodarz z Rokitnicy? Praw-

da, prawda!... Powiedzcież mi, jak się też ma poczciwy Kostrzewa?

— Cóż się ma mieć, kiej już wszystko przeprawował? Jak przewalił ten ostatni proces z Lejzorem, tak już teraz siedzi spokojnie pod kościołem i żyje z Boskiej opatrzności.

— Przewalił, przewalił! Nie słuchał mnie, a mówiłem: nie chodzić do apelacji!... Moi ludzie, kto się procesuje, to tak, jakby w karty grał: albo wygra, albo przegra. Ja nie lubię procesów; ja lubię ludzi godzić tu w domu u siebie, bo niema, jak zgoda! Niech powie ten Kostrzewa, ile razy go Bajczyński od procesu wstrzymał!

— Oo, wiadome rzeczy! — zawołał Matus. — Mnie tego pan Bajczyński nie potrzebuje mówić...

— No, moi kochani, a cóż was tu dziś do mnie sprowadza? Bójcie się Boga, żeby aby nie proces! Bo ja proces w ręce biorę, od tegom adwokat; ale zgóry powiadam: procesu nie lubię. Poco ma być proces, kiedy u mnie polubownie można wszystko załatwić?

— Chwalić Boga, procesu nie mawa — rzecze Matus—jeno chodzi o to, żeby jaki człowiek z głową wytłumaczył nam jedną rzecz taką osobliwą... Maryna, pokażże panu ten papier!

— Aaa, proszę, jaka przystojna panienka!—zawołał Bajczyński, ujrzawszy Marynę, która się wysunęła naprzód.—Na front, panienko, na front. Taki buziak chować się nie powinien.

— Kto może wiedzieć, co będzie?—rzekł Głodzikowski, któremu jeszcze wódka z głowy nie wyszumiała, i nie wiedział, o czem mowa.

Maryna wydobyła z zanadrza żółty papier i podała go Bajczyńskiemu, który założył na nos dwa szkiełka i począł półgłosem czytać:

— *Vereinigte Staaten von Brasilien... Süd-America...*

— Słyszyta? Bryzolja!... Maryna dobrze mówiła. Kto to może wiedzieć, co będzie?—odezwał się Głodzikowski.

— Stulcie oto gębę i słuchajcie pana adwokata!—rzekł z gniewem Matus.

Ale adwokat chłopski mruczał coś pod nosem, mruczał, potem złożył papier na stole, zdjął z nosa szkiełka, otarł je chustką od nosa i rzekł:

— Czegoż wy ludzie ode mnie chcecie? To jest widocznie sprawa portugalska, okólnik, ja jej tu prowadzić nie mogę, a was nie stać na to, żebym na miejsce pojechał i tam papiery przejrzał... Ho, ho, koszta ekstra! Legalizacje, niech Bóg broni!

— Z przeproszeniem pana Bajczyńskiego, nie o to chodzi, żeby jeździć, bo jak będzie trzeba, to my sami taką jazdę zryzykujemy; niech jeno nam pan wyjaśni, co na tym papierze stoi o gruntach chłopskich w Brazylji...

— Więc wy wiecie, o co chodzi?

— A jakże, wiewa, wiewa!—zawołali chłopi.

— Maryna wie najrychtyczniej!—rzekł Głodzikowski.

— Hm, widzicie moi ludzie, dokument napisany w obcym języku. Sprawy takie, nim przyjdą przed adwokata, muszą być przedtem w rękach tłumacza... koszta podwójne: tłumacz bierze honorarjum swoją drogą, adwokat swoją. Czy macie, moi ludzie, fundusze, ażeby prowadzić sprawę w cudzoziemskim języku? Pytam się, bo ja nikogo załapywać nie chcę.

— Jakbyśwa nie mieli, tobyś nas tu pan nie widział!—rzekł butnie Dąbek.

— Bardzo dobrze! Sprawa stoi jasno, bardzo dobrze!

I z temi słowy Bajczyński wziął do rąk ołówek, podkreślał nim wiersze na żółtym papierze i liczył:

— Pięćdziesiąt dwa, a czterdzieści trzy, to pra-

wie sto. Liczmy za każdy wiersz tylko po dziesięć kopiejek dla tłumacza, a po piętnaście dla adwokata, to już mamy dwadzieścia pięć rubli.

Wymówił te ostatnie słowa przeciągle i spoglądał po ludziach.

— Niech będzie i dwadzieścia pięć, żeby jeno wszystko było, jak na dłoni... po polsku! — mówił Matus.

— Tak, tak, po polsku! — zawołał Głodzikowski — po katolicku!

— Oprócz tych dwudziestu pięciu rubli, należy się jeszcze wpisowe, pięć rubli od sprawy, to już przecie każdemu musi być wiadome... No, moi ludzie, i wszystko zgóry, nóżki na stół!

— Toć my się nie targujemy z panem Bajczyńskim!—rzecze Dąbek, a zwróciwszy się do innych chłopów, mówił:

— Dajta, co kto ma przy sobie! Najpierwsza rzecz adwokata zapłacić, a potem się między sobą porachujewa, co na kogo wypadnie.

Chłopi zaraz zaczęli sepłać po kieszeniach i wydobywać papierki. Wnet złożyli trzydzieści rubli, jedna tylko Maryna nie dała ani grosza: ona dawała przecie rzecz najgłówniejszą — dokument na żółtym papierze.

Bajczyński przeliczył pieniądze, schował je do kieszeni, a z twarzy jego wszyscy mogli zaraz poznać, że te pieniądze już dla nich przepadły na wieki. Potem dopiero adwokat zwrócił się do chłopów i powiedział:

— Wyjdźcie sobie na ganek i poczekajcie, dopóki ja nie wrócę z miasta od tłumacza.

Maryna chciała się wyrwać, że żółtego papieru nie może nikomu dać na ręce; ale ją Dzwonko w sam raz powstrzymał:

— Cóż ty, głupia, chcesz? — rzekł. — Adwokat

musi mieć papier taki w ręku, choćby tam nie wiem o jakie krocie chodziło.

— A juści, juści!—zawołał Głodzikowski.—Kto to może wiedzieć, co jeszcze będzie?

Bajczyński, nim odszedł, zbliżył się do Maryny, pogłaskał ją pod brodę i rzekł:

— Dużo macie w Rokitnicy takich urodziwych dziewuch?

— Toć to, proszę pana adwokata, jedna baba do drugiej podobna — odpowiedział Matus.

Całe towarzystwo wyszło teraz na ganek, a Bajczyński z teczką w ręku i z żółtym papierem pobiegł gdzieś w miasto.

Gwarząc o różnych rzeczach i ziewając, czekali w tym ganku dobre dwie godziny, a niektórzy ludzie z miasta, przechodząc tamtędy, pokazywali chłopów palcem i mówili:

— Oho, Bajczyński znowu złapał jakieś ryby!

Nareszcie ukazał się zdaleka już w ulicy i adwokat chłopski, prawie cwałem pędził ku chłopom.

— Ślicznie!—zawołał, stanąwszy w ganku i stuknąwszy laską w ziemię. — Teraz dopiero widzę sprawę waszą jak na dłoni!... Ale, wiecie wy, to musi być sekret, tajemnica! Ja się dla was przed władzą narażam, to nie żarty! Kawałek chleba mogę stracić...

— Sekret okrutny!—powiada Dąbek.—Choćby nam pan Bajczyński nie przykazował, to my i tak pary ze siebie nie wypuścimy...

— No, no, cicho, sza! Dla własnego interesu musicie sekret zachować, żeby wszystko nie klapło. A teraz jeszcze jedna uwaga prawna, wynikająca z kodeksu: jeśli adwokat daje stronie korzyści nadzwyczajne, jeśli uszczęśliwia gromadę ludzi, ich dzieci, wnuki, prawnuki, to byłoby niesprawiedliwem, niemoralnem w najwyższym stopniu, ażeby go ci ludzie lada czem zbyli. Czy rozumiecie?

— Któż to panu adukatowi powiedział, że my go lada czem zbyć chcewa?—mówi Dąbek.—Niech tylko z tym papierem dojdziewa do końca, to wszystko w dubelt zapłaciewa! Nie dziś, to jutro, a zapłaciewa: przecie Rokitnica nie Ukraina...

— Kto to może wiedzieć, co jeszcze będzie?— mruknął Głodzikowski.—Przemówże ty Maryna do pana adukata!...

— Ja ludziom wierzę...—zawołał Bajczyński.— Ja nie taki, jak inni adwokaci... Pamiętajcież, Matusie, i inni tu obecni, do czegoście się zobowiązali względem adwokata, przez wyższe władze zanominowanego! Pamiętajcie, że zobowiązanie ustne w tym razie więcej znaczy niż piśmienne, a jego niedotrzymanie kodeks uważa jako nadużycie dobrej wiary i surowo je karze!

— Niech się pan Bajczyński nie boi! — powiedział Matus, a za nim powtórzyli to samo inni.

Adwokat znowu nałożył na nos szkiełka i czytał z naciskiem:

„Stany Zjednoczone w Brazylji, w południowej Ameryce. Brazylja ma trzynaście miljonów mieszkańców, a przestrzeń jej wynosi 8,337,218 kwadratowych kilometrów, czyli jest to kraj większy, niż Rosja europejska. Macie tam pagórki, lasy a wpobliżu wielkich rzek równiny ze wspaniałemi pastwiskami. Na południu jest dużo prowincyj, które dla umiarkowanego klimatu nadają się do osiedlenia przez Niemców, Polaków i innych. Deszcz pada tam regularnie. Panująca religja jest katolicka, ale wszystkie religje mają swobodę i prawa. Język główny jest portugalski, lecz wolno używać i innego. Moneta jest portugalska: real = 450 rejsów.

„Wolność zupełna. Produkty: kawa, cukier, kukurydza, pszenica, fasola, winogrona i różne owo-

ce. Macie tam bydło, konie, świnie, drób przerozmaity. Wódki w jednym stanie Rio-Janeiro wyrobiono w roku 1886 przeszło 12 miljonów litrów. Wszędzie pełno wybornej ziemi i dziewiczego lasu, gdzie jeszcze nie postała niczyja siekiera. Tak ziemię, jak las, nabywać można za tanie pieniądze, na roczne spłaty i tyle, ile się komu podoba..."

— A co!—wykrzyknął Matus, spoglądając z zadowoleniem po swych towarzyszach. — To tam, Panie święty, muszą dopiero być piękne choice!

Tymczasem Bajczyński odetchnął, odchrząknął kilkakrotnie i rzekł:

— Słuchajcie: teraz idzie to, co dla was najgłówniejsze. Korzyści dla takich, którzy jadą do Brazylji, są następujące: po pierwsze, wolny przejazd z Bremy, Antwerpji, Marsylji aż do Santos lub do Rio de Janeiro; powtóre, wolny przejazd koleją żelazną do Bremy, Antwerpji lub Marsylji; po trzecie, przez cały czas podróży bezpłatne życie, mieszkanie, a także opieka w urządzanych na ten cel hotelach, dopóki emigrant nie przybędzie do obranego przez siebie miejsca. Trzeba też wiedzieć, że ci, którzy jadą do Brazylji, nie są obowiązani zwracać kosztów, lecz zostają wolni, jakgdyby własnemi pieniędzmi zapłacili za drogę.

Nareszcie Bajczyński skończył czytanie wśród podziękowań i wykrzyków radości, poczem rzekł:

— To wszystko pisze do was pan José dos Santos, generalny konsul brazylijski w Lizbonie. Zrobiliście, moi ludzie, dobry interes u adwokata, niech wam Pan Bóg szczęści! Pamiętajcie tylko, żeście ze mną rachunku jeszcze nie załatwili!

— A toć my tu po radę jeszcze nieraz przyjedziewa! — powiedział Matus. — W takiej ważnej sprawie, to mądra głowa ciągiem będzie potrzebna.

ROZDZIAŁ IV

Przygotowania do emigracji.

Trudno sobie wyobrazić, co się teraz działo w Rokitnicy po powrocie chłopów i Maryny z narady od Bajczyńskiego. Niby też to cała owa wyprawa była tajemnicą, a jednak z ust do ust rozeszła się szybko po wsi i poszła na okolicę. Ludzie precz rozmawiali teraz tylko o kraju, gdzie katolikom z Polski dają tyle gruntu, ile go sobie kto życzy; opowiadano, że do Brazylji trzeba długo jechać, ale cała podróż i życie w czasie podróży nic nikogo nie będą kosztowały i ludzie wypoczną.

— Nie przyjęliby tam nawet takiego, coby pojechał swoim kosztem — mówili niektórzy, porwani urokiem odbycia bezpłatnej drogi.

— A jakby go przyjęli, toby mu przedtem zwrócili wszystko, co wydał.

— Szlachty w Bryzolji nie chcą i nie przyjmują — wołał jakiś chłop.

— Im potrzeba czystych chłopów, pobożnego, katolickiego narodu...

Maryna teraz stała się rodzajem arcykapłanki, dzierżącej paladjum brazylijskiego szczęścia, zaś Matus Dzwonko był jej pierwszym ministrem. Od środy do niedzieli wrzało wszystko; aż w niedzielę

ksiądz proboszcz wystąpił z kazaniem, w którem przedstawiał, że są we wsi ludzie nierozsądni, którzy lada komu wierzą, że po całym kraju chodzą oszuści, zwani agentami, i ci rozdają odezwy złudne, obiecujące złote góry, a w gruncie rzeczy bałamucące tylko lud i odwodzące go od uczciwej pracy.

Kazanie przemawiało do rozumu, lecz go nikt z dobrą wiarą nie chciał pojmować.

— Jegomość—mówili — umyślnie tak mówi, bo jak ludzie wyjadą do Bryzolji, to nie będzie kto miał chodzić do kościoła. Ale my tam będziewa mieli inny kościół, i bez księdza się też nie obejdzie, kiedy w Bryzolji są katolicy.

Kiedy jeszcze dziedzic i jego rządca nagadali dworakom służącym, że to wszystko jest fałsz i oszustwo, wtedy nawet Wicek Strzała uwierzył w Bryzolję:

— Skoro tylko dwór odradza, to już trzeba robić przeciwnie; bo oni tam wszyscy radzą zawsze na szkodę chłopską, a na swój własny użytek. Co będzie, to będzie, a do Bryzolji pojadę!

Wszyscy bezrolni, a i rolnych wielu, wybierali się do Brazylji. Jedni chcieli koniecznie dobić się do kawałka własnej ziemi, drudzy sądzili, że jej mogą posiąść znacznie więcej. Kobiety z początku nawoływały mężów do stateczności; ale później zaraziła je także gorączka emigracyjna.

Przeszło miesiąc trwały przygotowania, rozmaite jawne i tajemne narady, posiedzenia u Bajczyńskiego. Nareszcie w ostatnich dniach października, w sobotę zebrała się w karczmie duża gromada ludzi, aby postanowić termin opuszczenia Rokitnicy i obmyślić sposoby odbycia podróży. Matus Dzwonko najlepiej znał odezwę Santosa, umiał ją całą prawie napamięć, więc zabrał głos na zgromadzeniu w karczmie i tak przemawiał:

— Jużeśwa wszystko o tej Bryzolji zgłębili, jak przynależy; różne mądre głowy przemyślały nad ową sprawą. Zwodzenia nijakiego być tu nie może; bo jakby nam gruntów rozdawać nie chcieli, to nie mieliby potrzeby o tem pisać; skoro zaś na piśmie obiecują i do siebie nas wzywają, więc musi być ważne. Kaj jest ona Bryzolja, to jest, a jechać tam trzeba; bez kozery tu do nas nie pisali i nie przysyłali agenta, który Marynie Grzędziance dosadnie wyłożył o tych gruntach. Toć jest na świecie siła przeróżnych narodów, a przecie nam ani Frajcus, ani Niemiec czy Janglik, nic nigdy nie obiecywali i po próżnicy nie zwodzili. Z jednej tylko Bryzolji piszą do nas, musi za wiedzą Ojca Świętego, jako katoliki do katolików, to już tego darmo i na psotę jakowąś nie robią. Wszystko jest odrukowane, jak przynależy. Juścić, kiedy oni mają tylośny kawał ziemi i bogactwo, a narodu im brakuje, to co wart kraj taki? jakoświa jeden w drugiego należyte chrześcijany, więc mamy wiarę na świecie i słyniemy, choć też ta sami o tem nic nie wiewa. Moja rada taka: kto chce szczęścia popróbować, niech się zbiera w drogę! Czasu nie tracić na próżne gadanie, kiedy z gadania nic nie przyjdzie. Boga oto wziąć na pomoc i marsz do Bryzolji!

Po tej przemowie Matusa wszyscy nabrali jeszcze większej chęci i taka już teraz była gorączka wędrowania, żeby jej nikt nie powstrzymał.

— Ale jak tu przejść granicę, kiedy żołnierze pilnują? — odezwał się chłop jakiś.

— Jak?... Juści w nocy, nie we dnie!—zawołał Matus.—Trzeba tak przejść, żeby nikt nie widział. Czy to niema przewodników, co nas przez granicę przeciągną? Sam nieraz do Prus chadzałem.

— No, a czy stamtąd będzie jeszcze daleko?— ktoś znowu pytał.

— Jak się chłop wybiera w daleką drogę, to na początek tylo wie, którędy ma jechać do wsi drugiej, a reszta na końcu języka—odrzeknie Dąbek.—Jak daleko i którędy, powiedzą nam ludzie w Prusach.

— Kto to wie, co jeszcze być może? — rzekł Głodzikowski, drepcąc około Maryny.—Pobierzewa się, Maryś, albo co!...

— To najgorzej, że oto mam dwoje drobiazgu: jedno dwulatek, a drugie kwartału jeszcze nie mal — wołała jedna z bab.

— Dzieciom ta podróż pójdzie na zdrowie! — rzekł Matus. — Pojedziewa przez ciepłe kraje: do nas to idzie zima, a u nich ciągiem lato, mrozu nie znają, to dzieci w takiem cieple będą rosły, aż miło.

— Żebyśta choć nie śpieszyli tak bardzo cały dobytek marnować! Można to gadzinę czy statki jakie wysprzedać na poczekaniu? — powiada inna baba.

— My po dobytek jedziewa do Bryzolji!—odrzekł Dąbek.—Co tutaj mawa, jest niczem w porównaniu z tamtym majątkiem.

— Widzicie, kumo—tłumaczy któraś kobieta—trza nam się duchem śpieszyć, żeby inni jacy w tamtej Bryzolji co najlepszych gruntów nie pozabierali.

Wtem się wyrywa stary, siwy już chłop, Bartłomiej Kobylak; dokoła niego staje kupka ludzi, a on tak przemawia:

— Słuchałem tylko i nie odzywałem się na to, cośta mówili; ale widzę jako jest okrutna chęć na tę Bryzolję między ludźmi: może palec boży wskazuje i daje takie natchnienie. Wybierają się moi sąsiedzi, krewni, przyjaciele, to i ja sam tu nie zostanę. Niech się dzieje wola boża, biorę swoją starą i jadę do Bryzolji!

Na tem zebraniu postanowiono, żeby każdy, kto się puszcza w ową podróż, załatwił wszystkie swoje sprawy w ciągu tygodnia i ażeby w przyszłą sobotę, w dzień poświęcony Matce Boskiej ruszyć ku granicy.

Do przeciwników wyprawy należały teraz tylko dwie kobiety: Jagna, córka Marcina Głodzikowskiego, i Kaśka Dąbkowa, żona Mikołaja. Jagna przeciwiła się z powodu Maryny, która jej już dawniej odbiła zalotnika, Walka Kuca, a teraz znowu ciągnęła do siebie starego ojca. Dąbkowa zasmierała była dalekiej drodze, bo miała aż czworo dzieci; najstarszy chłopak ośmioletni, a piątego się niedługo spodziewała. Mąż na to wszystko nie zważał: postanowił sprzedać parę mórg gruntu, chałupę i całą chudobę—co wziąć, to wziąć, a do Bryzolji koniecznie jechać.

— Oj, psia dusza, ta Maryna — mówiła Jagna do Dąbkowej, mając łzy w oczach.—Poprzewracała tak ludziom we łbach, że w całej Rokitnicy nikt nie ma rozumu!

— Żeby nas tylko Pan Bóg za to nie pokarał!— odrzekła Dąbkowa.

We czwartek każdy z przyszłych emigrantów prowadził na targ krowy, konie, świnie, wynosił resztki zboża, gęsi, kaczki. Jagna zanosiła się od płaczu, ale zabrała z sobą dwoje starszych dzieci, najmłodsze zostawiła pod opieką sąsiadki i poszła do miasta wyprzedać krowy, świnie.

— Muszę iść — mówiła — bo jak mnie tam nie będzie, to tatuś się upije i wszystko zmarnuje.

Zagroda Głodzikowskiego była piękna, co się zowie; rolę sąsiedzi zaraz rozebrali, zapłacili za nią nie drogo, ale i nie tanio; krowy i trzodę chlewną sprzedała Jagna bardzo dobrze, tylko na koniach porządnie orznęli Marcina.

Od tego jarmarku do soboty, nikt z emigran-

tów już nic nie robił. Wicek i inni parobcy porzucili służbę dworską, włóczyli się po wsi, kurzyli papierosy, pili wódkę i piwo, grali w karty albo rajcowali.

Stara Grzędzina zupełnie uwierzyła w swoją córkę; posprzedawała docna wszystko, co miała, zbyła chałupę, kawałek roli, gadzinę, oddała Marynie pieniądze i sama była gotowa do drogi już w piątek rano.

Nadeszła wreszcie owa sobota i już zaraz po południu zaczęli się ludzie wynosić z Rokitnicy. Stary Kobylak ze swoją babą uklęknął pod krzyżem, co go był przed piętnastu laty ufundował przy drodze; modlili się oboje i płakali dobrą godzinę, a potem wstali i poszli za innymi.

We dworze rokitnickim nie pozostał ani jeden parobek, a dziewki również rzuciły służbę i poszły na emigrację.

Matus wyznaczył na punkt zborny ostatnią wieś przed granicą pruską; znał on tam różnych przemytników i miał się z nimi ułożyć o cenę za przeprowadzenie do Prus całej gromady. Zgodził dwóch takich po dwa ruble od każdej dorosłej osoby.

Pod wieczór zaczęli się zbierać ci emigranci z Rokitnicy — dorosłych było głów czterdzieści, a dzieci drugie tyle. Około godziny jedenastej, w ciemną noc z soboty na niedzielę, ruszyli z przewodnikiem ku granicy poprzez pola i rozmaite wertepy. Ale potrzeba było ciszy jak największej, żeby strażnicy graniczni nic nie posłyszeli, a tu małe dzieciaki na rękach matek popłakiwały sobie w najlepsze. Dalejże im zatykać usta to piersią, to szmatą jaką. I tak szli, słowa nie mówiąc jedno do drugiego.

ROZDZIAŁ V

Za granicami kraju.

Już dochodzili granicy, kiedy się rozległ głos strażnika; nikt nań nie odpowiedział. Puścili się już, gdzie kogo oczy poniosą, i gnali naprzełaj; ale się rozproszyli w tej ucieczce i strażnicy pojmali najstarszego syna Marcina — chłopaka czternastoletniego, jako też dziewuchę jedną, która straciła siły i padła na ziemię. Reszta do Prus przeszła.

Rozbici na małe gromadki, biegli różnemi drogami, a jedni o drugich nie wiedzieli. Głodzikowski, jego dzieci, Wicek Strzała, Maryna z matką, Dąbek z żoną i z dziećmi wpadli na pole i ogrody jakiegoś Niemca, który ze służbą, z psami, uderzył na nich i bił niemiłosiernie każdego, kto mu pod rękę popadł. Właśnie Głodzikowski wlazł na tego Prusaka i o mało życia nie stracił, tyle oberwał kijów; na szczęście wpadł w jakiś rów głęboki, przyczaił się tam w błocie, a potem chyłkiem zmykał, jak mógł najżwawiej. Nie tak łatwo poradził sobie ten Niemiec z Wickiem: chłop go porwał za bary, odebrał mu kij, ogrzmocił, skopał nogami, starzał w błocie i poszedł dalej. Najgorsze padło na Dąbkową: biedna kobiecina była brzemienna i ledwie się wlokła, niosąc na ręku

małego chłopca, którego zawinęła w poduszkę, żeby nie zmarł. Gdy ją tam w polu dopadły dwa psy onego Prusaka i poczęły szarpać za spódnicę, ona, w ogromnym rozgardjaszu, wypuściła dzieciaka z poduszki i nie spostrzegła tego zrazu. Maryna i jej matka przeszły lekką nogą, spokojnie, ile że Walek Kuc niósł ich tobołki.

Nareszcie, poturbowani i zbiedzeni, poczęli się nawoływać, gromadzić: brakowało pięciorga.

Dąbkowa teraz w łament, zanosiła się od płaczu i łkania; skleła najprzód swojego chłopa od ostatnich, potem się rwała do Maryny i bić ją chciała; ale chłopi zasłonili przed napaścią dziewuchę. Nasłuchała się tam Grzędzianka przekleństw i pomstowania od rozżalonej matki! Powtarzać tego trudno. Jagna też dołożyła swoje, jako straciła brata.

Na tym pierwszym wypoczynku, oprócz Matusa i Wicka, wszyscy jakoś posmutnieli. Znaleźli gospodę, najęli sobie izbę i jaki taki pokładał się, żeby wypocząć, a potem ruszyć do Brodnicy, najbliższej pruskiej stacji kolei żelaznej, gdzie Matus obiecywał wszystkim, że niezawodnie spotkają agenta z Brazolji. Niektórzy się posilili, inni odmawiali pacierz, a w godzinę po przybyciu wszyscy już spali, jak kamienie.

Kiedy się zbudzili, spostrzegli, że między nimi nie było Dąbkowej. Jagna zaraz wyjaśniła, jako Mikołajowa poszła odszukać uronionego chłopca.

Zrobiło się markotno ludziom, bo co tu począć?

W drogę należało się czem prędzej puszczać, a znowu trudno kobietę tak samą jedną rzucić w cudzym kraju. Dąbek wziął kij w rękę i poszedł za babą; ale już w parę godzin wrócił, mówiąc:

— Gdzie tu szukać wiatru w polu? Bóg wie,

gdzie ona dziecko upuściła, Bóg wie, gdzie je znajdzie!... Na dobrą sprawę, tom powinien z dziećmi tutaj zostać i na Kaśkę czekać. Oj, dobrze ona mówiła, że ta Bryzolja może nam się dać we znaki!

Tak mówił i złem okiem spojrzał na Marynę, która sobie grzebieniem rozczesywała włosy czarne, długie aż do pasa.

Ale kiedy wszyscy z popasu ruszali w drogę, Dąbek też zabrał resztę dzieci i poszedł razem z innymi ku Brodnicy.

Zawczasu jeszcze przyszli na stację i Matus miał parę godzin wolnych, żeby się wypytać o agenta z Bryzolji, co ma ludzi przewozić. Posługacze kolejowi, którzy tam mówili po polsku, nic nie wiedzieli o żadnym takim agencie, wzruszali tylko ramionami, opowiadali, że z Polski dużo narodu emigruje codziennie, i zapytywali Matusa, przez co się to dzieje. On im nie umiał odpowiedzieć, bo sam nie wiedział dobrze. Jednego się Matus dowiedział od owych posługaczy, że kto chce jechać do Berlina czy do Bremy, emigrant, nie emigrant, musi bilet w kasie kupić i gotówką za niego zapłacić.

Niezadługo też na stację w Brodnicy przybyła inna gromada emigrantów, którzy zaczęli opowiadać o swoich przygodach przy przejściu granicy.

— Zawsze lepiej — rzekł Matus—jak nas swoich więcej w kupie! Jeno to mi dziwno, że tego agenta nigdzie niema i za drogę płacić każą, a co innego przyobiecywali na piśmie.

Nie było innej rady, należało wykupić bilety czwartej klasy na przejazd koleją żelazną. Pokazało się teraz, że niektórzy z emigrantów nie mieli grosza przy duszy, bo jak im obiecywano, że podróż i życie będą mieli darmo, więc na to

rachowali. Powybierały się w tę drogę chłopaki lekkoduchy takie po lat siedemnaście, ośmnaście, co to o niczem nie pomyślało.

Cóż było robić? Rada w radę, przyszło się zasobniejszym złożyć i bilety kupić dla tych, co byli bez pieniędzy,

Jedni brali bilety prosto do samej Bremy, drudzy tylko do Berlina, gdyż się spodziewali, że w Berlinie koniecznie musi czekać agent z Bryzolji i ten dalszą podróż ułatwi.

Dąbek ciągle na drogę wyglądał, czy jego Kaśka nie nadbiegnie jeszcze z dzieckiem. Już w wagonie siedział, a głowę za okno wystawiał i upatrywał. Korciło go to, że tak babę porzuca, zwłaszcza gdy dzieci ciągle się go dopytywały:

— Tatusiu, kaj się Matusia zapodzieli?

Pociąg ruszył nareszcie; ale przy wsiadaniu do wagonów emigranci z Rokitnicy tak się rozdzielili i pomieszali z innymi, że razem znaleźli się tylko: Grzędzina z Maryną, Głodzikowski i jego dzieci, Matus Dzwonko z rodziną swoją i Dąbek z dziećmi. Trzeba wiedzieć, że w takim wagonie jednym było czterdzieści kilka osób. Wszystko emigranci polscy.

Z początku nikt nic nie mówił, jeno się ludzie przyglądali jedni drugim. Aż tu jakiś chłop, bardzo stary, w granatowym kaftanie, zdjął z głowy kapelusz, uklęknął przy swoim tłomoczku, przeżegnał się i zaczął głośno odmawiać „Ojcze nasz, Zdrowaś Marja, Wierzę w Boga i Dziesięcioro przykazań". Nikt słowa rzec nie śmiał, kiedy się ten starzec modlił. Dopiero, kiedy skończył pacierze, odwraca się on do ludzi i powiada:

— Jedziemy, ale jeden Bóg Najwyższy wie, dokąd i poco!... I ja jadę położyć stare kości między obcymi. Syn się uparł, ja mu pozwolić nie chciałem; zmówili się oboje z matką i mnie

odjechali, syn, jedynak. Zostałem się sam jeden na świecie! Czy to wyżyć człowiek tak może? Wlokę się za nimi; ale mi ta droga nie pachnie, ani nie pachnie!

Te słowa starego chłopa, przeszły jakby mrowiem wszystkich, a on siadł, powiesił sobie różaniec na szyi i po chwili znowu zaczął:

— Ha, nowość ludziom smakuje! Myślą, że jest gdzie na świecie kraj taki, gdzie bez pracy i dolegliwości wyżyć można. Ale tego, moi kochani, nie znajdziecie! Choćby też i był taki kraj szczęśliwy i tacy bezrobotni ludzie, cóżby to wszystko było warte? Ja się napracowałem, zrobiłem majątek, chciałem go zostawić dziecku, a dziecko mnie z majątkiem zostawiło... Żona z nim poszła, bo matka woli syna, niż starego męża. Teraz mi się dusza rwie do nich, rady sobie dać nie mogę. Sprzedałem wszystko, zmarnowałem swoją krwawą pracę i sam lecę za tym owczym pędem. Ośmdziesiąt pięć lat, jak obszył, skończę dziewiątego grudnia i jak warjat uciekam ze wsi, gdzie mój ojciec, dziad, pradziad, położyli kości! Niech Bóg ciężko skarze tych, co tak naród wyprowadzają od nas z kraju i rozganiają het, na złamanie karku!

— No, a jeżeli też tam ludziom będzie lepiej? jeśli dostaną grunta, zapomogę na gospodarstwo?...—odzywa się Matus.

— Człowieku, człowieku!—zawołał starzec. — Jesteś, widzę, już w statecznym wieku, masz kobietę, dzieci, tobyś powinien zrozumieć, że jeżeli chłopu co darmo dają, jeżeli go na skraj świata poto ciągną, to ona darowizna musi być taka, że jej już nikt wziąć nie chce. Mogą oto potrzebować chłopskich rąk do pracy, mogą za to lada czem zapychać gębę, byle człowiek z głodu nie umarł; ale prosty rozum mówi, co nic darmo nie dadzą, nie dadzą, jak Bóg na niebie!...

— Kto ta może wiedzieć, co jeszcze będzie?— rzekł Głodzikowski.

— Nędza będzie, płacz i zgrzytanie zębów! — zawołał stary.

Matus zwiesił głowę na piersi, słowa starca wydawały mu się teraz taką prostą prawdą, że był zły w duszy na siebie, iż sam w Rokitnicy na tę myśl nie wpadł.

Jagna słuchała starego z całą uwagą i ze złością spoglądała na Marynę. Dąbek, który myślał, że już kara boża na niego spada za tę emigrację, skoro mu zginęła baba i dziecko, westchnął ciężko i rzekł:

— Święte są słowa tego człowieka! Że też to w naszej wsi nikt tak nie umiał ludziom do rozumu przemówić!...

— Choćby i przemówił, tobyście go nie byli posłuchali!—powiedział starzec.—Powiadam wam, że nasz naród jest akurat taki, jak owce; jeden wpadnie w ogień, wszyscy za nim idą. W swojej wsi dosyć ja się nagadałem: tłumaczyłem im, wykładałem, prosiłem, czy mię usłuchało choć jedno? Czy mię rodzony syn zrozumiał?

— Słyszysz ty, Maryna, co ten człowiek mówi? Może to i prawda? Aż mię ciarki przechodzą, jak pomyślę, że my tak na zgubę leciewa!—rzekła do córki Grzędzina.

— To czemuście w domu nie zostali? Ja przecie nie napierałam na was, ani nie niewoliła!—odpowiedziała Maryna ze złością.

— Kto ta może wiedzieć, co jeszcze będzie?— odezwał się Głodzikowski.

Zrobiło się w wagonie cicho, zapalono światła, i emigranci, gdzie kto mógł, do snu się pokładali. Matusowa prawą ręką przyciskała do siebie jedno dziecko, lewą — drugie i, kiwając się, drzemała.

Ta kobieta wierzyła w rozum swego męża, mówiła zawsze:

— Musi tak być dobrze, jak Matus powiada.

Dąbek porozkładał troje swoich dzieci na ziemi, poprzykrywał je, choć w wagonie było duszno i parno, a sam na rękach oparł brodę i o czemś się zamyślił. Jagna też poprzytulała do siebie dzieci, namawiała je, żeby spały, poprawiała ciągle to jedno, to drugie, czasem im dawała popić mleka z blaszanki, jeśli które popłakiwało. Głodzikowski rozwalił się na ziemi, miał już trochę w czubie, bo ciągle popijał z flaszki, wyciągnął nogi przed siebie, a głowę oparł o ścianę wagonu i zasnął twardo. Maryna mrużyła oczy, ale nie spała, co chwila poprawiała coś na sobie.

Od czasu do czasu wpadał do wagonu krótki, pękaty konduktor, uśmiechał się poufale do ludzi i pytał po niemiecku:

— *Lebt hier Alles?*

Nikt mu nic nie odpowiadał, bo nie wiedzieli o co chodzi; niektórzy myśleli, że on sobie każe bilety pokazywać, to je przecz dobywali, a on wołał:

— Na, nał—niby, że nie o to chodzi.

ROZDZIAŁ VI

Przygoda Matusa Dzwonko.

Nad ranem dojechali do Berlina, ale tam tyle banhofów, że ludzie nie wiedzieli, gdzie wysiadać, a poradzić się konduktora nie mogli, bo nikt nie rozumiał po niemiecku. Dowieźli ich do ostatniej stacji w Szarlotenburgu i konduktor zaraz zaczął wypraszać z wagonów bez ceremonji, wołając: *Weg, weg, Alles weg!* Co znaczyło, żeby się wynosili. Wysypała się ogromna gromada ludzi i poczęto zaganiać, jak bydło, do jednych drzwi. Jakiś kulawy sługa kolejowy razem z policjantem spędzili to mnóstwo ludzi w jedno miejsce, potem otwarli drzwi i kazali emigrantom iść za sobą. Co tam był za ścisk, niech Pan Bóg broni! Popychali się, bili kułakami, dzieci beczały, inni ludzie klęli, wrzeszczeli. Pędziło to po schodach nadół do ogromnej izby, wyznaczonej na czekanie i wypoczynek dla emigrantów — *Wartesaal für Auswanderer*. W tym nadzwyczajnym rwetesie stara Grzędzina upadła na ziemię, a ludzie, jak bydło, walili przez nią i deptali starowinę. Zaczęła wrzeszczeć wniebogłosy, aż policjant przypadł i ledwie ją wydobył z tłoku pogniecioną.

W tej wielkiej izbie stał ogromny piec żelazny, palił się w nim ogień; wielu się do niego rzu-

ciło, bo zziębli przez drogę; a byli i tacy, co mieli przy sobie kartofle i zaraz je piec poczęli w ogniu. Smutno wyglądała owa wielka izba, ile że mało w niej było światła.

Jak się tylko cokolwiek uciszyło, zaraz ten stary chłop w granatowym kaftanie, co to w wagonie bił tak na emigrację, począł na głos śpiewać: „Kto się w opiekę poda Panu swemu". Niektórzy też za nim śpiewali zcicha.

Trudno się tu było przespać, bo hałasowali, chodzili, inni dobyli flaszek z wódką i popijali; Bóg wie, jakie narody tam się zebrały: Żydzi i Słowaki z Węgier, Czesi, Polacy z pod Tarnowa, Rzeszowa, Cieszyna, nasi z różnych gubernij. Przychodzili też tam jacyś panowie już nad ranem, zapytywali o coś; ale tylko ci z nimi rozmawiali, co umieli po niemiecku. Osobliwie jeden taki przyszedł z trzciną w ręku, w wysokim czarnym kapeluszu; zaraz się do niego podsunął Matus, bo sobie myślał, że to musi być agent z Bryzolji. Ale cóż Matus mówi do niego po polsku, a on tylko — *was, was?* A no, znalazł się jakiś rzemieślnik z Białegostoku i zaczął z tym panem szwargotać. Nikt nie rozumiał o czem mówili, jeno on pan wydobył z kieszeni jedną, drugą garść kartek i rozdawał je każdemu, kto wyciągnął rękę. Wyrywali sobie ludzie takie kartki: myśleli, że co ważnego, a na kartce stało tylko napisane: — *Bremen, Hotel Stadt Warschau*, u dołu zaś: „Po przyjeździe do Bremen, trzeba na banhofie głośno wołać:—Rosengarten! dopóki kto nie przybędzie". Matus pochwycił aż dwie kartki i obie schował w zanadrze. Potem poszedł do owego rzemieślnika i pyta, jakie znaczenie mają te kartki.

— Jak nie wiecie, gdzie w Bremie się obrócić —powiada rzemieślnik—to u tego Rosengartena znajdziecie gospodę—stół i stancję.

— Czy on to ludziom darmo daje?

— Tego nie wiem—odpowiada rzemieślnik — ale chyba za pieniądze, bo gdzieby wam kto darmo jeść dawał.

— A nie wie pan, czy tu jest jaki agent z Bryzolji?

— Nie, takiego nie spotkałem.

I to jeszcze Matusa nie zraziło.

— Muszę ja—powiada on sobie—puścić się na przeszpiegi, bo to mi się nie mieści w głowie, żeby z tą Bryzolją miała być zdrada; agenci jacyś koniecznie tu gdzieś czekać na nas muszą.

Już było rano dobrze po ósmej godzinie, kiedy Matus Dzwonko wyszedł z izby emigranckiej, stanął sobie naboku, rozgląda się, patrzy w stronę jednej ulicy i potem ruszył naprzód kilkanaście kroków, obejrzał się i znowu poszedł dalej jeszcze: przyglądał się wysokim, bardzo pięknym domom. Naraz ktoś go trącił w ramię i spytał po polsku:

— A z których to stron ojciec.

Nie wiedział chłop, czy ma powiedzieć prawdę, tak się przygląda temu, co go zaczepił, widzi, że człowiek należycie przyodziany, ma nawet złotą dewizkę przy zegarku, a z oczu mu dobrze patrzy.

— Oj, ja zdaleka, mój panie!—mówi Matus.

— Skądże przecie? Ja znam całe Królestwo dobrze.

— Toć z pod Rypina.

— Oho, z pod Rypina? To moje rodzinne strony!... A jakże wy się nazywacie?

— Matus Dzwonko.

— Jeżeli się udajecie na emigrację, nazywajcie się Mateusz Dzwonkowski—rozumiecie? Tak lepiej pasuje dla porządnego emigranta.

— Mnie to wszystko równo—odrzeknie Matus

—niektórzy to mnie i w Rokitnicy Dzwonkowskim mianowali.

— Mój gospodarzu—mówi znowu ten nieznajomy—ja od piętnastu lat żyję miedzy Niemcami, bardzo mi przyjemnie spotkać rodaka—Polaka.

— Ja też, proszę łaski pana, kiedy posłyszę tutaj, że kto po naszemu mówi, to tak, jakby mnie po sercu pogłaskał.

— Zróbże mi przyjemność, kochany rodaku — rzeknie ów człowiek—pójdź wypić ze mną szklankę piwa!

Matus się zgodził. Poszli ze sto kroków dalej i wstąpili do jakiejś gospody, gdzie im zaraz podano piwo w bardzo wysokich szklankach. Siedzą i piją, a gwarzą.

— Powiedzcież mi teraz, moi kochani, dokąd to tak jedziecie?

— Ha, wybraliśwa się do Bryzolji, gdzie pono chłopom grunta rozdają, a jakby kto gruntu nie chciał, to tam i tak obstoi, bo będzie miał tęgi zarobek.

— Do Brazylji? Dobrze robicie, bo to kraj ogromnie bogaty. Ho, ho, Brazylja—to nie to, co Polska!

Zrobiło się Matusowi raźniej na te słowa i począł przed nieznajomym szczerzej jeszcze otwierać swoją duszę.

— Widzi pan—mówił—ja się z nikim nie mogę rozmówić i przez to mi tak trudno w drodze. Mówi kto obcy do mnie, ja otwieram tylko gębę i patrzę, a mówię ja do człowieka, to on jeno głową kiwa. Pewnikiem tu jest gdzie agent z Bryzolji, jeno ja się o niego nie dowiem, a choćbym się i dowiedział, co mu powiem, kiedy on też pewnie po naszemu nie zrozumie.

— Agent z Brazylji musi być, rozumie się! Ja wam go znajdę i przyprowadzę tam na banhof, za-

nim odjedziecie. Niema się z tem co śpieszyć, bo pociąg do Bremy odchodzi dopiero około pierwszej: więc wypijemy jeszcze piwa, przyjacielu Mateuszu!

Wypili coś po cztery szklanice, trącali się ze sobą, a ten jakiś powiada, że podług niemieckiego zwyczaju sznapsa się pija po piwie. Wzięli się oni do sznapsa, do konjaku takiego; wypili po jednym, drugim kieliszku i dalejże się ściskać, bo pili na przyjaźń. Naściskali się dowoli, nacałowali; ale Matus był naczczo, niewyspany, zdrożony, tak mu to picie nie poszło na zdrowie, jeno go całkiem z nóg ścięło. Plątał mu się już wkońcu język tak bardzo, że nikt nie rozumiał, co chłop mówi.

Nareszcie ten nieznajomy się żegna i powiada:

— Mój Dzwonkowski, idźże teraz na banhof i czekaj, a ja tam sprowadzę tego agenta z Brazylji! Za piwo i konjak płacić nie trzeba, bo ja już rachunek zaspokoiłem. Skoro ten poszedł, więc i Matus nie miał tu już co robić. Cóż kiedy się na ulicy nie mógł pomiarkować, która droga prowadzi do banhofu.

Pyta jednego, pyta drugiego — nanic, oni ruszają ramionami i idą dalej.

— Jezus, Marja, Józefie święty!—mówi Matus sam do siebie.—W takim kraju człowiek zginąć może, jak mucha.

Biedził się, łaził i znowu przyszedł do tej samej gospody, gdzie przed chwilą pił piwo i konjak z owym rodakiem. Stanął, drapie się w głowę, a o mało nie zapłacze z desperacji. Pytają go, o co chodzi, ale wszystko po niemiecku. Tak on już zaczyna na migi pokazywać: nadął gębę i brzucha, że niby na kolei żelaznej para tak bucha, a rękami precz pokazywał, jako mu jechać należy i wołał: „—Bryma, Bryma!"

Niemcy się tam z niego uśmieli, jeno zrozumieli nareszcie o co chłopu chodzi. Zaraz mu sprowadzili jakiegoś człowieka i Matus za nim poszedł. Jeno się zawinęli i już byli na banhofie, aż się Dzwonko zdziwił, że tak blisko, a trafić nie mógł. Dał temu przewodnikowi za fatygę trojaka, albo, jak Niemcy mówią, dziesięć fenigów. Przetrzeźwiał też już teraz nieco i przyszło mu na myśl, żeby się obmacać, czy ma pod koszulą torbę z papierowemi pieniędzmi. Aż oniemiał, bo torby nie było; pomacał się lepiej raz, drugi i trzeci—niema. Rany Boskie! toć to majątek cały, co go wywiózł z kraju!... Cicho się Matus sprawiał w swojem strapieniu, bo uważał, że w takiem zbiegowisku niema co lamentu podnosić. Zaraz się puścił, pobiegł tą samą drogą, którą przyszedł, upatruje, czy gdzie nie leży jego zguba. Wszedł znowu do gospody, w której pił, pokazuje, że zgubił pieniądze; otoczyli go, wypytują, zrozumieli, o co idzie, pokazują mu na migi, że go musiał okraść ten nieznajomy, co mu fundował piwo i sznapsa.

Ha, stracił przeszło trzysta rubli, bo za tyle kupił marek u Żyda w Brodnicy, a złotem i srebrem miał jeszcze w kieszeni z jakie pięćdziesiąt rubli pruskich pieniędzy. O mało mu się teraz co dziwnego nie stało. Co uszedł kilka kroków, to przystawał, szukał około siebie — w cholewach i wszędzie. Przetrząsał na sobie odzież—nie znalazł. Zgryzł się, zmartwił, aż zzieleniał, chwiał się na nogach. Idzie blady taki, jak trup, i spotyka po drodze Grzędziankę; ona się wyelegantowała, szła tak spacerem, a w ręku trzymała piernik, co jej go kupił Walek Kuc, i chrupała.

Stanęła, bo chciała widać z Matusem pogadać i pyta:

— Gdzież wy się, Matusie, podziewacie od samego rana?

Dzwonko nic zrazu nie odpowiedział, tylko się zatrzymał chwilę i spojrzał na dziewczynę takiemi strasznemi oczyma, jakby ją chciał nawskroś przewiercić, a potem ze złością okrutną warknął:

— Bodajeś się ty była nie urodziła na świat, małpo jedna!

Strapiło to Marynę, jako jej jeszcze nikt w życiu nie powiedział takiego złego słowa. O mało nie upuściła z ręki tego piernika, co go trzymała i jadła, ale zniosła to srogie przekleństwo i poszła dalej.

Właśnie też zaczęto ludzi nawoływać, żeby wsiadali; Matus miał już bilet do Bremy dla siebie i dla swoich, więc już pobiegł tylko do baby, krzyknął na nią, żeby się zbierała z dziećmi, zabrał różne pakunki i usadowił się z rodziną swoją, jak mógł. O zgubionych pieniądzach słówka nikomu nie pisnął, tylko się truł sam w sobie.

ROZDZIAŁ VII

Od Berlina do Bremy.

Rosiadali w wagonach różnie, ale w jednym wagonie znaleźli się razem: Grzędzina z Maryną, Głodzikowski z Jagną i resztą dzieci, Walek Kuc, a inni byli obcy ludzie z różnych gubernij naszego kraju. Matka Maryny od tego podeptania w Szarlotenburgu ciągle stękała, narzekała na ból w głowie, na kłucie w piersiach.

— Pewnie ja nie dojadę do tego miejsca, gdzieśmy się wybrali! — mówiła. — Maryś, poślijże też choć na mszę świętą za moją duszę do księdza w Rokitnicy.

Ale Maryna jak mruk siedziała przy matce na zawiniątku z pościelą i nic się nie odzywała.

Asystował jej Walek, zagadywał to i owo — nic mu nie odpowiadała, ścięła jeno usta, jak martwa. Siedział też po drugiej stronie przy niej Głodzikowki, czuć było od niego gorzałkę, tak Grzędzianka odwracała głowę, a on się od czasu do czasu przysuwał ku niej i mówił:

— Kto ta wie, co jeszcze być może?

A nie, to się jej pytał:

— Cóżeś ty, Maryś, tak skiepściała?

I potem wydobywał z kieszeni kapoty flaszkę, podawał ją Grzędziance: — „Posmakuj — rzecze-

bo dobra, miętowa..."—Dziewczyna odpychała jego rękę, wtedy sobie wkładał szyjkę flaszki w usta i łyknął kilka razy — splunął, schował butelkę i usypiał.

Jagna też z rodzeństwem swojem siedziała na tobołku z pościelą, jeno od Maryny ciągle odwracała głowę, a jak na nią czasem spojrzała, to gorzej jaszczurki. Parno i duszno tam było w wagonie; dzieci napierały się wody, a Jagnie nijako było wyjść, kiedy pociąg przystawał, tak trąca ona ojca i powiada:

— Moglibyście skoczyć i przynieść dzieciom wody.

— Co im tam po wodzie! — rzecze Głodzikowski...—Daj im oto po odrobinie wódki! — Mówiąc to, podał Jagnie flaszkę; ale dziewucha nie przyjęła. Łyknął dobrze sam, aż się zakrztusił, potem wyciągnął przed siebie obie nogi, oparł głowę o ścianę wagonu i zaczął ogromnie chrapać. Spoglądali na niego ci obcy ludzie, uważali, że się upił, i jaki taki robił sobie z chłopa pośmiewisko. Korciło to Jagnę, że ojciec przez swoje pijaństwo śmiech w ludziach budzi, więc sobie jedną ręką przysłoniła oczy i zapłakała w cichości. Nikt tam tego nie uważał, jeno Walek spostrzegł jakoś płacz dziewuchy. Tchnęło go to do żywa, tak na jednej stacji pochwycił blaszankę, wybiegł z wagonu i przyniósł dzieciom Głodzikowskiego wody.

Nie spodziewała się po nim Jagna takiej uczynności, bo od tego czasu, jak ją rzucił dla Maryny, tak byli ze sobą, jakby się całkiem nie znali, chociaż ona zawsze dla niego miała serce, ile że się jej żaden inny zalotnik nie nastręczył. Powiedziała mu za tę wodę:—„Bóg zapłać"—i zaraz też poczęli ze sobą gwarzyć.

— Czy ty wiesz, kaj my jedziewa? — pyta się go ona.

— Skąd mam wiedzieć? Pono po grunta do jakiejść Bryzolji; alem, prawdę mówiąc, nigdy nie zrozumiał, kto to daje i gdzie jest ta Bryzolja. Juści jadę, bo inni jadą.

— To akurat i ja tak samo! — odrzekła Jagna, a potem cichym głosem mówiła:—Tatuś oto zmarnowali całe gospodarstwo, sami nie wiedzą, co robią i dokąd się wloką... Oj, jeśli tak nieboszczka matusia patrzy z nieba na to, co się dzieje, dopiero jej się musi serce krajać! — Z temi słowy Jagna ciężko westchnęła.

Nie wiedział Walek, co ma rzec na te żale dziewczyny, tak zagaduje:

—Będziewa ponoś jechali przez morze, a dwa dni w tej drodze wrząca woda będzie aż kipiała, jeno nam się nic nie stanie, bo znowu zgóry deszcz się zimny poleje...

— Miłosierdzie pańskie! A czyś ty kiedy widział morze?

— Gdzie znowu. Tyla od jednego oryla słyszałem, że morze jest za jakiemś Gdańskiem.

— Wszyscy jesteśwa, nie przymierzający, jak ślepi.

— Juści prawdę powiadasz.

— Mówię ci szczerze, gdyby nie te sieroty małe, co potrzebują opieki, toby tu noga moja nie postała, niechby sobie tatuś sam pojechał! Ale matusia konała już, a zapowiadała mi:—„Pamiętaj, Jagna, o najmniejszych dzieciach, bądź dla nich matką!"

W tej chwili właśnie Głodzikowski nabok się przewracał, bo mu źle było spać, i flaszka z gorzałką jakoś mu się z kieszeni wysunęła na ziemię. W wagonie śmiech z tego powstał i różne docinki, żarty daly się słyszeć ze śpiącego pijaka. Markotno się zrobiło Jagnie, poskoczyła ze swego tobołka, chwyciła flaszkę z wódką i wyrzuciła za okno.

Maryna kiedy spostrzegła, że Walek coś o nią ani pyta, tylko od niejakiego czasu do Jagny się garnie, zaczęła się wiercieć na siedzeniu, bo jej to było nie na rękę. Chciała go do siebie zwabić na rozmowę; udawała, że jej potrzeba wody, to znowu, że chorej matce chce posłanie dobre urządzić. Ale on ani spojrzał na te zabiegi, nie pomógł jej, jeno precz z Jagną rozmawiał:

— Co też tam moi robią teraz w Rokitnicy?— powiada. — Tatusiowi tom się nawet nie opowiedział, tylkom matusi wyznał i było jej okrutnie markotno, że się puszczam w taką drogę.

— Wiesz ty, że mnie dziwno, poco ty jedziesz?—mówi Jagna.—Czy tobie potrzeba gruntu? Jedynak jesteś u ojców, po najdłuższem swem życiu zdadzą ci piękne gospodarstwo, a tam niewiadomo, co kogo czeka... Niektórzy ludzie źle wróżą o tej Bryzolji.

Walek, chcąc nie chcąc, rzucił okiem na Marynę, bo juści za nią on, nie za żadnym gruntem gonił tak po świecie; może mu ta obiecała, że za niego pójdzie w Bryzolji. Jak się teraz zastanowił nad sobą, to mu dziwno było, że z ojcowskiego domu uciekł jak złodziej; zdawało mu się nawet, co dla Maryny nie ma już teraz takiego serca, jak przedtem; pomyślał sobie, że na żonę Jagna była lepsza dla niego.

— Toć mi do rodziców będzie tęskno—powiada — osobliwie, jeśli tak ciągle będziemy jechali przez obce kraje, gdzie w żaden sposób nie można zmiarkować, co ludzie mówią. Człowiek niemały jakiś, wszystkiego się boi.

Oni tak rozmawiają, a tu stara Grzędzina stęka i prosi, żeby ją kto podniósł na posłaniu, bo jej ciężko oddychać. Zaczęła starą niby to dźwigać Maryna, ale nie szło. Dopiero Walek zabrał się do tego, dźwignął kobietę z legła, podłożył jej

pod plecy poduszkę, tak że mogła wygodnie siedzieć i przestała na bóle wyrzekać.

Jak też szczęśliwie dostał się Walek Grzedziance, tak go już nie popuściła od siebie; umiała mu jakoś spojrzeć w oczy, wyszczerzyć do niego zęby, że całkiem przy niej stajał, jak śnieg w słońcu. Zapomniał o Jagnie, o rodzicach w Rokitnicy, patrzył w Marynę, jak w tęczę, i do niej się zalecał.

Rozmawiają oni sobie oboje, na Jagnę aż ognie biją, bo jej Maryna widocznie znowu odbiła Walka, a tu się obudził Głodzikowski i maca po kieszeniach, szuka flaszki z gorzałką, widzi, że nigdzie niema, tak zapytuje:

— Maryś, czyś to ty psotę mi zrobiła? Powiedz szczerze: schowałaś moją flaszkę z gorzałką?

— Dajcie wy mi spokój z waszą gorzałką! — odrzekła Grzędzianka i aż się skrzywiła na starego. — Nie miałabym też co robić, jeno wam gorzałkę chować! A mnie co do was? Pijcie, nie pijcie — wszystko mi równo.

— Powiedzże, Maryś, powiedz, możeś schowała? — rzeknie Marcin, uśmiechając się do Grzędzianki. Przysunął się do dziewczyny i wpół ją objął rękoma; ale ona go odepchnęła ze złością, mówiąc:

— Idźcie sobie, stary, ode mnie, niech wam się figlów nie zachciewa!

— Stary, ale jary, o jary! — zawołał Głodzikowski i roześmiał się na całe gardło, a potem znowu rzecze: — Jak nie ty, to kto śmiał zabrać moją flaszkę z gorzałką?... Jagna, to ty? mów zaraz, gdzie flaszka!

— Bójcie się Boga, tatusiu, nie róbcież sobie i mnie wstydu!—upominała go dziewucha pocichu.

— A ty zatracona, jedna! — krzyknął Głodzikowski.—Rodzonego ojca będziesz uczyła rozumu?

— I porwał się do córki, ale utknął na jakimś tobołku i padł, jak długi, między kupę dzieci, które się pobudziły, a ze strachu i bólu zaczęły wrzeszczeć.

Rozzłościło to bardziej jeszcze Marcina, podniósł się z ziemi i chciał Jagnę za włosy pochwycić. Zaraz na to poskoczył Walek, wziął wpół Głodzikowskiego, łagodził go słowami:

— Poco wy, Marcinie — powiada — wyrabiacie niepotrzebnie takie brewerje? Toć tutaj obcego narodu pełno i pośmiewisko sobie z was robią!— Musiał już teraz Walek strzec znowu Jagny, bo się stary rwał ciągle i przysięgał, że córkę zbije na kwaśne jabłko.

Przyszło znowu do rozmowy i tak jakiś czas czuł Walek, że mu się Jagna podoba. Są takie parobki, co sami nie wiedzą, którą sobie dziewczynę lepiej upodobali: raz im się ta podoba, a drugi raz inna.

Jak znowu wszedł do wagonu konduktor, spojrzał Głodzikowskiemu ostro w oczy i powiedział:— *Still!* — to się stary uspokoił zupełnie: wtenczas Walek przysiadł się do Maryny i aż do samej Bremy jej się zalecał.

ROZDZIAŁ VIII

Wicek się stawia za gromadę.

Było jasno, jak w dzień, na dworcu kolei w Bremie, kiedy tam przybył pociąg z emigrantami około północy. Konduktor co chwila otwierał drzwiczki któregoś wagonu, wykrzykując: — *Bremen — aussteigen!* — Wysypało się mnóstwo ludzi z dziećmi, z pakunkami w rękach i na plecach; tłoczyło się to, pchało bez żadnego porządku, aż ich znowu służba kolejowa poczęła zaganiać, prowadzić po jakichś schodach to nadół, to do góry. Sprowadzono ich tak na duży plac, gdzie dopiero przystępowali do nich rozmaici ludzie i zapraszali na nocleg do gospód. Niektórzy emigranci pokazywali karty, które podostawali w Berlinie, więc takich zabierano i prowadzono w miasto.

Matus bo nawet nie wydobył dwóch swoich kart, zapomniał o nich, tak go trapiła strata pieniędzy. Na placu została się duża gromada ludzi, a ci, którzy byli z Rokitnicy, skupili się teraz razem. Podchodzi do nich jakiś człowiek i powiada po polsku:

— Chcielibyśta pewnie gdzie przenocować?

— Juścić, po takiej drodze każdy chce jakiego dachu! — odzywa się Wicek Strzała.

— To pójdźcie za mną! — rzeknie tamten. — Zaprowadzę was w dobre miejsce.

On naprzód, a ci za nim maszerowali, jak wojsko. Niedaleko ich prowadził: wszedł do jednego domu do sieni, zapukał tam do drzwi, ktoś wyszedł i słychać było tylko „szur, szur", jakieś szwargotanie.

— Chwała Bogu — powiada Wicek — w tej Brymie mówią widzi niektórzy po polsku.

Potem wprowadzono emigrantów na podwórze, otwarli im jakąś izbę, nasłali tam słomy, siana i zostawili ich samych. Jaki taki poziewał, przeciągał się, padał zaraz na posłanie, jak kloc drzewa. Kto miał rodzinę, zabierał plac na kilkoro i tam się kwaterował, a ci, co byli sami jedni, legnęli po różnych kątach.

Nic dziwnego, że po takich tarapatach od samej granicy każdy się zagrzebał w barłóg i odrazu zasnął twardo, jeno małe dzieci czasem pokrzykiwały.

Zbudzili się, już był biały dzień, a niejednemu dobrze w kiszkach kruczało z głodu, więc czekali, co dalej będzie. Niezadługo też wszedł tam do nich chłopak spory w szpencerku kusym, Niemiec, przyniósł kociołek z gorącą kawą i w koszyku pełno białych garnuszków; za nim przyszła znowu dziewczyna, takoż Niemka, przyniosła kilka bochenków chleba.

Emigranci zaraz zmiarkowali, że to śniadanie, rzucili się na ten kociołek, na chleb, brali, co kto mógł, i jedli zapalczywie. Nadchodzi gospodarz, spostrzegł, że jedni jedzą dużo, a drugim braknie, tak krzyknął: — „pst, pst!"—Nie umiał on po polsku, jeno ludzie i tak zrozumieli, że ten gospodarz chce zrobić podział śniadania. Sam zaczął chleb krajać, nalewać kawę, kolejno rozdawać; zbrakło mu, bo niektórzy po trzy porcje brali, a on się nie mógł spostrzec. Kazał przynieść więcej — znowu rozdał; ale różni precz się

skarżą, że mało. Baby, dzieci — pół biedy, zjadły swoje i nic nie mówią, jeno chłopi strasznie wyrzekają:

— Cóż to znaczy na człowieka trochę tych pomyj i choćby nawet pięć takich kromek chleba, co przez nie świat przejrzeć można! — woła Wicek, a za nim inni.

Stają przed owym gospodarzem i mówią mu:

— Mało Brod, mało kawy! — A na brzuchy pokazują, jako są głodni.

Niemiec się roześmiał, powiada: *„gut, gut!“* Że niby gotów dać więcej, tyla im ręką pokazuje, że trzeba *„bezahlen“*.

Dopiero Wicek otworzył gębę szeroko.

— Kiedyście nas tu sprowadzili, to jeść dajcie, judasze; nie mórzcie narodu głodem, odmieńce jakieś!

Choćby tu i gorzej był naklął, to jakby groch na ścianę rzucał, bo Niemiec wytrzeszczał tylko ślepie i kiwał głową, że nie rozumie. Ale i tak kazał nagotować kawy, a chleba znowu dał do tego. Zjedli, posilili się — niczego.

Przyszedł tam potem ów przewodnik, co ich wczoraj przyprowadził z kolei na gospodę, z ludźmi rozmawiał po naszemu, a z gospodarzem szwargotał. Teraz dopiero Niemiec przyniósł jakąś księgę i powiada przez owego tłumacza, żeby się każdy podał z imienia i nazwiska, bo taki jest tam po gospodach obyczaj, że każdego zapisać trzeba.

Niektórzy się wagowali; ale inni precz mówią, jak się nazywają, skąd są, dokąd wędrują, a kto miał żonę i dzieci, to je też podać musiał. Przychodzi kolej na Wicka, ten się stawia, powiada:

— Cóż mnie mają zapisywać? Czym ja kogo okradł albo spalił? Do mojego nazwiska nic nikomu.

Tak mu ten tłumacz przedstawia po polsku:

— Nie upierajcie się, bo każdego zapisać muszą! Po innych gospodach ludzi takoż spisują.

— A skądżeście wy? — pyta Wicek tłumacza.

— Ja jestem z pod miasta Kola — tamten odrzecze. — Dawniej byłem na robocie w Prusach, jeno mię potem razem z innymi Polakami wypędzili. Jadę takoż do Bryzolji, a przez to sobie co niebądź zarabiam, że mię po gospodach za tłumacza biorą, bo Niemcy z polskim narodem do końca trafić nie mogą.

— Kiedy tak powiadacie, to niechże mię zapiszą: Wincenty Strzała z Rokitnicy, powiatu rypińskiego, fornal dworski! A pamiętajcie sobie, że jakby w tem była jaka zdrada, to was tylko będę patrzał.

Po tym zapisie zapytuje znowu gospodarz, czy oni mają pieniądze.

— Jemu zaś co do tego?—odrzeknie Wicek.— Kto ma, to dla siebie, jemu się nie będzie spowiadał.

— On chce wiedzieć—odrzeknie tłumacz—bo wam przecie daje pomieszczenie w swoim domu i życie, za co mu musicie zapłacić.

— Przoduj nam Wicek, przoduj, staw się za nas! — wołali ludzie.

— Ho, ho, piękna, widzę, ta Bryzolja!... — zawołał Wicek. — Toć nam napróżno przyobiecali, że przejazd i życie będzie za darmo.

— Nie będę tego rozsądzał—powiada ten tłumacz z pod Koła — nas też przyjechała spora gromada i stojewa tu naprzeciwko; ale precz każą płacić po marce i pięć trojaków od głowy. Musieliśwa zgóry za dziesięć dni złożyć pieniądze gospodarzowi, jacy na małe dzieci baczą i dorzucają na nie co niebądź strawy bez płacy, starszemu zaś nikomu nie spardonują.

— Ja nie mam na to! — rzeknie Wicek. — Niech za mnie płaci kto chce, bo ja nie myślę. Czym ja to dlatego rzucił służbę i wieś swoją, żebym miał pieniądze rozrzucać po świecie? Niech sobie znajdą tego, co nas zmanił i z Rokitnicy wyciągnął!

— To was ten gospodarz nie będzie trzymał u siebie.

— A niech nie trzyma, kto go o to prosi? Pocóż nas tu z banhofu ściągnęli? Czy poto, żeby z nas ostatni grosz wyżyłować?

Oberżysta zapytał tłumacza po niemiecku, co Wicek tak dowodzi, a tłumacz wszystko wyłożył.

Niemiec pomyślał i odpowiada, że jakby inni regularnie za wszystko płacili, to on jednemu takiemu, co nic nie ma — niby Wickowi — pofolguje i będzie go na gospodzie za pół ceny trzymał.

— Ani takiej łaski od niego nie potrzebuję! — powiada Wicek. — Skoro mnie w Polsce przyobiecywali, że mam mieć wszystko za darmo, to mi się za darmo należy—inaczejbym tu nie przywędrował.

Nareszcie gospodarz już i na to się godził, żeby Wicek jeden nic nie płacił, byle mu inni płacili półtorej marki od osoby. Ale kiedy emigranci spostrzegli, ze się Wickowi tak gładko udało, to się także do płacenia nie chcieli zobowiązać.

Skoro o tem posłyszał Niemiec, wpadł w złość okrutną i tak trzasnął o stół kałamarzem, że atrament prysnął naokoło po twarzach ludzi. W tym gniewie kazał im powiedzieć, żeby się zaraz od niego wynosili.

— No i cóż wy teraz na to? — mówi Wicek, spoglądając to na Marynę, to na Matusa.—Gdzież te wasze gruszki na wierzbie? Biegaliście, nie

przymierzając, jak koty z pęcherzami, gębowaliście, aż z waszej namowy tyle narodu w świat poszło, widno na zgubę... Teraz wszystko nawierzch wyłazi! I nie ciężko wam na sercu? Wyście się nagadali, Bajczyński nabrał pieniędzy, a ludzie za to wszystko giną!

— Wicek, ty mnie dzisiaj nie wyciągaj na słowo! — rzecze Matus. — Daj ty mi pokój, bom oto srodze strapiony!

— Pewnie sobie myślicie, że was już ludzie w tej Bryzolji nie wybiorą na wójta i przez to wam markotno...

— Daj pokój, człeku, nie pastw się nade mną, bo mnie tu ze wszystkich was najciężej, choć nic nie mówię — odpowiedział Matus.

— Ktoś przecie musi mieć w głowie postanowienie, skoro tacy rajcy, jak Matus i Maryna, podurnieli!—zawołał Wicek.—Jak chcecie, żebym był waszym gąsiorem i wodził was w tej biedzie, to się naprzód wynośta z tej tu gospody! Niemcowi oto ze ślepi aż się ogień sypie, że nie mógł od biednych chłopów wyciągnąć ostatniego grosza.

Ludzie go posłuchali, biorą zaraz tobołki na plecy, dzieci na ręce, wysypali się wszyscy na ulicę za Wickiem, on ich wiedzie, nareszcie przed dworcem kolei żelaznej staje i mówi:

— Tu się zatrzymajwa, trzeba należycie pomyśleć, co dalej poczynać. Wiecie wy, jak nami mają tak wszędzie poniewierać, to sakum pakum i do Rokitnicy lepiej wracać. Żartów niema! Lepiej na swoje śmiecie wrócić o chlebie i wodzie, niż być pośmiewiskiem, a potem z głodu umierać.

Siadają na placu, rozłożyli się, jak banda cyganów, obdarte to-to, czarne od brudu, co na nich porósł. Czekają, co Wicek dalej zrobi, a tu idzie ku nim ów tłumacz z pod Koła, zdaleka kiwnął na Wicka głową, odszedł z nim nabok i powiada:

— Wyście chwat chłop! Dobrze robita, że nie płacicie, powiem wam teraz od siebie, bo ta w Brymie przyjmują niektórych bez żadnej zapłaty. Ja też i moja gromada, co z nią jadę, byliśmy tacy głupi, żeśwa zapłacili za wszystko zgóry, jeno jak się uprzeć i nie płacić, to dadzą darmo wikt, pomieszczenie; pono rząd z Bryzolji za to płaci.

— Dawnoście wy tu w Brymie?

— Już tydzień jeden i trzy dni na drugi, jak siedziewa, a za dwa dni mawa na okręcie odjechać; miałem czas spenetrować niejedno.

— Czemu odrazu nie jedzieta do Bryzolji?

— Bo okręt nie codzień odchodzi, jacy raz, a najwięcej dwa razy w miesiącu. Ja wam, mój Wincenty, radzę szczerze: idźcie na zwiady do księdza, jest tu jeden i drugi katolicki; ale starszy z nich nie umie po polsku mówić, a młody, Czech pono, pojmuje co niebądź. Idźcie, mówię wam, powiedzcie o swojej doli, zawsze wam ci księża co doradzą, jako tego niejeden z naszych na sobie doświadczył.

— Jużci w takiem utrapieniu koniecznie potrzebna rada jakiej mędrszej głowy, kiedy się tyle głupich nazbierało. Ja sobie dam radę, choćby i w takiej Brymie; ale tyle bab z dzieckami, wlecze się to-to na złamanie karku... Pokażcież mi, gdzie ten ksiądz mieszka?

Tłumacz zaraz poprowadził Wicka w jedną ulicę, pokazał mu dom jeden i mówi:

— Pamiętajcie sobie szósty numer w tej ulicy, prawie na samym rogu!

Wicek się już przed swoimi nie opowiadał, co ma robić, jeno im przykazał, żeby tam przed banhofem na niego czekali, bo on idzie w ich sprawie.

ROZDZIAŁ IX

Na gospodzie i w starym bremeńskim banhofie.

Kiedy Strzała w domu pod szóstym numerem zadzwonił, wyszedł do niego najprzód ksiądz taki już dosyć wiekowy, podsiwiały, ubrany w surdut, bo tam księża w sutannach nie chodzą, i przemówił po niemiecku. Wicek odrazu rznie swoją sztukę, gada jak najęty, tylo ksiądz nic nie zrozumiał; uśmiechnął się jacy i mówi:

— *Warten!*

— To pewnikiem znaczy „czekaj" — pomyślał sobie Wicek—bo i w Rokitnicy ekonom nieraz mi mówił: „wartuj!"

Idzie ów ksiądz na piętro po schodach, a woła:

— *Praḃars! Praḃars!*

Widać na drugiego tak wołał, bo wnet potem zeszedł do Wicka młody jeszcze księżyk w okularach, tłuściutki był, okrągły, a ciągle się uśmiechał.

— A co to? — pyta chłopa.

— Proszę jegomości—rzeknie Wicek—jaki taki z pomiędzy nas siedział spokojnie w chałupie, aż tu dopiero zagraniczni jacyś ludzie zaczęli nam nasyłać różne pisma, a obiecywać złote góry. Tak się ludzie złakomili, poporzucali służbę, gospodarstwa, jako im dowodzono, że gdzieś tam w Brzolji podarują grunta i wszystko, a w dodatku

droga i życie nic nikogo nie będą kosztowały. Ale my oto jedziewa i każdy zaś woła na człowieka:— „płać!"—Czy to uczciwie, mój ojcze duchowny, że nas tak oszukali? Przyjechaliśwa tu do samej Brymy precz za płatnemi biletami i na własnym wikcie; powiadali, że tutaj nikt już grosza od nas nie weźmie; tymczasem stanęliśmy w jednej gospodzie, a tam nas siepią, każą płacić po marce i pięć trojaków od osoby. My, naród wszystek biedny, nie mawa na to... Niechże też jegomość wejrzy w tę sprawę i ujmie się za nami biedakami!

— Wy z Polski? — zapytuje ksiądz.

— A jakże, z Polski, katolicy, z nad samej pruskiej granicy.

— Dokąd wy z domu tak uciekacie? Do Ameryki, co? Tam nie będzie wam lepiej!

— Zdurzyli nas, mój jegomość! Tyle ludzi, głowy nie ma gdzie położyć ani gęby czem zapchać; dzieci słabują z niewygody, niewywczasu, poumiera to ta chyba.

— Gdzież wy mieszkacie tutaj w Bremie?

— Nigdzie, nigdzie, boświa się wynieśli od tamtego gospodarza, co nam kazał płacić od głowy takie okrutne pieniądze... Siedziewa oto na placu pod gołem niebem.

— Moi ludzie, za życie trzeba płacić; gospodarz nic nie winien, bo on poto trzyma oberżę, żeby sam miał z niej utrzymanie.

— Dobrze mówić: „płacić", ale jak kto nie ma?

— I bez pieniędzy puszczacie się w taką daleką podróż?

— Może ta jeden, drugi i ma parę złotych, to cóż, zaraz je wydać? A tu pono droga okrutna przed nami; niektórzy powiadają, że do samego Bożego Narodzenia będziemy jechali.

— Oj, wy jesteście bardzo lekkomyślni! — za-

wołał ksiądz.—Trzeba się było przecie mędrszych od siebie zapytać.

— Pytaliśwa, proszę jegomości, byliśwa w mieście u adwokata; ale chłopa każdy obelga.

— Zaprowadźcie mię, człowieku, do swoich; niech zobaczę, jak to wygląda! Może się co poradzi, ale nie wiem, nie wiem.

Ksiądz wziął kapelusz, laskę i poszedł z Wickiem, a po drodze wypytywał o różne rzeczy. Przychodzą na plac, gdzie siedzieli emigranci z Rokitnicy, i ksiądz zaraz wdał się w rozmowę z tym a owym, oglądał dzieci, a głową coś wstrząsał, że niby między tymi ludźmi znalazł ogromną nędzę. Potem się zabrał i poszedł stamtąd.

— Poczekajcie tu na mnie—mówi—dopóki nie wrócę.

Czekali z półtorej godziny i ksiądz znowu przyszedł, ale teraz przyprowadził ze sobą jakiegoś pana, pokazywał mu chore dzieci, baby obdarte i z bosemi nogami, a po niemiecku coś dowodził, rękoma rozkładał. Ów ten pan tylko głową kiwał, nic nie mówił, nareszcie powiedział:

— *Gut!*

— No, pójdźcież teraz, moi ludzie, za nami!— rzeknie ksiądz.

Zaraz się wszyscy ruszyli, idą będzie z wiorstę drogi. Przyszli do jakiegoś ogromnego budynku piętrowego, patrzą, a tam się moc ludzi roi i każdy precz po polsku mówi. Ksiądz z tym panem prowadzą ich przez jakieś izby, gdzie takoż w barłogu leżało pełno ludzi, mówiących po polsku: jedni się na głos modlili, drudzy się jeszcze głośniej swarzyli o coś między sobą, inni spali, rozmawiali, i baby, dzieci—gromada okrutna. Zatrzymują się w jednej sieni i ksiądz rzecze:

— Będziecie tutaj mieszkali; dadzą wam słomy na posłanie, dostaniecie jeść: rano, w południe,

wieczór—i nic za to nie zapłacicie... Ale, moi ludzie, pamiętajcie chodzić do kościoła, modlić się, dopóki tu jesteście, a przed taką daleką podróżą, jaka was jeszcze czeka, powinien się każdy wyspowiadać, przystąpić do Sakramentu.

Wicek wręcz popycha ludzi ku księdzu i mówi:

— Podziękujta jegomości, podziękujta!

Zaraz też różni dopadali, osobliwie baby, i całują księdza po rękach, a proszą, żeby ich nie opuszczał. Już miał ksiądz proboszcz wychodzić stamtąd, ale się jeszcze zawrócił i ogłosił ludziom, że w niedzielę w katolickim kościele w Bremie odprawi wielkie nabożeństwo na ich intencję i że będą mogli śpiewać nabożne pieśni polskie, jakby u siebie w parafji. Potem odszedł, a niektórzy powiadają:

— Dobry człowiek widno z tego księdza, jeno osobliwie jakoś mówi; nie Polak chyba.

— Mówią, że Czech — powiada Wicek — ale ja sobie miarkuję, co Polak też być może, tylo sobie język połamał między Niemcami.

Rozłożyla się tam teraz Rokitnica, gospodarują jak w domu własnym, zaczepiają różnych ludzi, wdają się z nimi w rozmowę; dopiero ci, co dawniej tam już mieszkali, powiadają im, że ten budynek nazywa się starym banhofem, że jest opuszczony, jeno go Niemcy teraz oddali na mieszkanie dla emigrantów z Polski. Wszystkim dziwno było, że tam tyle polskich chłopów: jakie z półtora tysiąca z przerozmaitych stron kraju. Ubiory różności u onego narodu, tylo wszystko brudne, obszarpane, a siła dzieci prawie nago chodziło. I tak się niebardzo smucili: niejeden dobył skrzypków i rznął obertasa od ucha.

Matus Dzwonko też, kiedy spostrzegł, że tyle biedactwa jedzie do Brazylji i nikt się tak dalece

nie frasuje, tak stolgował trochę swemu żalowi o te zgubione pieniądze.

— Jak dobrze tam pójdzie — mówił sobie — to tę stratę prędko odbiję... Żeby w owej Bryzolji było źle, nie ciągnęłoby do niej przecie tyle narodu.

Kiedy oni tak sobie żyją, aż tu jednego dnia ksiądz czy kto inny napisał w gazecie, że polscy emigranci są strasznie biedni ludzie, że im brakuje ubrania, obuwia, a puszcza się to-to w taką daleką drogę. Rozmaici bogaci ludzie wzięli do serca takie pisanie i uważali sobie za punkt honoru, ażeby tym obdartusom dać, co potrzeba. Może przez trzy albo cztery dni znosili i zwozili różną odzież: zebrały się tego duże stosy w kantorze na tym starym banhofie; później zaś poczęto rozdzielać między ludzi owe szmaty. W podziale nie było wielkiej sprawiedliwości, bo się najchciwsi głównie garnęli, a drugi człowiek cichy albo ambitny, choć miał brak wielki, nic nie dostał.

Niejeden się otrząsał i powiadał:

— Cóżem to ja dziad jaki, żebym się cudzemi staremi łachami nakrywał? Niech dają to, co obiecywali; więcej od nich nikt nie potrzebuje!

Wickowi buty z nóg spadały, ale też nie poszedł do kantoru po darowiznę.

— Jałmużną się człowiek nie nakryje—powiadał.

Najwięcej chciwości pokazywał Dąbek: kilka razy chodził do kantoru, precz się podawał za biedaka, brał przyodziewek dla siebie i dla dzieci. Jak się tam spostrzegli i dawać mu już nie chcieli, to poubierał swoje małe w najlichsze szmaty, sam się dziurami nakrył, potem z dzieckami zachodził drogę różnemu państwu, skamlał, żeby go opatrzyli, choć się miał o wiele lepiej od różnych innych.

Dowiaduje się o tem Strzała, strasznie się wzburzył. Wręcz poszedł do Dąbka, powiada mu·

— Zasobny taki człowiek, jak wy, i wstydu żadnego nie macie; przez was oto obcy ludzie nas obnoszą, mówią, że co który z Rokitnicy, to dziadem śmierdzi.

— Idźże ty sobie do stu djabłów! — oburknął się Dąbek. — Cie go, jaki mądrala!

Wicek już nie mógł wytrzymać i plunął mu w gębę.

Maryna znowu, jako elegantka była, o mało sobie oczu nie zerwała do różnych chusteczek, kaftaników, co je tam panie z Bremy poznosiły. Nie prosiła się, żeby jej dali, ale ciągle wystawała a przyglądała się zdaleka i myślała sobie, jako niektóre rzeczy bardzoby dla niej pasowały. Zobaczył ją jeden młody Niemczyk, który dozorował tych rzeczy, spodobała mu się, tak zaraz do niej podszedł i w umizgi. Grzędzianka nie mogła rozumieć, co mówił, jeno pojęła, że mu się spodobała, tak sobie oczy niby też to zakrywa, a patrzy i do młodego się od czasu do czasu uśmiecha. Dobrze na tem wyszła, bo Niemczyk powydobywał niebieskie, czerwone chusteczki, kaftanik śliczny, czarny, ponsowo lamowany, trzewików parę świecących z kokardami i rękawiczki długie, co się zapinały będzie na jakie dziesięć guzików — wszystko oddał do rąk Marynie.

Gładka była, to jak się wystroiła w takie rzeczy, aż miło było na nią spojrzeć; wyglądała nikiej panna dworska; kto przechodził, musiał się obejrzeć raz, drugi, bo w oko wpadała. Idzie ona sobie tak raz wieczorkiem przez drogę, a ten Niemiec z kantoru, jakby czatował na nią, podchodzi i zaczyna się umizgać po niemiecku. On do niej mówi, a ta nic, jeno na niego czasem zerknie, bo przecie nie mogła rozumieć niemieckiej mowy. I tak parę razy przeszli po pustej drodze około starego banhofu. Nareszcie Niemczyków, niewiele

myśląc, obejmuje Marynę za szyję i pocałował ją w usta. Niebardzo mu się sprzeciwiała, nijako jej było przez te podarunki. Usiedli sobie potem oboje na ławce i więcej było całowania, ściskania, niż rozmowy, skoro jedno drugiego rozumieć nie mogło. Aż tu na to wszystko, jakby z pod ziemi, wychodzą niespodziewanie Wicek i Walek, dopiero się Maryna porwała z ławki, bieży co tchu boczną drogą do banhofu: myślała, że jej w ciemności nie poznali. Zanim oni przyszli, Grzędzianka już zrzuciła z siebie owo modne ubranie, zarzuciła na głowę starą chustkę i, jakby nigdy nic, idzie spokojnie, żeby spotkać Wicka z Walkiem.

Ale Strzałę trudno było w pole wywieść: podszedł do niej, roześmiał się na głos i rzecze:

— Jak złodziej co ukradnie, zaraz pędzi na inne miejsce, żeby ludzie powiedzieli, że on nie mógł ukraść...

Rozumie się, takie zdarzenie nie było Walkowi na rękę.

ROZDZIAŁ X

Jak się Walek Kuc pobrał z Jagną.

W starym bremeńskim dworcu kolei żelaznej wychodźcy całemi dniami i wieczorami prowadzili rozmowy, a główny przedmiot stanowiła Brazylja, o której nikt z nich nic a nic nie wiedział. Było to życie próżniackie, nudne, sprzyjające wytwarzaniu się przerozmaitych baśni.

Rozeszła się raz była wieść, że w Brazylji największego poważania używają tacy, którzy przybywają tam z żonami i dziećmi; to przekonanie było powszechne między wychodźcami polskimi.

— Juści samemu parobkowi albo samej jednej dziewce gruntu oni tam dać nie mogą — mówiono — bo do czegoby to było podobne. Trza do obsługi roli mieć potrzebne ręce i w głowie należyty statek.

— Żenić się potrzeba, niema co! — wykrzykiwał Głodzikowski. — Ja, chwalić Boga, dzieci już mam, a kobietę też sobie upatrzyłem!...

Jednakże Wicek Strzała dawał się słyszeć:

— Niechże ją wprzód widzę, że się jest po co schylić, to o żeniaczkę najmniejsza. Przecie jeszcze tego gruntu nie dali i może go znowu tak dadzą, jak bilety na przejazd od granicy do Bremy...

Inni bezżenni precz się rozglądali po dziewuchach i ksiądz Prahars dawał nieraz dwa śluby dziennie wychodźcom polskim. A łatwo było wziąć ślub taki w Bremie; dosyć, żeby państwo młodzi stawili się u księdza z dwoma świadkami. Tem bardziej płci żeńskiej nie zbywało na chęciach tego rodzaju; jaka taka dziewczyna pragnęła gorąco, ażeby z chwilą przybycia do ziemi obiecanej być odrazu gospodynią, panią w swoim domu, w którym, jak mniemała, nie będzie brakowało niczego!

Podobnie myślała i Grzę lzianka. Przewinęło się około niej kilku nowych zalotników, ale jej teraz Walek wszedł w głowę i ułożyła sobie, że on byłby najlepszy na męża, jako potulny, miękki. Co mogła, to robiła, żeby go koniecznie przyciągnąć do siebie. Ile razy się gdzie spotkali, Marynа zaraz naciąga rozmowę na to, że się ludzie tak nagwałt teraz żenią. Niewiele miała trudności z Walkiem. Jak raz tylko przyszło do tego, że ją zaczął całować w usta, tak się potem ułożyli o dzień ślubu.

Było to we czwartek, a w piątek po południu poszli oboje do spowiedzi. Dużo się ludzi spowiadało dnia tego, bo w przyszłym tygodniu mieli już opuścić Bremę, więc każdy chciał zepchnąć z siebie grzechy. Przyszła też wtenczas na spowiedź i Jagna. Wypadło tak jakoś szczegó'nie, że przy konfesjonale po jednej stronie stanął Walek, a Jagna po drugiej; ledwie ona skończyła spowiedź, on już klęczał i bił się w piersi: „Ja, grzeszny, spowiadam się Panu Bogu Wszechmogącemu". Wyspowiadał się, idzie przed wielki ołtarz na pacierz, spojrzy—Jagna klęczy i modli się gorąco, słychać było każdy jej wyraz. Dziwnie mu to jakoś padło na serce. Swoim porządkiem każde poszło do banhofu.

Ksiądz nie mógł dnia tego wyspowiadać wszyst-

kich ludzi; ściemniać się już zaczęło, wychodzi z konfesjonału i powiada:

— Kto dziś nie odbył spowiedzi, niech przyjdzie jutro, bo już niema czasu.

Grzędzianka nie mogła odbyć spowiedzi w piątek.

Nazajutrz Walek poszedł rano na mszę, przyjął Sakrament, wymodlił się, wraca na śniadanie, a tu na drodze stoi Wicek z Matusem i gwarzą. Walek przystanął z nimi na chwilę, chce potem odejść; Wicek zaś nań kiwnął głową i powiada:

— Słuchajno, chciałem ci coś powiedzieć.

— O cóż takiego chodzi?

— Powiadają ludzie, że się masz pobrać z Maryną Grzędzianką, czy to prawda? Mów szczerze, bo mnie przecie wszystko jedno: ja z nią nie będę siedział; jeno ci radzę przez życzliwość — zastanów się!

Niespodzianie tak zagadnięty, drapie się Walek w głowę, nie wie jakoś, co ma odpowiedzieć, a Wicek tak dalej mówi:

— Kiej w Rokitnicy padła na ludzi gorączka do tej emigracji i każdy tylko chciał z domu jak najprędzej uciekać, to się siła zła narobiło; teraz znowu w Bremie inny djabeł bezżennym ludziom spać nie daje. Czy to tak dobrze robić głupstwa bez żadnego pomyślenia? Potrzebne to to, żeby się jeden przez drugiego co tchu żenił? Siaki taki w pośpiechu nie pomyśli nawet, że sobie baby nie dobrał, jeno chwyta pierwszą lepszą, co mu w oczy wpadła. Spytajże się Matusa, jako jest chłop stateczny, czy ja źle mówię?...

— Wicek koli twojemu własnemu użytkowi rai—rzecze Matus.—Maryna gładka na urodę, tyla chłop nie będzie miał z niej pociechy. Do gospodarstwa taka nanic, co jeno dba o strojność, a za każdym się rada oglądać. Czy ona czego w

chałupie porządnie dopilnuje? Jacy ty musisz jej samej dobrze pilnować. Nieprzymierzający, choćby i teraz, toć ona cięgiem do Mikołaja Dąbka szczerzy zęby, a z tobą niby ma iść do ołtarza. Ożenić ci się, człowieku, łatwo, ale się trudniej odżenić! Ty, Walek, osobliwie, coś jak wosk miękki, skoro sobie raz pojmiesz jakiego djabła, to cię będzie całe życie tarmosił. Ja mam babę, do rany ją przyłożyć; nad uszyma mi nigdy nie skrzeczy, żadnej przeciwy w niczem nie zrobi, a powiadamiam szczerze, że samemu lżej na świecie... Lepiej się rozmyśl i daj pokój żeniaczce do czasu!

— Toć się już zaręczyłem—bąknął Walek.

— Łatwiej się uporać po zaręczynach, niż po ślubie!—zawołał Wicek.—Moje zrękowiny też były, a Pan Bóg mię ustrzegł do tego czasu...

— Niechbyś sobie choć dobrał kobietę, jak należy—rzeknie Matus—toby jeszcze było pół biedy; ale Maryna ci nie da ze siebie żadnej wyręki.

Oni tak rozprawiają, a tu idzie z kościoła Jagna, bo tego dnia także przystępowała do Sakramentu; przeszła około nich, powiedziała:—„niech będzie pochwalony...“

— O, ta, Głodzikowszczanka, w sam raz na babę!—powiedział Matus.—Dziewucha poczciwości; żeby nie ona, dawnoby już Marcin zmarnował dzieci i przepuścił chudobę, jako jest nałogowy... Toć się ty kiedyś do Jagny zalecałeś i cała Rokitnica mówiła, żeście już po zaręczynach...

— Wiadome rzeczy, że tak było!—rzecze Wicek. — Ale jak się potknął o Grzędziankę, tak o Jagnie zapomniał. Czy to Maryna mało nazrywała zrękowin? A w całej Rokitnicy nie było parobka, coby przy niej przez jakiś czas nie odpokutował. Zwyczajnie, dwórka!...

— Ej, żeby to tylko parobcy! — odezwał się

Matus. — Ale taki staruch, jak Głodzikowski, całkiem przy niej zgłupiał.

Nakładli Walkowi dobrze w uszy, a może mu też ksiądz przy spowiedzi niejedno dołożył, dosyć, że Kuc wrócił na stary banhof z innem postanowieniem.

Zaraz po południu zabrał się i poszedł tam, gdzie Głodzikowski koczował ze swoją rodziną. Tutaj Jagna łatała dzieciom szmaty jakieś, a Marcin znowu sobie był podchmielił i spał w kącie na barłogu. Zaczęła się rozmowa i Walek naciągał do tego, żeby się dziewczynie oświadczyć.

— Ja sam winien jestem temu—mówił—żeśmy się w Rokitnicy nie pobrali, a byliśmy już po zrękowinach.

— Twoja była wolna wola—odpowiada Jagna —poszukać sobie szczęścia gdzie indziej. Przecie urazy do ciebie nie mam żadnej.

— Mnie samemu teraz markotno, że się to tak rozchwiało.

— Dziewusze jeszcze markotniej, kiedy ją parobek rzuca, bo ludzie obgadają, obmówią.

— Juści prawda, jeno co się odwlekło, to nie uciekło...

— Odwlekło się do śmierci!...

— Zachciej tylko sama, a inaczej będzie; tu w Bremie wszystkiemu koniec być może.

— Co za koniec?

— A no, przecie bez zapowiedzi śluby dają, toby i nam prędko dać mogli...

— Ej, Walek, ty źle ze mną sobie poczynasz! Mało ci tego, żeś mnie już raz na pośmiewisko ludzkie wystawił?... Toć ja wiem dobrze, żeś się z Maryną zaręczył; ona sama rozpowiada to każdemu i druchny sobie nawet zamówiła.

— To co z tego, kiedy ja do ołtarza i tak z nią nie pójdę!—zawołał Walek. — Wszyscy po-

wiadają, jako źle robię, jako tobie pierwszeństwo się należy.

— Czy ja to chcę, żeby cię ludzie do mnie zawracali? Jak sam nie masz serca, gwałtu sobie żadnego nie zadaj.

— Na Pana Boga ci się składam, że sprawiedliwie mówię... Przywiązanie uczciwe mam dla ciebie. Choć się to do Maryny zalecałem, alem nieraz myślał, żeś ty jedna dla mnie na świecie; otwarcie ci to wyznaję.

Jagna odłożyła nabok swoją robotę, słucha Walka, patrzy na niego, a potem mu odrzeknie:

— Z inną ci o wiele lżej być może; ja przecie tak jestem, jak wdowa, bo te dwoje sierot po nieboszce matusi odchować muszę. I pocóż ty, człowieku, ciężar taki masz sobie brać na głowę?

— Nie szkodzi; dzieci odchowasz przy mnie!— zawołał Walek. — Ja sierocej krzywdy nie chcę i na nią nie pozwolę.

— Ale to wszystko jeszcze drobiazg — trzy, cztery lata; mogę ci się naprzykrzyć i będziesz potem miał żal do mnie, jak przyjdzie te małe przez kilka lat darmo żywić i odziewać.

— Sumiennie ci mówię, że im niczego nie będę żałował, niech się chowają, rosną, jeno ty miej serce dla mnie!... No, jakże, powiedz, co będzie?...

— A cóż ja ci takie rzeczy mam mówić? Co było do powiedzenia, toś ode mnie słyszał w Rokitnicy, i do tego czasu zostałam przy swojem...

— Mojaś ty, skoro tak, to się teraz jeno skłonię twojemu tatusiowi i poproszę o pozwolenie na ślub.

— Dużo ja też tam tatusia obchodzę!... Oni, jakby nierodzony ojciec, nic a nic o dzieci nie stoją. Najstarszy chłopak oto przepadł na granicy, a tatuś o nim ani razu nawet nie wspomnieli.

— I tak, czego zwyczaj, poprosić ich muszę— zawszeć to pan ojciec.

Walek baczył już teraz, ażeby Głodzikowskiego, gdy się tylko obudzi, zawiadomić o wszystkiem i prosić o córkę.

Marcin wyspał się dobrze i o zmroku wyszedł trochę do miasta; wtem Walek mu drogę zachodzi, całuje go w rękę i wyznaje, że Jagnę chce sobie za żonę pojąć.

— Jakeście się ze sobą już oboje zmówili, to się pobierzcie!—odrzecze Głodzikowski.—Ona mi na nic niepotrzebna, jacy często gęsto setnie doskwierzy. Niech idzie do chłopa, niech sprobuje, jak to na swojem!

Żeby czasu napróżno nie tracić, zawinął się potem Walek, poszedł prosić Wicka i Matusa na świadków do spisania aktu u księdza.

— Nie radzę ja nikomu, żeby się żenił przed tą Bryzoliją — powiada Wicek. — Ale kiedyś taki nagły, co mi się tu wtrącać. Skoro chcesz, na świadka ci stanę, jeno powiedz kiedy...

— Jutro, przy niedzieli!—odrzekł Walek.

ROZDZIAŁ XI

Przed odjazdem z Bremy.

Wychodźcy polscy podczas pobytu swego w Bremie przesiadywali po szynkach, włóczyli się po mieście i niejeden z nich ostatni swój grosz stracił, zanim wsiadł na okręt, mający odpłynąć do Brazylji. Nie brakowało tu ludzi, którzy chcieli między chłopami uchodzić za mądrych i rej między nimi wodzili. Był jakiś szewc z pod Nieszawy, udający bywalca, który, ile razy mu postawiono dosyć piwa, gotów był zawsze opowiadać, a łgał wyśmienicie.

— Pojedziemy—mówił—przez jedno takie miejsce, co się nazywa równik, a drugie jeszcze gorsze—południk. Oj, ludzie, żaden z was pojęcia nie ma, co się tam dzieje! Woda tam w morzu wre i kipi, a jakby człowiek wpadł w taki wrzątek, to się w nim kości nawet rozgotują. A w innych znowu miejscach będą nas zaczepiały ryby takie straszne, co łbem żelazną blachę w okręcie przewiercą.

Więc się chłopi garnęli do szewca, kupowali mu piwa i każdy się dopytywał o tę wrzącą wodę albo jak wyglądają ryby, które łbem mogą przewiercić żelazo.

Szewc się nigdy nie zająknął, odpowiadał na

każde pytanie i zyskiwał coraz więcej zaufania. Ile razy między chłopami powstał jakiś spór geograficzny, np., czy się do Bryzolji jedzie przez Rzym, a nie umiano go rozstrzygnąć, udawano się zaraz do Joachima — tak się zwał ów szewc —i on wyrokował:

— Przez Rzym nie pojedziemy — powiadał — Rzym na prawo zostanie; ale pojedziemy przez wyspę świętej Heleny, a potem będzie morze Czerwone, co w niem jest woda taka, jak krew.

— Niechże nam pan Joachim opowie o tem morzu — wołali chłopi, a wślad za żądaniem stawał przed szewcem kufel piwa.

— Widzicie, jakby tego morza nie było, toby nie było i korali, bo korale są z takiej krwi morskiej; dlatego się za nie drogo płaci.

— A co, panie Joachimie, będzie za tem morzem Czerwonem?

— Cóż ma być? Wyspy z pieprzu i cynamonu, a za temi wyspami dopiero Bryzolja i koniec.

— Jak też tam jest w owej Bryzolji? czy tak, jak u nas było?

— Co za gadanie! — odpowiedział szewc.—W Bryzolji małpy są mędrsze, aniżeli w Polsce ludzie. Kto się do Bryzolji dostanie, to tak jakby do nieba! W lesie rodzynki tam rosną na drzewie, a jak kto spragniony, to siekierą tylko ciupnie w drzewo i zaraz tryska syrop, słodki jak cukier. Wino, cytryny, pomarańcze, wszystko się rodzi gotowe. Pieniędzy nikomu nie brak, bo w ziemi pełno złota, srebra, diamentów; pokopiesz trochę motyką i już masz skarby.

O ile wychodźców pocieszał ten szewc, łgarz wierutny, o tyle ich znowu zasmucał ciężko jakiś chudy, wybladły i schorowany krawiec z Konina. Słyszał on nieraz opowiadania Joachima; wtedy uśmiechał się tylko ze zjadliwą goryczą, wypijał

kieliszek wódki z kroplami, splunął parę razy manifestacyjnie i wychodził z szynku. Ale kiedy się sam na sam znalazł z chłopami, wtedy wybuchał żółcią:

— Głupi ludzie!—wołał—wierzycie temu oszustowi Joachimowi, cóż on może powiedzieć? Przecież to szewc, a na szewców idą najgorsi ludzie, wyzuci z uczciwości, bez żadnego sumienia, fałszerze! Taki człowiek, co tylko z dratwą, szydłem i kopytem ma do czynienia, nie może nic wiedzieć. Nieprawda, w Brazylji nie rosną żadne rodzynki, niema tam ani złota, ani diamentów! Bogaci, wielcy panowie i kupcy sprowadzają sobie oto na okrętach niewolników, i wy wszyscy, którzy nie znacie żadnego procederu, zostaniecie zaprzęgnięci do ciężkiej pracy, jak konie albo woły, a kto nie będzie chciał pracować, tego popędzą batem.

Taka przemowa psuła chłopom humor, powracali tedy chyłkiem do starego dworca kolei żelaznej, uciekali się do modlitw i pieśni nabożnych.

Jakoś w tym czasie spadły obfite deszcze i ludzie do starego banhofu przynosili pełno błota na nogach.

W izbach panowała wilgoć, a barłóg, służący za posłanie wychodźcom, pomieszał się z błotem i tworzył rodzaj kałuży, w której się poniewierały dzieci, baby, odzież i przerozmaite sprzęty.

Zaczęli ludzie chorować, lekarz dwa razy na dzień odwiedzał te koszary i codziennie musiał kogoś wyprawiać stąd do szpitala miejskiego.

Wśród emigrantów z Rokitnicy najciężej podupadła na zdrowiu matka Maryny, Grzędzina. Jęczała ona po całych nocach, cierpiała duszności i trapiła ją bezsenność. Lekarz wybadał ją troskliwie, poczem oświadczył, że chora w starym dworcu nie może dłużej pozostawać i musi iść do

szpitala, dokąd też Grzędzinę niebawem zawieziono.

Maryna po odjeździe matki chorej nie okazywała bynajmniej żalu; daleko bardziej się trapiła tak niespodziewanemi zaślubinami Walka z Jagną. Pocieszyła się jednak wkrótce, gdyż miejsce Walka zaraz zajął nowy wielbiciel.

Mikołaj Dąbek opłakał stratę żony i dziecka, a wkońcu pogodził się z losem. Razem z wielu innymi sądził on, że do Brazylji należało mu przybyć z żoną; ponieważ się czas odjazdu zbliżał, przeto chłop ów, uważający się jakby za wdowca, rozpoczął zaloty do Grzędzianki. Wprawdzie w Bremie nie mógłby się odważyć na wzięcie ślubu z Maryną; ale gdzieś tam w Brazylji, na końcu świata, czemużby jej nie miał wziąć sobie za towarzyszkę życia. Zamiary takie widocznie nosił w duszy, gdyż wchodził w coraz ściślejsze stosunki z Grzędzianką: razem jadali i przebywali z sobą. On, chciwiec taki i skąpiec, niejedną już nawet markę poświęcił, ażeby Marynie kupić podarunek. Ona znowu chciała pokazać Walkowi, że nie dba o niego, i usilnie ciągnęła ku sobie nowego zalotnika.

Dąbek miał prawie czterdzieści lat, był chłop tęgi, zapobiegliwy, grosz się go trzymał: taki na męża dobry, bo kobieta przy nim nie zginie. Maryna, gdyby ją jeszcze i Mikołaj zawiódł, miała zawsze w odwodzie Głodzikowskiego.

Tak się miały rzeczy, kiedy wychodźcom naraz zapowiedziano, żeby byli zupełnie gotowi do wyjazdu, gdyż za trzy dni muszą wsiadać na okręt, należący do towarzystwa północno-niemieckiego Lloyda. Spisano listę imienną i okazało się, że pasażerów jest aż 2,500!

W czasie tych przygotowań do podróży, przyszła ze szpitala wiadomość, że Grzędzina umarła.

Prawie wszyscy z Rokitnicy odprowadzili zwłoki na cmentarz, gdzie Maryna dopiero zaczęła ręce łamać i na cały głos lament rozwodzić.

Po owym pogrzebie zostawało jeszcze całe dwa dni czasu, więc się każdy sposobił, żeby być gotowym.

Grzędzianka już tak zawojowała Mikołaja, że chłop robił wszystko, co chciała; kazała mu pozakupywać w Bremie różne naczynia blaszane, łyżki, noże, widelce, zapas żywności. On to wszystko znosił do starego dworca i Marynie oddawał; jedno było teraz ich gospodarstwo.

Taki był zwyczaj w tych bremeńskich koszarach, że każdy wychodźca ze swoim numerem szedł do kuchni po śniadanie, obiad czy wieczerzę, podstawiał naczynie, a kucharz mu nalewał i dokładał tyle porcyj, ile osób było zapisanych na kartce z numerem.

Dąbek od jakiegoś czasu chadzał do kuchni po żywność dla siebie i dla Maryny i wspólnie z nią jadał.

Było to we wtorek wieczorem, a we czwartek mieli wychodźcy jechać pociągiem kolei żelaznej do Bremerhaven, gdzie na nich czekał ogromny okręt parowy. Maryna nie jadła wieczerzy, ale poszła do pustej sionki, i tam się myła, czesała, bo miała taki zwyczaj, jakby jaka szlachcianka. Długo się tak nieraz piękniła. Mikołaj poobdzielał dzieci żywnością i spać je wyprawił. Nareszcie nadeszła Grzędzianka, wymyta pachnącem mydłem, wytrofiona; białość od niej aż biła. Siadła sobie na skrzynce i powiada do Dąbka:

— Napiłabym się dzisiaj kawy, bom głodna i niezwyczajna jeść tego, co tutaj dają.

— Choć ta już późno, przebiegnę do miasta i przyniosę ci kawy—odpowiada Mikołaj. Pochwy-

eił zaraz blaszane półkwarcie, popłókał wodą, poszedł po oną kawę.

Niezadługo wrócił i co przyniósł, oddał Marynie. Smakowała jej kawa, bo była dobrze słodka. Dąbek też zabrał się do jedzenia i począł zmiatać resztki wieczerzy. Świadczą oni sobie tak we dwoje, dobrze im z tem, a tu na stary dworzec walą się nowi wychodźcy, co przyjechali do Bremy nocnym pociągiem kolei żelaznej i sprowadzono ich zawczasu na miejsce tych, którzy we czwartek mieli odjechać. Ani Grzędzianka, ani Dąbek wiele sobie z tego nie robili, bo przecie co noc tam jacyś nowi ludzie przybywali.

Naraz ni stąd, ni zowąd między Mikołajem i Maryną staje Dąbkowa, jakby zmartwychwstała. Owinięta była w dużą chustkę, zmęczona drogą, zbiedzona, na plecach miała tobołek, a na ręku trzymała dziecko. Strasznie spojrzała po mężu, ale jeszcze straszniej po Marynie, aż jej się oczy zaiskrzyły, jak świeczki.

— A gdzie moje dzieci?—krzyknęła strasznym głosem.

Dąbek się czem prędzej zerwał na równe nogi, nawet nie mógł przełknąć tego, co miał w ustach; potknął się na barłogu i był gorzej, niż pijany, bo się wcale powrotu swojej baby nie spodziewał i zupełnie co innego już miał na myśli. Marynie się też nijako zrobiło, zbladła strasznie, zakręciła się na skrzynce, gdy spostrzegła Mikołajową, o której wszyscy już zapomnieli na dobre.

Dopiero Dąbkowa złożyła dziecko na barłogu, tobołek z pleców rzuciła, tak że spadł Marynie na głowę, a sama przyskoczyła do męża z ogromną złością, wywija rękami, a wrzeszczy:

— To ty, gałganie jeden, nicponiu, ślubną żonę samą jedną, bez grosza zostawiłeś w cudzym kraju, żeby sie potem z różnemi małpami zada-

wać! W niczem ci przysięga i Sakrament święty? A czym ja ciebie do ołtarza ciągnęła, co? Czym ja nie była gospodarska córka, jak oko w głowie u swoich rodziców? Teraz mi uczciwej opieki dać nie chcesz, kiedy za rodzonem dzieckiem musiałam gonić po polach od wsi do wsi? Dobrałeś sobie, łajdaku, takiego samego ananasa, jakim ty jesteś, i myślicie się we dwoje tłuc po świecie?... Oho, nic z tego!... Pan Jezus nie dopuści krzywdy mojej!

Wrzeszczała tak Mikołajowa na całe gardło; pobudzili się ludzie, jedni powstawali, inni popodnosili głowy, patrzą, słuchają, co się dzieje. Baby zaraz zaczęły szeptać między sobą i Marynę sobie palcami ukazywały:

— Dobrze, o dobrze jej tak! Niech się szelma jakaś cudzym chłopem nie rozporządza!...

Od tych krzyków pobudziły się i dzieci, a kiedy spostrzegły swoją matkę, poskoczyły wszystkie, żeby ją witać. Zaraz znać było, że Dąbkowa na swoich śmieciach jest twarda baba. Grzędzianka o mało się nie spaliła ze wstydu; nieznacznie zabrała trochę swoich manatków i przeniosła się z niemi do innej izby; potem usiadła w kącie, zakryła twarz rękoma i zapłakała gorzko, a Mikołajowa precz jeszcze klęła to na męża, to na Marynę.

Ledwie się trochę uspokoiła owa wrzawa i wszyscy znowu zasnęli, kiedy przed samem świtaniem zrobił się okrutny rwetes, bo Dąbkowa jeszcze tej samej nocy powiła chłopaka. Akurat tak się zdarzyło, że na sam czas przybyła.

Nazajutrz około południa przybył tam lekarz i wyraźnie zapowiedział, że Dąbkowa nie będzie mogła teraz odbyć podróży i pojedzie chyba na innym parowcu, który miał odejść za dwa tygodnie. Ale Mikołajowa we środę wieczorem już

wstała i krzątała się koło dzieci, a we czwartek rano powiedziała mężowi, że jest zdrowa i do podróży gotowa.

— Tybyś był rad zostawić mię tu w Brymie ze wszystkiemi dziećmi, a sambyś z Grzędzianką pojechał do Bryzolji—mówiła—ale raz ci się tylko udała sztuka.

ROZDZIAŁ XII

Ładowanie ludzi na okręt parowy.

We czwartek od samego rana gwałt był nadzwyczajny na starym bremeńskim banhofie, bo oto rozdawano wychodźcom bilety na okręt. Wszystko musiało być w najlepszym porządku, ponieważ towarzystwo północno-niemieckiego Lloyda otrzymywało od rządu brazylijskiego zapłatę za przewóz ludzi i to zapłatę za tyle głów, ile ich okręt dostawił do portu Rio de Janeiro.

O godzinie jedenastej przed południem wyprawiono z Bremy do Bremerhaven oddzielny pociąg kolei żelaznej, na który wsiadło coś około półtora tysiąca ludzi. Matus Dzwonko, Wicek Strzała, oboje Kobylakowie i Maryna Grzędzianka pojechali tym rannym pociągiem. Pojechał też z Bremy ksiądz katolicki, ażeby wychodźców pobłogosławić na podróż morzem. Pociąg nie zatrzymywał się na stacji w Bremerhaven, lecz podążył prosto do portu.

Głodzikowski koniecznie chciał jechać tym samym pociągiem, co i Maryna, lecz go Jagna umyślnie tak obałamuciła, że się spóźnił; bo po awanturze, którą Grzędziance zrobiła Mikołajowa, Jagna bardziej jeszcze wstydziła się za te zaloty ojca.

O godzinie drugiej po południu wyprawiono z Bremy inny znowu pociąg z wychodźcami, których teraz pojechało tysiąc, a przybyli do portu w dwie godziny po pierwszym transporcie.

Ta cała masa ludzi, zwanych przez Niemców *„brazyljanami"*, zgromadziła się na wielkim placu. Mężczyźni byli objuczeni kuframi, skrzyniami, pakunkami; baby niosły i prowadziły dzieci; niejedno ledwie lazło pod ogromem ciężaru.

Nareszcie dano znak, ażeby wychodźcy szli do miejsca, skąd już należało wsiadać prosto na okręt. Tłum ludu rzucił się z pośpiechem; w nadzwyczajnym nieładzie i ścisku popychali jedni drugich, przewracali, gnietli. Przewodnik, wiodący tę gromadę, zawołał naraz—*„halt!"*—I wszystko stanęło, lecz tłok był jeszcze większy.

Zdaleka widać było morze i ogromny parowiec, który stał w porcie, niedaleko brzegu; prowadził do niego most z poręczami, na którym co kilka kroków stało dwu majtków — po każdej stronie jeden, w samym środku jakiś urzędnik, co bilety wychodźców odbierał, oglądał i dawał znak, ażeby następnie wpuszczano na okręt kogo należy.

Ile głów liczyła która rodzina, tyle przepuszczano za jednym biletem. Ludzie i teraz się cisnęli, lecz z majtkami ciężka sprawa: gdy jeden, drugi dostał dobrego kułaka, wnet się zaprowadził i porządek wchodzenia na okręt; każdy potem szedł, kiedy nastąpiła jego kolej.

Zaraz po czwartej po południu rozpoczęła się owa procesja, a przeciągnęła się do późnego wieczora; ostatni wchodzili na okręt już przy latarniach.

Walek, ponieważ był już ożeniony z Jagną, więc miał własny bilet na siebie, żonę i dwoje najmłodszych dzieci Głodzikowskiego; swoim trybem Marcin miał także własny bilet na siebie

i najstarszego syna, Franka, który mógł mieć dwanaście lat wieku.

Jagna jak tylko zobaczyła morze i ten wielki okręt, kiedy widziała, że do tego budynku wpuszczają ludzi po jakichś schodach, które gdzieś na dno prowadziły, zaraz ją strach zdjął i powiada do męża:

— Walek, przypatrzno się dobrze wszystkiemu, co się tu dzieje, bo to już ostatnia godzina! Na okręt tyla wchodzi, a nikt stamtąd nie wraca, gdzież oni podziwają taką moc ludzi? Muszą ich spychać tam na spód. Mnie się toto nie wydaje dobrze... Namyślić się jeszcze, czy wsiadać na okręt?... Cóż ty na to? Spojrzyjże, toć oni precz tłoczą wszystkich, jakby do lochu, i Bóg wie, co może być potem na takiej okropnej wodzie!

— Mnie się też to równie nie podoba—odpowiedział Walek. — Widzę przecie, że ludzie nie idą tam sami ochotnie, jeno te majtki biorą ich pod ręce i sprowadzają. No, ale co robić, kiedyśwa się już z innymi wybrali?

— A któż nam wzbroni cofnąć się jeszcze i wrócić do domu? Przecie gwałtu żadnego być nie może, a granica nasza jest jeszcze nie poza światem. Dąbkowa oto z dzieckiem trafiła do Bremy, tobyśmy i my, choćby o chlebie a wodzie, dobili się do Rokitnicy. Widzisz ty onych majtków na okręcie? Cudacznie wyglądają, a wszystko jakieś takie, jak zbóje: popychają ludzi, poniewierają, żeby chociaż po ludzku mówili.

Zamyślił się trochę Walek, a po chwili rzeknie:

— Co będzie, to będzie, a ja pójdę na ów okręt na przeszpiegi, zobaczę, jak to idzie!

— Ej, daj pokój, lepiej nie chodź, bo cię stamtąd mogą nie wypuścić!—zawołała Jagna. Toć ty tam nie zobaczysz nic innego, tylko to samo, co i teraz z brzegu widać.

— Muszę zbliska przepatrzeć, pójdę! Wypuścić mię muszą, skoro powiem, żeś ty z dziećmi na brzegu została.

— Choćbyś ty im nie wiem co powiedział, to cię nikt nie zrozumie; przecie to same szwaby, po swojemu jeno umieją szwargotać.

— Toć jest między nimi tłumacz, ten sam, co był na starym banhofie.

Jagna nie mogła przeprzeć męża i Walek puścił się na okręt. Przeszedł jakoś już był; ale oficer spostrzegł się zaraz i woła:

— *Billet, billet!*

Walek się odwrócił i oddał swój bilet, a oficer znowu woła:

— *Vier Personen!*

Majtkowie puścili jednego, reszty nie widzą, a Walek już doszedł na pokład tymczasem. Zaraz go tu dwóch majtków chwyciło pod ręce i prowadzą do drzwi, od których drobniutkie schodki wiodły nadół, jakby do piwnicy. Buchnął stamtąd jakiś zaduch niemiły, gorzej niż ze starej studni.

Chłop idzie z owymi majtkami w głąb, patrzy, pełno łóżek żelaznych, które wisiały jedne ponad drugiemi. Ciemnica tam była wielka, tylko parę lamp słabo ją oświetlało, a gdzie tknąć, to łóżka i łóżka. Tutaj go znowu inny majtek wziął zaraz za rękę i znowu przyprowadził do jakichś schodów, po których trzeba było zejść jeszcze głębiej. Nie podobało się to Walkowi, oparł się i powiada:

— Nie pójdę!

Ale majtek, chłop setny, wziął go zaraz za kark i w okamgnieniu nadół z nim zleciał. Ciemnica jeszcze większa, łóżek, jak nabił, ludzie potykają się jedni o drugich, a tak duszno, że ledwie oddychać można. Chłopi tam klęli, na czem świat

stoi, baby lamentowały, a dzieci płakały. Mrowie przeszło Walka i zaraz sobie pomyślał:

— Żebym miał nawet życie stracić, to stracę, a na okręcie nie pojadę! Święty Boże, i ludzie mówią, że tak miesiąc płynąć przyjdzie!... A gdzieżby tu kto miesiąc wytrzymał?

Precz się pchali coraz nowi ludzie z tłumokami, a który na miejscu stanął, załamywał ręce, bo go przerażała ta jama z małemi okienkami nad samem morzem. Walek chodził pomiędzy tą gromadą, a o tem tylko myślał, żeby się nawierzch wydostać i zemknąć.

Cóż, kiedy pilnowali.

I tak upatrzył dobrą chwilę, wydostał się na wyższe piętro: nie było tam tak duszno, powietrze jakieś lepsze przewiewało; ale zawsze daleko lepiej na otwartym, szerokim świecie.

Coraz większy mrok zapadał, a ludzie ciągle napływali na okręt. Nareszcie przyszedł tam pod pokład jakiś oficer ze złotemi naszywkami na rękawach i ze złotym znakiem na czapce. Walek idzie prosto do niego, kłania się pokornie i żałosnym głosem opowiada, że oto żonę z dziećmi zostawił poza okrętem i musi ją koniecznie odszukać. Oficer pyta:

— *Was?*

A chłop znowu swoje powtarza jeszcze żałośniejszym głosem. Dopiero się oficer obraca do majtka i mówi:

— *Wo ist Dolmetscher?*

Majtek pokazał, że tłumacz jest na pokładzie, i oficer wyszedł nawierzch, a Walek za nim z czapką w ręku; już mu teraz wyjść pozwolili, gdyż widzieli, z kim idzie. Ale na pokładzie tłumacza nie było; okręt taki, to jak las, można kogo z pół dnia szukać i nie znaleźć. Na pokładzie przycupnął sobie Walek pod burtą i siedział

w mroku, patrzał, co się robi, a czekał tylko chwili sposobnej.

Przewalili się już ostatni ludzie z całej gromady; poszło wszystko na okręt. Kuc ledwie zdaleka w ciemności rozpoznał, że ostatni, co z brzegu szli, byli oboje starzy Kobylakowie; on szedł zgarbiony, bo miał na plecach skrzynkę przez wpół przewiązaną postronkiem, a ona — płachtę z pierzyną i poduszkami. Jak tylko się dostali na okręt, straż zaraz zaczęła ustępować z pomostu, bo już nie było kogo przepuszczać i pilnować: wszyscy emigranci znajdowali się pod pokładem. Teraz Walek rakiem posuwał się pod burtą, byle być bliżej wyjścia, na pomost. Nikt na niego nie zważał, choć się przesuwało pełno majtków to w jedną, to w drugą stronę. Kiedy już doszedł do onego pomostu blisko, podniósł się na nogi i patrzy; na pomoście spostrzegł jednego tylko majtka, który się łokciami oparł na poręczy i spoglądał po wodzie.

Nie było czasu do stracenia. Kuc odrazu z kopyta całym pędem się puścił i biegł z takim zamachem, żeby go teraz nikt nawet zatrzymać nie zdołał. Zadudniło tylko na pomoście, jak kiedy koń bieży cwałem, i Walek w okamgnieniu znalazł się na brzegu. Jak też tylko szczęśliwie zeskoczył z tego okrętu, zaczyna zaraz szukać Jagny, a nawoływać. Nie miał z tem wielkiego trudu, żeby ją rychło odnaleźć, bo ona siedziała z dziećmi nad brzegiem na kamieniu i czekała na niego. Markotno się jej zaczęło już robić; myślała, że Walka z okrętu nie wypuszczą.

— A niech ich tam z Brazylją i ze wszystkiem licho weźmie!—zawołał Walek.— Kobieto, powiadam ci, że lepiej raz na dzień zjeść łyżkę jałowego żuru ze suchym kawałkiem chleba, a czasem się i bez tego obejść, niż się odważyć na tę po-

dróż? Toć oni tam kupę ludzi wpakowali do pudła i dopiero ich zgóry zamknięto w dusznej ciemnicy...

— O Jezus Marja!... Cóż my teraz poczniewa? chyba wracajmy do swojej wsi!

— A jeszczebyśwa mysleli, co robić teraz? — odrzekł Walek.—Nogi za pas i do domu!

) — Nie mogłeś też poszepnąć tatusiowi, żeby i oni zawrócili...

— Czy ty myślisz, że w okrutnym tłoku można się tam do kogo dobrać albo dopytać? A choćbym to nawet był i zrobił, tatuśby mnie nie usłuchał.

Zabrali się teraz w drogę i ona wzięła na ręce jedno dziecko, on—drugie i z tobołkami na plecach poszli od portu do miasta; ale zanim tam przybyli, była już prawie północ. Przenocowali w jakiejś gospodzie, a nazajutrz rano poszli na banhof, gdzie spotkali innych jeszcze ludzi, co im się także odechciało podróży morzem i zamierzali wracać do kraju.

Kiedy otwarto kasę na dworcu kolei żelaznej w Bremenhaven, Polacy precz kupowali bilety czwartej klasy do Aleksandrowa.

ROZDZIAŁ XIII

Choroby i pogrzeby na okręcie.

Parowiec miał tej samej jeszcze nocy wyruszyć w drogę, ale i nazajutrz przez cały dzień stał w porcie, ponieważ nad morzem mgły były nadzwyczajne. Rozjaśniło się dopiero w sobotę rano; mgły pierzchły, więc podniesiono kotwicę i okręt zaczął pracować, ażeby towar ludzki przewieźć na drugą półkulę, ażeby ludzkie ręce zanieść na ziemię, której od stworzenia świata nikt nie orał ani nie obsiewał.

Już po upływie jednego dnia żeglugi zaczęły się cierpienia choroby morskiej; jęki wyrzekania zapełniły pokład, a ilość chorych wzrastała w miarę tego, jak morze było burzliwe, więc stąd i większe kołysanie się okrętu. Tylko bardzo małe dzieci i niektórzy z mężczyzn przetrzymali bezkarnie ów wpływ morza. Byli tacy, co chorowali przez trzy, cztery dni i dłużej. Choroba ta zapanowała na dobre po przebyciu kanału, kiedy okręt płynął już wzdłuż północno-zachodnich brzegów Francji.

Niewielka to jednakże plaga, przemija ona i jest się już potem zwykle zdrowym. Pojawiła się na okręcie inna—gorsza; dzieci zaczęły chorować na szkarlatynę i błonicę, a stan zdrowia wogóle był tak zły, że dwaj lekarze miewali dziennie po czterdziestu i pięćdziesięciu pacjentów.

W rodzinie Matusa zachorowało na błonicę jedno dziecko; u Dąbków na tę samą chorobę zapadło dwoje najmłodszych, a wreszcie rozchorowała się i Mikołajowa, znużona czuwaniem po całych dniach i nocach przy dzieciach. Stara Kobylakowa znowu dostała zapalenia płuc i przeniesiono ją do szpitala okrętowego. Kobylak odwiedzał żonę, ale tylko wtedy, gdy chorej było lepiej; jeżeli miała się źle i stan jej zdrowia wymagał spokoju, nie pozwalano staremu wchodzić do kabiny żony. Czyniono to i dlatego, że troskliwy mąż przyniósł parę razy chorej kobiecie do jedzenia jakieś niezdrowe rzeczy. Starzec ten, gdy mu do żony wejść nie dozwolono, wystawał pod zamkniętemi drzwiami i tam się przysłuchiwał, co się wewnątrz dzieje. Do uszu jego dochodził kaszel, stękanie, szmery ciężkiego oddechu. Z pod tych drzwi Kobylak rzucał pytanie:

— Łucka, jakże się miewasz? czy ci dzisiaj lepiej?...

Niekiedy chora dawała odpowiedź:

— Krztynę lepiej, lepiej, tylko mi się ciągle chce pić coś kwaśnego.

— Toćbym ci przyniósł, przyniósł, ale cóż, kiedy zamknięte są drzwi oto.

Takie i tym podobne rozmowy dwojga staruszków kończyły się zwykle na tem, że nadchodził felczer, będący dozorcą szpitala, i Kobylaka wyprowadzał na pokład, a zawsze powtarzał:

— Nie wolno chorej przeszkadzać, nie wolno.

Tak zły był na okręcie stan zdrowia, że kiedy przybito do wyspy Teneryfy i miejscowy zarząd sanitarny sprawdził rejestra lekarzy okrętowych, zabroniono wysiadania komu bądź na ląd. Mniemano, że na parowcu musi panować jakaś ciężka zaraza, skoro jest tak wielu chorych, a nastąpiło dotąd aż dziesięć wypadków śmierci.

Więc na Teneryfie, w porcie Santa-Cruz, nabrano tylko węgla, nakupiono wołów, zaopatrzono się w wodę słodką, poczem okręt ruszył dalej.

Morze było już teraz spokojne, lecz choroby ciągle się wzmagały. Kapitan okrętu, człowiek energiczny, robił wszystko, co było w jego mocy: kazał codziennie zmywać podłogi pod pokładem, otwierać wszystkie okna i przewietrzać te suterreny; niewiele to jednak pomagało.

Jednej nocy cicho i spokojnie zasnęła snem wiecznym w swoim szpitalu Kobylakowa, a tejże samej nocy umarło najmłodsze dziecko Dąbków, które się urodziło w Bremie.

Nazajutrz rano Kobylak z różańcem na szyi szedł według zwyczaju odwiedzić żonę, lecz go do jej izby nie chciano wpuścić; felczer zamknął drzwi na klucz i powiedział: „nie wolno!“ Staruszka znajdowała się wtedy już gdzie indziej, w tak zwanej trupiarni.

Mikołajowa znowu, gdy spostrzegła, że jej dziecina nie żyje, napełniła okręt krzykiem przeraźliwym, prawie nieludzkim. Poschodzili się ludzie na ten jej lament, a ona rwała włosy, to znowu chwytała dziecko, przyciskała do piersi, całowała w martwe usta. Naraz porzuciła dziecię i jak szalona biegła w tę stronę, gdzie Grzędzianka miała swoje schronisko. Dąbkowa przypadła do śpiącej Maryny i rzuciła się na nią, jak wściekłe zwierzę; obiema rękoma objęła ją za gardło i poczęła dusić.

Była to okropna scena. Jaki taki, zbudzony ze snu temi strasznemi krzykami, nadbiegał i siłą zaledwie odciągnięto Mikołajową od jej ofiary. Ale jej nikt nie mógł uspokoić: z rozpaczy nad śmiercią dziecka przechodziła do wściekłości, płakała, bluźniła, przeklinała, groziła, aż do białego dnia; wreszcie popadła jakby w odrętwienie, siadła

na łóżku, zakryła twarz rękoma i tak pozostawała, nie wiedząc co się dokoła dzieje.

Około południa Kobylak, podpierając się sękatym kijem i zawsze z różańcem na szyi, znowu przyszedł pod drzwi szpitala żony; zapukał i parę razy powtórzył zwykłe pytanie. Zjawił się felczer, wziął starca pod rękę i wyprowadził stamtąd, mówiąc: — „Dzisiaj do szpitala ani wchodzić, ani pukać nie wolno!"

Starzec usiadł pod masztem na ziemi i mruczał:

— Pewno dziś Łucce gorzej, nie odezwała się nawet...

Zdjął ze szyi różaniec, przesuwał na nim paciorki i odmawiał pacierze do Przemienienia Pańskiego. Kiedy skończył modlitwę, poszedł do burty, a oparłszy się rękoma, patrzył wyblakłym wzrokiem na morze i powtarzał:

— Mocny Boże, cóżeś też za okrutne wody stworzył... Toć my jedziewa do wieczności.

Wcale dnia tego nie jadł obiadu, zapomniał, że się jada, a kiedy zadzwoniono na wieczerzę, wziął miskę i poszedł z nią do kuchni. Tu go zapytano, ile porcyj bierze; odpowiedział, że dwie. I z temi dwiema porcjami znowu stanął pod drzwiami szpitala. Zapukał, potem spytał:

— Łucka, powiedzże, czy ci lepiej?... Wziałem dziś porcje na dwoje. Nijako mi jeść bez ciebie!... A cóżeś też za sprzeka taka, że się odezwać nie chcesz! Łucka, Łucka!

— Nie budźcież kobiety, kiedy widno zasnęła! — mówili ludzie, przechodzący tamtędy od strony kuchni ze swojemi porcjami.—Jakże ona też może ozdrowieć, kiedy jej się wyleżeć nie dacie?

— Swięta prawda—odrzekł starzec, cofnął się od drzwi, poszedł na pokład, usiadł tam sobie i mruczał pod nosem:

— Może jej też to Pan Jezus odmieni, kiedy

tak twardo zasnęła... Pacierze moje mogły pomóc.

Siedział tak, mówił coś do siebie, a obok niego stała miska z dwiema porcjami wieczerzy; potem się zdrzemnął i zasnął mocno.

Nadeszła noc pogodna, z księżycem i gwiazdami. Gdyby tak kto tej nocy nie spał, a bacznie się przyglądał wszystkiemu, co się działo na okręcie, byłby widział, jak w trupiarni pracowało czterech majtków. Dwóch z nich zawijało w szmaty martwe ciało Kobylakowej, a dwaj inni tożsamo robili ze zwłokami maleńkiego dziecka Dąbków. Potem majtkowie ci w nogach każdego trupa ułożyli kawał żelaza i martwe ciała zupełnie zaszyli w płócienne płachty. Gdy się to działo w trupiarni, trzecia para majtków spuszczała znowu pomost ze schodkami, na których ułożono pochyło deskę od góry aż do dołu. Była godzina trzecia po północy; parowiec zatrzymał się w biegu, księżyc rzucał na pokład cień od różnych przedmiotów i oświecał głowę śpiącego pod masztem Kobylaka, którego nikt tam jednak nie zauważył; na morzu, jak szeroka rzeka, odbijały się blaski księżyca.

Lekko skrzypnęły drzwi trupiarni i najprzód wyszedł przez nie majtek, niosący na rękach ciało dziecka; przystąpił do majtków, którzy właśnie już ułożyli na pomoście deskę, i oddał im swoje brzemię. W księżycowem świetle mignęło tylko staczające się po pochyłości białe zawiniątko i lekko spadło w morze; zaledwie bardzo słabe pluśnięcie było słychać.

Niebawem wyszli znowu z trupiarni dwaj majtkowie i ci nieśli wespół cięższe już brzemię; dwaj inni, stojący na mostku, odebrali je czem prędzej. I znowu w świetle księżyca szybko stoczyła się w morze biała masa.

W tej chwili pod masztem dał się słyszeć głos sennego człowieka:

— Łucka, Łucka!... Odezwijże się przecie! Toć wiem, że ci się zlepszyło, Pan Jezus odmienił wszystko od dnia wczorajszego...

Marynarze, choć ludzie odważni, wzdrygnęli się czegoś. Jeden z nich podszedł do masztu, popatrzył na starca śpiącego nad miską, przy której leżały także dwie łyżki, i cichym głosem rzekł po niemecku:

— Cicho, nie budźcie go, to mąż nieboszczki!...

Potem już w milczeniu majtkowie wciągnęli deskę, która służyła niejako za karawan, zaskrzypiały kółka bloków, gdy na łańcuchach zwijano pomost. Machina parowa poczęła silnie pracować, okręt potężnie pruł fale morza; rozległ się jednostajny szum i plusk wody, wszystko było, jak dawniej. Tylko starego Kobylaka dzieliła już od Łucki znaczna przestrzeń i ogromna głębia Oceanu.

Kiedy go rano zbudziły promienie słońca, przetarł oczy, popatrzył na stojącą obok miskę i rzekł:

— No, moi ludzie, toć aniśmy tknęli oboje wczorajszej wieczerzy!

ROZDZIAŁ XIV

Trwoga wychodźców na okręcie.

Z szybkością trzynastu mil morskich na godzinę zbliżał się parowiec ku równikowi, a odpowiednie do tego gorąco tak wzrastało, aż wreszcie, zarówno w dzień, jak w nocy, niepodobieństwem było pozostawać w onych suterenach pod pokładem. Porozwieszano więc płócienne namioty i w ich cieniu rodziny wychodźców przepędzały dnie i noce. Pot lał się strumieniem z każdego i wspominano sobie, że w rodzinnym kraju o tej porze, w połowie listopada, bywają nieraz silne mrozy. W czasie tych upałów podrównikowych rozmnożyły się nadzwyczajnie między ludźmi pasożytne owady; u jednych dzieci głowy pokryły się zupełnie szpetnemi strupami, innym znowu wystąpiły na całej skórze pęcherze, które pękały i sprawiały bardzo przykre swędzenie.

Niektórzy z wychodźców zobojętnieli już na to wszystko, co się z nimi działo, i powtarzali tylko:

— Niech się stanie wola Boża!

Ale inni strasznie wyrzekali, rozpaczali, przeklinali agentów i samych siebie; często można było słyszeć teraz żonę, która mężowi czyniła gorzkie wymówki albo mu nawet złorzeczyła za to, że ją z dziećmi prowadził w taką podróż.

Ów szewc Joachim rozpowiadał i teraz najdziwaczniejsze rzeczy o drodze morskiej, jaka pozostawała jeszcze do przebycia:

— To wszystko jeszcze nic—mówił—zobaczycie rzeczy dziwniejsze: na niebie będą dwa słońca, które człowieka palą z każdej strony, i woda się od nich w morzu zagotuje, a okręt mogą spalić.

Krawiec z Konina znowu żółcią bryzgał na ludzi i na szewca:

— Chamy takie głupie, nie wiedzące, co ich czeka, nie powinny się ruszać z domu. Gdzie to bydło idzie naoślep, bez żadnego rzemiosła w ręku? Gnój tylko umieją wybierać widłami i do Ameryki płyną! A cóż wy, durnie, myślicie, że was tam kto potrzebuje? Do czego? Lada szewc w pole ich wywiedzie i oni do Ameryki jadą!

Stary Kobylak wpadł był w jakąś manję prorokowania; chodził pomiędzy ludźmi bosy, ze spodniami, zawiniętemi w wałek aż do kolan, w koszuli, rozpiętej na piersiach, gdzie nosił wielki szkaplerz i przerozmaite święte medaliki, a około szyi owinął sobie różaniec z dużym czarnym krzyżem. W czasie tej podróży wychudł, ogorzał, a całą twarz obrosły mu siwe włosy.

Kiedy się zbliżał, ludzie się rozstępowali z uszanowaniem, robiąc mu miejsce, a on tak nieraz prawił:

— Między wami nikt tego wiedzieć nie może, co ja wiem, bo moja Łucka do Pana Jezusa poszła po radę; dziś oto w nocy była tu na okręcie i opowiedziała mi wszystko, co się stanie. Będzie źle, bardzo źle! Za to, żeśmy uciekli z kraju od swojego Boga, od cmentarza, gdzie leżą nasi ojcowie, dziady, pradziady, odpokutujemy okrutnie! Plagami egipskiemi Pan Jezus nas pokarze: wodą, ogniem, zarazą, jadowitemi wężami! Na obcej zie-

mi zginiemy wszyscy, jak pogany, bez modlitwy, bez żalu, bez pogrzebu!

— Bójcie się Boga, kumie!—zawołał raz Matus Dzwonko—toćmy się dostaniemy między katolicki naród, który ma kościoły, sługi boże, cmentarze!

— Musicie mi wierzyć!—zawołał Kobylak, podnosząc do góry rękę — Łucka dziś przyszła na okręt od samego Pana Jezusa, a ona kobieta sprawiedliwa, powiedziała mi prawdę świętą...

Wygłosiwszy to, starzec zdejmował z szyi różaniec, żegnał się głośno, siadał pod wielkim masztem i na cały głos odmawiał pacierze.

Przepowiednia Kobylaka ścinała przerażeniem krew w żyłach, rozchodziła się między masą i nowemi dodatkami zwiększano jeszcze jej grozę. Zewszechstron schodzili się ludzie do Kobylaka, bo każdy osobiście chciał starca wybadać, dowiedzieć się od niego o swojej przyszłości na obcej ziemi. A stary nieustannie powtarzał:

— Oj, źle, bardzo źle nam będzie za to, żeśmy opuścili swoją ziemię!

Najbardziej się tem zaś przejmowały kobiety:

— Juścić oni prawdę mówią!—wołały.—My tu żyjemy jak bydlęta, nikt nie wie, kiedy niedziela, kiedy dzień święty. W piątek niema postu, dzieci się nie chrzci, umarłych, jak psów, wrzucają do morza... Zgorszenie wszędzie!...

Na morzu też ukazywały się zjawiska, o których chłop nasz nie miał żadnego pojęcia, a nie umiejąc sobie ich wytłumaczyć, wpadał w zdumienie. Porywała się nieraz gromada ryb latających, co jakby stado ptaków szybowały tuż ponad falami i naraz znikały w wód głębinie. To znowu wpobliżu okrętu przepływały rekiny, czyhając na zdobycz, która im z pokładu spaść mogła w morze. Innym razem w susach i podskokach prosto na okręt pędziły ogromne ryby, wyglądające jak

bajeczne smoki, ukute z żelaza lub spiżu. Widziano też w niejakiej odległości spokojnie płynącego olbrzymiego potwora z rodziny wielorybów; zdawał on się nie zwracać uwagi na wszystko, co go otaczało; czuł, że jest panem na tych przestworach wodnych, rozgarniał dokoła siebie wodę, jak okręt, i śpieszył dalej.

Jedni z ciekawością zabobonną, inni ze strachem spoglądali na takie rzeczy. Niektórzy rzemieślnicy słyszeli lub czytali to i owo o morzu oraz jego mieszkańcach; tacy niedokładną swoją wiedzę przystrajali w opowiadaniu różnemi dodatkami o smokach, syrenach, wężach strasznych i innych morskich straszydłach, a tem zwiększali jeszcze panującą wśród chłopów grozę.

To wszystko jednak miało jeszcze mniejsze znaczenie w porównaniu z najpotężniejszem na morzu zjawiskiem, z jego burzą.

Pewnego dnia po południu, około godziny czwartej, panował jakiś niezwykły przyparek; słońce piekło nadzwyczajnie, a przytem atmosfera stała się tak duszną, że zaledwie można było oddychać. Na firmamencie tu i owdzie ukazywały się chmury, które nabierały coraz ciemniejszej barwy, aż wreszcie rozmnożyły się tak, że zakryły słońce i było ich pełno na wszystkie strony.

Powierzchnia morza zrazu naznaczyła się tylko niewielkiemi falami. Nareszcie powiał wiatr, począł spędzać owe chmury na niebie, a na morzu piętrzyć fale, które się wnet przystroiły białą pianą. Poprzez czarne obloki przedarła się jedna, druga błyskawica, a w oddaleniu dał się słyszeć poważny huk grzmotu.

Kapitan wydał rozkaz, ażeby zwinięto żagiel, jako też płócienne namioty ponad pokładem.

Znowu ujrzano błyskawicę, znowu usłyszano grzmot, lecz teraz już znacznie donośniejszy,

Wiatr zagrał na linach okrętowych jakiegoś gro bowo-ponurego mazura, wpadł na okręt szalenie, przeniknął do wszystkich jego rur, otworów i dała się słyszeć muzyka, której melodję stanowią: wycie, jęki, piski, huki i szumy.

Fale piętrzyły się coraz wyżej, a na okręt uderzały z wielką natarczywością. Niektóre pędziły jak szalone, tryskając fontannami na swych szczytach; były takie, które wysokością przewyższały ów wielki parowiec, wpadały na pokład i zalewały go obficie.

Na świecie zrobiło się czarno; na morzu wszędzie kipiało i biała piana fal świeciła złowrogo.

Trząsł się okręt, trzeszczał w swych stawach i skrzypiał; chylił się na prawo, na lewo; wydawało się niekiedy, że on płynie przez jakiś straszny wąwóz, gdzie góry wód grożą mu zalaniem. To znowu przodem swoim wspinał się na grzbiety olbrzymich bałwanów, które, szumiąc, mrucząc, warcząc, minowały go z pod spodu.

Lunęła ulewa, a jej szumowi jeszcze potężniejszym rykiem zawtórowało teraz morze; odgłos grzmotów zlał się w jeden straszliwy chóralny zgiełk ze świstem wiatru, rykiem fal i trzaskiem ścian okrętowych.

Oprócz załogi okrętowej wszyscy zniknęli z pokładu, poukrywali się wewnątrz okrętu.

Przerażenie wychodźców dochodziło do najwyższego stopnia; padali na kolana, modląc się i śpiewając pieśni nabożne. Ale oto olbrzymi bałwan buchnął na pokład, a za nim przybył drugi i masy wody popłynęły do suteren wychodźców. Porwali się wszyscy na równe nogi, biegali wszędy, jak szaleni, a kołysanie okrętu rzucało ich od ściany do ściany lub zwalało na ziemię. Pierzyny, kufry, rozmaite graty posnadały z łóżek w wodę i przerzucały się z miejsca na miejsce, stosownie do

przechylania się okrętu. Dzieci, kobiety podnosiły wrzawę, padając na ziemię lub rozbijając sobie głowę o ściany.

Stuk, wrzawa, zamieszanie i popłoch były nadzwyczajne.

U wielu pojawiła się morska choroba w całej swojej sile; tacy stracili zupełnie przytomność, nie wiedzieli o bożym świecie, cierpieli tylko i jęczeli.

Nastała noc, a w jej ciemnościach wszystko przedstawiało się jeszcze straszniej. Morze szalało, jego wrzenie, ryk przeciągły słychać było nieustannie, a podrzucanie i wstrząsanie okrętem odbierało odwagę najśmielszym nawet z wychodźców. Każdy czuł się być małym, bezbronnym, wobec tej nieubłaganej potęgi oceanu. Nikt też nikogo nie krzepił na duchu; niejeden mąż nie wiedział, gdzie jest jego żona, a matka nie mogła dokoła siebie zebrać rozrzuconych dzieci. Było to rozbicie w całem znaczeniu tego słowa. Jęki, płacze, utyskiwania rozlegały się na wszystkie strony. Wszyscy byli przemokli, potłuczeni, ubezwładnieni na duchu i na ciele. Dosyć jest przeżyć jedną noc taką w życiu, aby jej wrażeń nigdy a nigdy już nie zapomnieć, tak silnie się one zapisują w duszy.

Z zewnątrz dolatywały pod pokład jakieś rozgłośne wołania majtków, urywane głosy, które nikomu nie dodawały otuchy, owszem, powiększały jeszcze przerażenie; niejeden nawet sądził, że ostatnia chwila nadeszła i wkrótce otchłanie morskie staną się jego grobem.

Taki stan trwał przez całą noc; ale nad ranem zaczęło się uspokajać. Burza straciła na sile, nie stać ją już było na wściekłość i odeszła, pozostawiając za sobą spienione jeszcze morze, skołatany srogo okręt i znękanych ludzi.

Kiedy słońce weszło, było już dokoła spokoj-

nie, w powietrzu rozchodził się tylko chłód przyjemny.

— Wielki Boże! cośmy też za straszne rzeczy przeszli! — długo potem powtarzali wychodźcy polscy.

ROZDZIAŁ XV

Wicek Strzała poprawia ducha wychodźców.

Burza poczyniła szkody: na okręcie było teraz pełno potłuczonych i połamanych przedmiotów, a co najgłówniejsza, należało bezzwłocznie dokonać reparacji machiny parowej. Na szczęście wiatr był pomyślny, więc parowiec i tak się mógł dalej posuwać. Przez dwa dni i tyleż nocy trwał stan taki.

Wychodźcom, obałamuconym przez rozsiewane przepowiednie, wieści, strapionym przez burzę, wydawało się to być nową karą bożą, na nich zesłaną.

Jednego razu przed wieczorem gromada ich siedziała na pokładzie, prowadząc rozmowy o wszystkiem, co zaszło dotąd od chwili opuszczenia przez nich kraju. Nikt nie był zadowolniony z emigracji, lecz powszechnie wyrzekano i utyskiwano.

— Pewnie nie dojedziemy do tej Bryzolji! — odezwał się któryś z chłopów.—Woli Boga niema w naszej drodze.

— Maszyna się oto popsuła i niechby teraz przyszła druga taka wichura, jak ta ostatnia, na nicbyśmy przepadli — rzekł inny.

— Oho, nie pozbierałby z nas kosteczek!

— Bo to tu jeden już Bogu ducha oddał? Taka woda morska ma okrutną siłę!

— Ma siłę, bo mieć powinna—odzywa się Wicek Strzała, który właśnie na tę rozmowę nadszedł. — Kto po morzu pływać nie przywykł, dla takiego ono straszne i taki powinien w domu siedzieć. Ale inni ludzie cięgiem pływają na okrętach, całe życie na nich przepędzają i z tem im dobrze, nie skarżą się przecie.

— Gdzie im ma być dobrze!—zawołał Dąbek. — W Bryzolji może ta i będzie co dobrego, jeśli dadzą dostatnie grunta, a do tego należyte zapomogi, ale tu, na morzu, człek się okrutnie stera.

Wtem podszedł krawiec z Konina, przygląda się ludziom i powiada:

— O czemże tak radzicie? Myśleliście, że do Ameryki tak się jedzie, jak na jarmark w Polsce?

— Kto miał myśleć!—odzywa się jeden z chłopów — każdy wiedział, że droga setna, jeno nikomu do głowy nie przyszło, żebyśmy przechodzili takie straszne tarapaty.

— Ha, ha, ha! — roześmiał się krawiec na całe gardło. — Głupi narodzie, bydło, gdzie wam myśleć! Tacy lecą, jak barany, jedno za drugiem! Do Ameryki się wybrali!... Oj, wy gawrony!

I tak, włożywszy obie ręce w kieszenie od spodni, szydził i drwił z chłopów.

— Czy to chama kto czego nauczy?—mówił.— Oświaty to-to nie ma najmniejszej, żadnego rzemiosła w ręku, cóż wy będziecie robili w Ameryce? Tam nie potrzebują durniów, głupców, hołoty ciemnej!...

Chciał dalej jeszcze mówić, ale Wicek do niego podszedł, spojrzał mu ostro w oczy i rzecze:

— A tyś kto taki, urwipołciu jeden? Nieraz już słyszę, że ludziom wymyślasz od ostatnich, a nikt ci jeszcze nie dał dobrej nauki. Pamiętajno sobie, że jak cię kiedy posłyszę, co wymyślasz od chamów, od bydła, durniów i innych przezwisk, to ci

takie mydło sprawię, że się z tego i w Ameryce nie wyliżesz.

— Co to jest? Co to znaczy? — krzyknął krawiec, usuwając się Wickowi z pod ręki — gwałty wam się zachciewa robić na okręcie? Oho, ostrożnie, bo to nie w Polsce, gdzieście się codzień spijali, kradli, rozbijali!... Na okręcie jest kapitan, porządna władza; poskarżę się, do kozy cię wsadzą albo i co gorzej będzie!

— No, no, stul gębę, pędziwietrze zacieczony! Nim mnie, uważasz, do kozy wsadzą, to i tak będę miał jeszcze dosyć czasu, żeby cię gdzie bądź uszczypnąć, tyla ci to nie wyjdzie na zdrowie!

W odpowiedzi na to krawiec się zakręcił i odszedł, a wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem.

— Teraz się z niego śmiejeta, a jak wam ciągle sobaczył przez cały czas w Brymie i tu na okręcie, toście takiego zgiełku cierpliwie słuchali, a nikt nie śmiał gęby otworzyć!

— Juści prawda; ten krawiec, psiawiara, zawdy nad nami przewodzi!

— Ej, co mówić! Kto tylko chce, to z wami zrobi, co mu się podoba. W Polsce balamucili was agenci, pisarze gminni, różni adwokaci, a teraz oto lada łgarz we łbie wam przewraca albo lada głupi wami dysponuje czy się natrząsa. Toć taki chory starowina, jak Kobylak, a i on wam strachu nieraz narobił, choć jeno od rzeczy baje. Jak Bóg na niebie, w Brazylji będzie to samo!... Tak nie idzie!... Albo wy sami wiecie, czego chcecie? Z własnej woli pouciekaliście z chałup, nikt was przecie nie pędził, a teraz wyrzekacie, przeklinacie drogę, boicie się morza, dziwności wyrabiacie...

— Święta prawda!—któryś chłop zawołał.—Ten człowiek mądrze, rzetelnie mówi.

— Oho, ma on spryt za dziesięciu!—poszeptał

Matus Dzwonko, który siedział na boku i przysłuchiwał się rozmowie.

Wicek Strzała, powiedziawszy swoje, odszedł zaraz, zbliżył się do innej znowu gromady, którą właśnie obełgiwał szewc Joachim:

— Jest—mówił—w tem tu morzu ryba okrutna, wieloryb, co ludzkiem mięsem jeno żyje. Jak tędy raz święty jeden na okręcie płynął, to go ten wielgoryb żywcem połknął... A jakże, taki codzień choćby jednego człowieka na ząb dostać musi: pono z nieczystym duchem ma spółkę.

Zakorciło Wicka takie łgarstwo, pomyślał sobie, że z tym szewcem takoż należy się rozprawić, więc ztyłu do niego podchodzi, chwyta go za ramię i do ucha krzyknie:

— Hej, ty paliwodo! Nałgałeś już tyle, że tego w brzuchu żaden wielgoryb nie zmieści. Dosyć nazawracałeś głowy biednym ludziskom, nad którymi i tak dużo nieszczęścia wisi!

— Panie Wincenty, jak Boga kocham, prawda! O tym wielgorybie nawet w Piśmie Świętym stoi!— zawołał szewc, którego przemowa Strzały wcale nie stropiła.

— Po pierwsze, że nie jestem panem, rozumiesz! A powtóre, że co stoi w piśmie, to nie dla mnie, bom ja nie piśmienny; tylko widzisz, łgarzu jakiś, i bez pisma mam w głowie kalkulację, rozumiem należycie, jako to wszystko, coś ludziom w Brymie i na okręcie bredził, nie warte funta kłaków! Ogłupiasz oto naród, który ci wierzy, jak komu dobremu, napędzasz nieraz bezpotrzebnie niejednemu stracha, czy to tak dobrze?

— Teraz mu tam ludzie już niebardzo dowierzają, bo juści jaki taki spostrzegł, że łgarz z niego; miele jacy językiem od rana do wieczora, a nic się z tego nie sprawdza, co on przepowiada — odezwał się jeden ze słuchaczy.

— Kiej nie wierzycie w jego szczekanie, to czemuż mu kto nie plunie w tę gębę, co samym fałszem jeno bluzga? — powiada Wicek. — Toć taki jęzor gorszy od psiego!

— Bardzo proszę nie obrażać!—zawołał szewc. — Więcej poufałości, niż znajomości. Cóż wy sobie myślicie? Ja jestem majster, rękodzielnik, człowiek honorowy...

— Kiedyś majster od butów, to buty rób, poganinie!—odrzeknie mu Strzała. — Nikt ci przecie nie następuje na twój szewcki honor, jeno jest mowa o twojem łgarstwie.

Stropił się Joachim, udał obrażonego, nastroił pogardliwą minę i nabok odszedł. Ale właśnie spotkał się oko w oko z krawcem, który zdaleka podsłuchiwał tę rozmowę i bardzo się cieszył, że Wicek dał naukę szewcowi. Uśmiechał się tylko złośliwie, stanąwszy naprzeciw Joachima, i rzekł:

— Tylko jednego szewca mogą jeszcze głupie chamy czegoś nauczyć, tylko szewca mogą na honorze ciężko pokrzywdzić! Ale co tam, pan Joachim połknie tę pigułkę, którą prosty chłop brudną ręką w gębę mu wsadził! Przecież to zawsze mniej śmierdzi niż szewcka smoła, a co? nieprawda?

— Odczep się ode mnie, krawiecka duszo! — krzyknął szewc ze złością.

— Na całym świecie tylko jedne szewcy nie mają żadnego honoru! — wołał krawiec, ciągle zachodząc drogę Joachimowi. — Szewca można za drzwi wyrzucić, zekpać od ostatnich, a nawet trzasnąć na prawo i na lewo!... — i krawiec zrobił gest, jaki towarzyszy uderzeniu człowieka w policzek.

Joachim się teraz odwrócił, kopnął w brzuch krawca i szybko przez najbliższe schody zbiegł pod pokład.

Od tego czasu szewc przestał opowiadać chło-

pom dziwolągi; krawiec zaś już im nie wymyślał, lecz prześladowanie swoje zwrócił wyłącznie do szewca, na którego teraz polował całemi dniami. Joachim uchodził przed swoim przeciwnikiem jak najstaranniej, gdyż go bolały te drwiny z fachu szewckiego.

Wszyscy emigranci na okręcie bardzo uważali Wicka i, ile razy kto potrzebował jakiej rady, do niego się udawał. Kobylak był już teraz jak dziecko: jeśli się nie modlił, to ciągle ludziom przepowiadał nieszczęścia. Siedzi on sobie raz samotny pod masztem, a Strzała do niego podchodzi i usiadł obok. Stary zaraz zaczął przepowiadać straszne nieszczęścia:

— Pokarze nas Pan Bóg ogniem, powietrzem, wojną; jedna noga nie ujdzie przed sprawiedliwym gniewem Pana Boga Wszechmogącego, w Trójcy Świętej Jedynego. Powietrze leci za nami przez te wody, a głód, wojna, ogień już na nas czekają. W grzechach będą ludzie nagle marli; brat się na brata rzuci w głodzie, mąż na żonę...

— Mój Bartłomiej—przerywa mu Wicek — jesteście oto na świecie sami, jak palec, ja też nie mam nikogo. Weźcie mię sobie za swego, jak syn będę wam służył w waszej starości.

Kobylak Wickowi w oczy spojrzał, bo już znajomych ludzi nie poznawał, i pyta:

— A skądże ty, człowieku, pochodzisz?

— Jakto skąd? Tak samo, jak wy, z naszej Rokitnicy, a nazywam się Wicek Strzała.

— Z Rokitnicy, z Rokitnicy!... Pamiętasz kościół między drzewami, bielutki taki, z krzyżem świecącym?

— Cóżbym nie miał pamiętać...

— Środkiem przez wieś bieży droga, nad drogą chałupy z sadami, z obejściem, z żórawiami.

Na pierwszej chałupie od Rypina gniazdo bocianie... Czekajże, czyjaż to chałupa?

— Bartka Okrasy.

— A druga czyja?

— Franka Lodnickiego.

— Trzecia zrzędu była moja, tam się urodziłem; ale tam nie umrę.

Oni tak oba rozmawiają, a ludzie się schodzą, obstępują ich dokoła i nasłuchują.

— Po jednej stronie za chałupami pola — mówił dalej Kobylak—jakie to tam żyto, mój Boże!... Za polami las: grabina śliczności, brzezina, znajdzie się i dąbek, sosenka!... Z drugiej strony, nad rzeczką, ogrody: bób, kartofle, rzepa, kukurydza, mak, czasem i słonecznik. Za ogrodami, za rzeką, pastwisko wchodzi klinem między łąki: co oni za bydełko mają! Pamiętasz ty krowy Nawrota, co je ta głucha Hanka pasała?... Ee, koniki jedyne, to już miał Szymek Kleparski, dwie siwe kobyły, co rok źrebne!... Jedną mu ukradli, mój Boże! Ale w rok potem odbił złodziejowi na jarmarku... Jak się to tam latem sypiało na łące pod kopką siana!... Idę ja sobie raz w nocy na łąkę, zasnąłem twardo, a we śnie mi się widzialo, że złodzieje jedną kopę po drugiej kradną; ocknąłem się: słonko wschodziło, opary, jak białe szmaty, szły precz ku rzece, bociek już gonił na długich nogach za żabami; spoglądam: ode wsi idą rzędem po kładce na rzece kosiarze, a w innem miejscu znowu—bydło przez rzekę brodzi ku pastwisku... Cóż wy powiecie? Łucka na łące była już z grabiami i drugą kopkę rozbiła...

Nie skończył mówić, a tu się rozległ płacz i szlochanie okrutne:

— Mocny Boże! a toć to nam Rokitnica!—wołały baby, a za babami zaczęły płakać głośniej jeszcze dzieci.

Starzec popatrzył na nich i jakby zapomniał o tem, co mówił przed chwilą, w te słowa się odezwał:

— Wczoraj mi się śniło, żem był na cmentarzu w Rokitnicy i tam na grobie postawiłem Łucce krzyżyk z brzeziny; ona mi za to powiedziała, co się będzie działo...

— Pewnikiem jednym będzie gorzej, drugim lepiej—przerwał Wicek.

— Gadanie! Ciężkiemi plagami nas Pan Jezus pokarze.

— Mój ojcze—powiada znowu Wicek—za cóżby miał karać ludzi biednych, jeźli sobie dobrze postępują?

— Nie widzisz tego, że oni płaczą, bo zgrzeszyli, bo opuścili ziemię swoją?...

— Oni są tak, jak małe dzieci, nic a nic nie wiedzieli, co robią. Wszyscyśmy tacy. Jakby już kara Boża spaść miała, to chyba na tych, co cały ten naród oszukali, zmanili i z domu wyprowadzili. Powiedzcież sami, mój ojcze, czy ja nie mówię prawdy? Też Pan Jezus jest dobry i sprawiedliwy!

— O, tak, tak, dobry i sprawiedliwy!

— No, to nie straszcież ludzi karami Bożemi, bo oni i tak mają za swoje od sumienia i od biedy! Kiedy teraz słuchają wszystkiego, co przepowiadacie, tracą głowy, upadają na duchu i niejedno robią jak poomacku.

Starzec słuchał mowy Wickowej, może co z tego zrozumiał, a może nie rozumiał.

ROZDZIAŁ XVI

W porcie Rio de Janeiro.

Nareszcie, jednego dnia wieczorem, spostrzeżono z okrętu w oddaleniu jakieś światło, które się mieniło—było już to purpurowe, już znowu po chwili zielone, potem żółte. Wszyscy przyglądali się temu z pokładu zdziwieni.

— Co też to może być takiego?—zapytywano.

— Juści chyba gwiazda tu tako pośwituje, w ówtych stronach.

— Musi kapliczkę jacy ze światłem postawili na morzu, koli nabożeństwa ludzi płynących, nie przymierzający, jak i u nas w Polsce stawiają po wsiach przy drodze.

Aż dopiero któryś z majtków opowiedział, że to jest latarnia morska, postawiona na brzegach Brazylji dla bezpieczeństwa okrętów w nocy.

Wieść, iż okręt jest już blisko Brazylji, sprawiła nadzwyczajne wrażenie. Choć to noc była, każdy z wielkim pośpiechem biegł pod pokład, pakował swoje manatki w worki, płachty i skrzynie; mniemano bowiem, że z chwilą przybycia do Brazylji, trzeba będzie natychmiast na ląd wysiadać. Spokojnie podążał okręt ku portowi, zamkniętemu między górami, kiedy naraz usłyszano huk wystrzału z armaty.

— Słyszysz? — odzywa się któryś z emigrantów—z armat walą.

— Musi na wiwat tak wystrzelili! — odrzekł inny.

Ów wystrzał był znakiem, danym w tym celu, ażeby okręt podczas nocy nie wpływał do portu.

Ujrzano teraz tysiące świateł, rozrzuconych po górach i nad brzegiem morza. Wśród ciemności nocnych ziemia sprawiała wrażenie nieba, zasianego gwiazdami.

Były to światła miasta Rio de Janeiro, stolicy Brazylji, owej ziemi obiecanej emigrantów.

Parowiec przeczekał noc zewnątrz portu, lecz przez ten czas żaden z emigrantów oka nie zmrużył; wszystkim żywo biły serca na widok krainy, ku której spieszyli wśród tak licznych przygód, przeszkód i porzuciwszy rodzinne strzechy. Pogoda sprzyjała, więc całą noc śpiewano pieśni nabożne, gwarzono.

Dzień zastał wszystkich razem zebranych i tak gromadnie wyczekujących, co dalej będzie.

Słońce pięknie wschodziło, promienie jego pozłacały wierzchołki wiecznie zielonych gór brazyljańskich, kiedy okręt wpłynął do wielkiego i wygodnego portu Rio de Janeiro, a wywiesiwszy flagi, zatrzymał się w dosyć znacznej odległości od brzegu.

Według zwyczaju dano śniadanie emigrantom, ale z wielkiego wzruszenia prawie nikt nie jadł; wszyscy tylko wpatrywali się w rozrzucone po górach i nad morzem miasto białe, pokryte czerwonemi dachami. Jedni drugim pokazywali widniejące zdaleka wieże licznych kościołów, mówiąc:

— Widno tutaj na nabożeństwie porządnie można użyć!

Niezadługo wpłynął do portu inny niemiecki parowiec, który się również wpobliżu zatrzymał

i na kotwicy rozłożył, a przywoził on także polskich emigrantów. I ci też tłumem wylegli na pokład.

Dziesiąta godzina już wybiła, okręt nie ruszał się z miejsca i wychodźcom coś dziwno było, że nikt ich tutaj nie oczekuje, nie przyjmuje w tej nowej ojczyźnie.

Dopiero około południa ujrzano pędzący od wybrzeża mały parowczyk z flagą barwy zielonej i żółtej: płynął, głośno kwakając, jak kaczka. Na ten widok parowiec z naszymi emigrantami począł czynić odpowiednie przygotowania: spuszczono zaraz pomost i wśród całej załogi można było słyszeć powtarzane wyrazy:

— Wizyta jedzie, wizyta!

Chłopi myśleli, że się zapewne już teraz los ich rozstrzygnie, tymczasem na okręt przybył lekarz brazyljański ze swymi pomocnikami, ażeby sprawdzić, czy parowiec emigrancki nie przywiózł z Europy do Rio de Janeiro jakiej choroby zaraźliwej.

Po tych odwiedzinach lekarskich przybyli celnicy, zwani w Brazylji *„alfandega"*, ci obejrzeli, co należało i na okręcie zostawili strażników, którzy tu pilnowali, aby kto przypadkiem nie handlował jakim zagranicznym towarem, nie opłaciwszy cła przedtem.

Cóż kiedy na okręcie niemieckim jedynym towarem byli ludzie, którzy dawno już sami siebie sprzedali.

Nakoniec po wizycie celników znowu przybył inny parowczyk, a na nim—jacyś panowie, bardzo pięknie poubierani w lakierowanych butach, z pierścionkami brylantowemi na palcach.

Byli to właśnie urzędnicy brazyljańscy od kolonizacji.

Powchodzili na okręt, a najstarszemu z nich

kapitan oddał spis polskich emigrantów i rachunek należności za ich przewóz, jako też na żywienie w Bremie i podczas drogi. Ci panowie przechodzili się potem między emigrantami, rozmawiali między sobą:

— Niema tu wcale przystojnych kobiet! — powiada jeden.

— Dużo niema; ale widziałem bardzo piękną dziewczynę: figurkę ma wysmukłą, buzię aż miło popatrzeć.

— Gdzie ona jest, gdzie?—zapytuje tamten.— Pokaż mi ją pan zaraz!

Idą znowu pomiędzy emigrantów i tam się przypatrywali Marynie Grzędziance, stroili do niej miny, jak koguty.

Już wszyscy chłopi wiedzieli od majtków, od tłumacza, że ci panowie są to Brazyljanie, którzy emigrantom polskim grunt wydzielają; tak im się też z ciekawością wielką każdy przyglądał. Dąbek i niektórzy na grunt chciwsi czapki z głowy pozdejmowali przed nimi.

Ale Wicek Strzała, jak tylko spostrzegł, że oni między kobietami przepatrują i Marynie Grzędziance osobliwie się przyglądają, zaraz go to strasznie ubodło; wysunął się z gromady tak, żeby go każdy mógł widzieć, i dopiero się z przekąsem odzywa:

— Tyle zbiedzonego narodu z ogromnej dali do nich przybywa, a ci ladaco między babami sobie myszkują! Słyszał kto kiedy takie rzeczy?... Tfu!...

I plunął przed siebie. Zobaczyli owi urzędnicy, że chłop musiał coś niedobrego na nich powiedzieć, i zaraz jeden za drugim zmykali do kajuty, jak zmyci.

— Wiesz ty, Wicek, co ja ci powiem?—odzywa się Dąbek. — Ty bez potrzeby żadnej lubisz

z ludźmi zadzierać! Tacy oto panowie mogli się z twojej przyczyny na nas urazić. Dobrze to będzie, jak oni potem jednego drugiego na gruncie uszczuplą albo go na piachach, nieużytkach posadzą?

— Nie wam mnie uczyć rozumu!—zawołał Wicek. — Naturę mam taką w sobie, że jak widzę letkoducha, nicponia, co mu we łbie świta, a nie ma wyrozumiałości na ciężką ludzką dolę, to swoje powiedzieć muszę! Te panki co innego mają na myśli, nie zaś uszczęśliwienie takich, jak my, nędzarzy. Jak w tej Bryzolji wszyscy tacy, to niech ich piorun trzaśnie!

Widać było, że Strzała miał złość w duszy, bo chodził po pokładzie i sam do siebie coś mamrotał, z nikim się nie wdając już w rozmowę. Jak się tak wysapał, idzie potem do tłumacza i pyta:

— Może pan przypadkiem zasłyszał od oficerów na okręcie, kiedy z nami będzie jaki koniec?

A tłumacz mu na to:

— Wszyscy powiadają, że rząd brazyljański dziś jeszcze nie odbierze z okrętu emigrantów, bo ich nie ma gdzie pomieścić. Na wyspie Flores są koszary, ale tak zapchane Polakami, że już palca wsadzić trudno, nie dopiero tylu ludzi.

Zabrali się wreszcie ci panowie urzędnicy i odpłynęli do miasta, a emigranci zostali na okręcie, jak przedtem.

Niedługo było czekać, a nadpłynął jeszcze trzeci okręt niemiecki z polskimi emigrantami. Cała ta masa ludzi wyczekiwała losu swego na wodzie. Mówiono, że na onych trzech okrętach było razem około pięciu tysięcy Polaków.

Do parowca podpływali od miasta na czółnach nurzyni z bananami, pomarańczami, tytoniem i z wódką, co ją w Brazylji nazywają *cachas* (kaszas);

sprzedawali to emigrantom za dobre pieniądze, bo te murzyny umieją też porządnie zdzierać. Kto miał przy sobie co pieniędzy, to kupował.

Oparł się Wicek o burtę okrętu i zdaleka patrzał na one targi. Naraz widzi, że Głodzikowszczak nakupił sobie od murzynów tytoniu, przerozmaitych przysmaków i wyrzucił im złoty świecący pieniądz, żeby mu resztę zdali. Tknęło to Strzałę, skąd taki młodziak mógł mieć tyle pieniędzy; więc bierze w te pędy chłopaka nabok i zapytuje:

— A ty jakim sposobem przyszedłeś do złotego pieniądza? wiadomo przecie, żeś na niego sam nie zapracował.

Chłopak odrazu cały poczerwieniał, jakby go kto zlał wrzącą wodą, i nie wiedział, co odpowiedzieć.

Wicek już ani pyta, jeno go wręcz bierze za ucho, zakręcił tęgo i powiada:

— Hyclu jeden! zaraz mi wszystko wyśpiewaj, a nie, to cię na miazgę stłukę albo i do morza wrzucę, boś ty musiał komu te pieniądze zwędzić! — umyślnie go morzem zastraszył, żeby prędzej prawdę wycisnąć.

Głodzikowszczak się jąka, bąka ni to, ni owo —od rzeczy.

Wicek nic, jeno mu ucho coraz lepiej naciąga, a powtarza:

— Łżesz, jak pies! Mów prawdę!

Chwilę dobrą się tak pasowali; nareszcie chłopak widzi, że niema sposobu i wyznaje:

— Nie ja—powiada—pieniądze brałem, kto inny je ukradł, jeno powiedzieć nie mogę kto, bom się na Sakrament zaklął, że nie zdradzę...

Wtenczas go Wicek lepiej jeszcze za ucho szarpnął, spojrzał nań strasznemi oczyma i krzyknął:

— A ty, nicponiu, złodziejowi będziesz za pie-

niądze przysięgi dotrzymywał, a uczciwemu człowiekowi nie chcesz za darmo prawdy powiedzieć! Gadaj mi wyraźnie wszystko, bo duszę z ciebie wytrząsnę, gałganie!

Chłopak nic teraz nie taił, drżał cały, a opowiadał Strzale, jako na gorącym uczynku przyłapał raz Cierniaka, kiedy ten Kobylakowi wyciągnął ze sakwy na łóżku pieniądze, zawiązane w supełku.

— Chciałem—mówi—donieść o tem zaraz Walentemu, ale Cierniak wrazili mi w rękę trzy takie żółte pieniądze.—„Cicho bądź—powiadali—schowaj to sobie; będziesz mógł dobrze użyć, a staremu pieniądze na nic się nie zdadzą, bo on już trupem prawie cuchnie..."—Potem mi kazał zakląć się na wszystkie świętości, że nikomu słówka nie pisnę.

Strzała odebrał teraz od Głodzikowszczaka dwie sztuki złote, każda po dziesięć marek, i sam poszedł czem prędzej poszukać złodzieja. Cierniak grał właśnie na pieniądze w karty z dwoma jakimiś chłopami i ciągle wygrywał.

— Sobek—rzeknie do niego Wicek—ty, widać, masz szczęście do cudzych pieniędzy. Nie wiem tylo, czybyś ze mną co wskórał?

— Jak masz pieniądze, to siadaj, zagramy—odgramy!—odrzekł Cierniak.

— Mam odrobinę swoich własnych; ale ty, widzę, cudzemi pieniędzmi chcesz się dorobić. W Rokitnicy ci szczęście nie posłużyło; myślałeś, że się w Bryzolji poprawi.

Cierniak rozdawał właśnie karty, ręce mu jakoś drgnęły i omylił się w rozdawaniu, a Wicek z kpinami coraz mu ostrzej dopiekał:

— Tylko ty sobie pamiętaj, żebyś pieniędzy Kobylaka nie przegrał albo gdzie nie uronił, bo jak Bóg na niebie, stary musi swoje odebrać!... Żeby tylko jednego grosiczka brakowało, toby

twoja łajdacka skóra i kości nie wystarczyły na zapłatę, jako grosz taki z uczciwej pracy pochodził!...

Zaćmiło się Sobkowi w oczach, znać było, że zzieleniał na twarzy, ale i tak spojrzał zuchwale Wickowi w oczy i powiada ze złością:

— Idźże ty sobie do stu djabłów, na karku mi nie stój, nie mąć głowy.

— Oho, kochanku, niełatwo mnie się pozbędziesz! Ja nie taki hojny człowiek, żebym się zląkł przekleństwa twego.

Cierniak rzucił teraz karty, porwał się i prędko pobiegł schodami pod pokład, gdzie emigranci mieszkali. Strzała pogonił za nim, wołając:

— Już mi się ty, ptaszku, w mysią dziurę teraz nie schowasz!

Zaledwie Wicek zeszedł pod pokład, zaraz spostrzegł, że Sobek od łóżka Kobylaka prosto szedł ku niemu i odgrażał się, klnąc strasznie. Strzała nie pyta, jeno sięgnął ręką pod poduszkę Kobylakową i wyciągnął supełek z pieniędzmi, zaraz przeliczył, a potem mówi:

— Trzech sztuk jeszcze brakuje!... Oddaj!

— Cóżeś ty rachował cudze pieniądze? — powiada Cierniak.

— A jakże, rachowałem! — krzyknie Wicek i odrazu złodzieja schwycił za gardło, grzmotnął o ziemię, potem go katował nielitościwie.

Ten Sobek Cierniak pochodził także z Rokitnicy, ale do Bremy nie przybył razem z innymi, jeno osobno, sam jeden. We wsi wszyscy go dobrze znali, jako złodzieja koronnego, na którego sądy nieraz już wydały surowy wyrok; dawno już on powinien siedzieć w kryminale, tylko się zawsze policji wymykał. Tak w Bremie, jak i na okręcie, ludzie z Rokitnicy stronili od niego, więc szukał towarzystwa między takimi, co pochodzili z innych okolic.

O, Sobek Cierniak był ziółko!

ROZDZIAŁ XVII

Co było na wyspie Flores dawniej, a co teraz?

Przez cały dzień i drugą już noc parowiec stał w porcie z emigrantami, a rząd brazyljański ani myślał odbierać ludzi. Chłopi wyczekiwali, ziewali; brakło im cierpliwości, to niektórzy klęli, bo każdemu się ogromnie dłużyło takie wyczekiwanie.

Kiedy tak wystawali, słyszą, że tłumacz, co tam był na okręcie, pół-polak, pół-niemiec, z pod Białegostoku, prowadzi rozmowę z brazyljańskim strażnikiem celnym, który ciągle stróżował na pokładzie, a Niemcem był z urodzenia i nawylot znał całą Brazylję. Co strażnik opowiedział tłumaczowi, to tłumacz znowu wykładał chłopom. Zapytują oni owego celnika, jaki też porządek będzie w Brazylji z emigrantami. On zaraz mówi, że sam takoż przed dziesięciu laty na kolonję przywędrował; ale mu nie szło, więc rzucił do djabła rolę i został strażnikiem Alfandegi.

— Widzicie — powiada — na morzu tamtą wyspę, nazywa się ona Flores; dawniej tam Brazyljanie kupowali ludzi, niewolników, a głównie murzynów. Przyjeżdżali zdaleka handlarze z ludzkim towarem, stawali z okrętami przy Flores i wystawiali na targ ówtych murzynów. Jak który Bra-

zyljan potrzebował robotników, to na wyspę przybywał, stargował, zapłacił gotowemi pieniędzmi i ludzi zabierał.

— A skądże handlarz znowu brał owych ludzi? — pytają emigranci.

— Kupował ich w Afryce tanio, a w Brazylji sprzedawał drogo; zarabiał na tem dobrze.

— Mocny Boże! I sami się ci murzyni w niewolę handlarzowi zaprzedawali?

— Ej, gdzie znowu! Byli oto dawniej tacy rozbójnicy, nazywali się piratami albo korsarzami; podpływali oni na swoim okręcie do brzegów Afryki, gdzie jest murzynów pełno, wpadali na ląd i gwałtem porywali każdego, kogo się dało: chłop nie chłop, baby, dzieci — wiązali wszystko w powrozy, skuwali łańcuchami, wieźli na okręcie do Brazylji i sprzedawali, jak bydło. Kto sobie kupił niewolnika z żoną, to już i dzieci, wnuki, prawnuki z takiego małżeństwa równie były jego niewolnikami, własnością.

— Jabym nie zniósł! — odzywa się któryś z emigrantów. — Nogi za pas i poszedłbym sobie w świat.

— Ho, ho! Nie tak to było łatwo uciec niewolnikowi! Pan zaraz dawał znać do rządu, że mu niewolnik zbiegł, a rząd wysyłał za takim pogoń; ścigali, tropili zbiega i gdy znaleźli, oddawali panu. Pojmany niewolnik miał się zpyszna! Pan kazał go bić, katować, żeby od ucieczki raz na zawsze oduczyć.

— A nie mogli się to wszyscy ci niewolnicy zmówić i hurmem uciec, a potem nie dać się pojmać albo nawet takich panów rozumu nauczyć.

— I to nieraz bywało; ale rząd wysyłał wtedy wojsko, żartów nie było, bo żołnierze strzelali, mordowali, a pojmany niewolnik uważał się za buntownika, i swoją drogą dostawał kije w urzę-

dzie, a swoją—od pana, do którego musiał wracać.

— Dawno też temu będzie, jak się tu w Brazylji takie straszne rzeczy działy?—pytają znowu ludzie.

— Co ma być dawno! Parę lat temu.

— No, widzicie, i myśwa nic nie wiedzieli! Psie dusze one agenty, o tem to nic nie pisały! Jakby człowiek był wiedział, pomiarkowałby się przecie; bo gdzie biednych ludzi przed niedawnym jeszcze czasem tak prześladowali, tam nie może być dobrze!...

— Bośwa to o czem bądź wiedzieli! — rzecze Wicek. — Mogą tu być różne inne rzeczy, a my wszyscy, jak tabaka w rogu — ciemni... Okrutnie mi się to wszystko nie podoba.

— Teraz przecie niewoli w Bryzolji niema! — zawołał Dąbek. — Na grunt nas przyznają, nie zaś na niewolę.

— Ale, ale! — odzywa się na to Strzała.—Kiedy oni przed niedawnym czasem z murzynami tak sobie postępowali, to się po nich niczego dobrego spodziewać nie można. Prawdę powiedziawszy, toć my przez nich kupieni i zapłaceni. Za to, żeśwa się kawałek drogi przejechali darmo, żeśwa dobry kawałek czasu przepróżnowali, to jeszcze Bóg wie, co za pokuta nas czeka!... Mnie się też od początku nie mogło w głowie pomieścić, skąd chłopi z Polski mają taką łaskę u Bryzoljan!

Rozmawiają tak, aż tu około południa ukazał się na morzu ten sam parowczyk, co dnia wczorajszego przywiózł był urzędników kolonizacji; za nim płynęły teraz przywiązane ztyłu na linach dwie ogromne łodzie. Wszystko to podpłynęło do okrętu z emigrantami i znowu urzędnicy brazyljańscy weszli na pokład, powiadają kapitanowi, że będą Polaków zabierali. Mieli oni przy sobie

spisy ludzi, więc każdego wywoływali z imienia i nazwiska, a potem mu kazali na łódź się przenosić. Chociaż tam nikomu nie było wesoło, jednak naśmieli się emigranci, jak ci Brazyljanie zaczęli cudacznie przekręcac polskie nazwiska, ani jednego nie umieli poczciwie wymówić. Szeptali między sobą chłopi, że „taki Brazyljan musi nie zna porządnie na książce, skoro się myli w czytaniu".

Jeden z tych urzędników trzymał w ręku spis cały, włożył sobie w samo oko jakieś szkiełko i dopiero czytał, a inni rachowali głowy, zapisywali sztukę po sztuce, potem wpuszczali na łodzie.

Czyta ów ten ze szkiełkiem naprzykład: — „Winsent Strala", a tu mu się nikt nie odzywa; drugi raz znowu na cały głos wykrzykuje: — „Winsens Strala!". Nawrzeszczał się porządnie, aż chrypki dostał, zanim skończył to czytanie całe. Niejeden się domyślał, że jego wywołują, ale się nie stawił: — „Co kto ma przedziwiać moje nazwisko!" — mówił jaki taki. Z Wickiem Strzałą to jeszcze było pół biedy; dopiero kiedy przyszło przeczytać Głodzikowskiego, już sobie ów urzędnik rady dać nie mógł w żaden sposób. Krztusił się, krztusił i tylko jakieś bełgotanie z tego wyszło. Cierniaka przezwał—„Sierniak", a Matus Dzwonko i Maryna Grzędzianka równie mu przez gardło nie mogli przeleźć. Do późnego wieczora tak bałamucili, a co którą łódź wyładowali ludźmi, zaraz ją pod dozorem odprawiali na wyspę Flores do koszar. Emigranci tam wysiadali, a łódź po nowych znowu wracała do okrętu. Spory tam jest budynek na onej wyspie, ale na tylu ludzi większego jeszcze o wiele potrzeba. Wypróżniał się niemiecki okręt, a koszary zapchali ludźmi, jak śledziami. Roiło się tam pełno służby, urzędników, jeno porządku

żadnego nie było; o nic się człowiek nie mógł doprosić. Jeść dawali dosyć; ale ta brazyljańska strawa nie lubowała chłopom: paśli ryżem, czarną fasolą, mięsem, tyla dodawali do tego jakiejś takiej tłustości, że jak sobie kto dosyta podjadł, musiał odchorować. Kartofli, kapusty, ani u nich uświadczy; chleb również nie taki, jak w Polsce, a szperki ani kiełbasy nikt z naszych w Brazylji nigdy nie oglądał. Dawali kawę, herbatę, co ją tu nazywają *sza:* niewiele to to warte, dla bab jacy, dla dzieci, bo chłopa tylko zemdli. O, dużo było lepiej na okręcie niemieckim, aniżeli teraz.

Urzędnicy brazyljańscy mieli swojego tłumacza Niemca, co ich językiem takoż szwargotał; emigranci polscy również mieli Niemca, co i po polsku mówił. Więc kiedy przychodziło do rozmowy między Brazyljanami i Polakami, to wszystko ci dwaj Niemcy między sobą dokumentowali i potem każdy swojej stronie wykładał. Zarówno Brazyljanie, jak Polacy, musieli wierzyć temu, co ich Niemiec mówi.

— Psu na buty się taka rozmowa nie zda! — powiadali chłopi i mieli słuszność, bo zawsze naopak wychodziło, jak czego chcieli od rządu brazyljańskiego.

Urzędnicy brazyljańscy przez swego tłumacza zapowiedzieli emigrantom, żeby się każdy z nich dobrze namyślił, co ma robić w Brazylji: kto chce gruntu na kolonje, niech sobie sam obierze miejsce, a kto nie chce gruntu, to może za pieniądze pracować, jak robotnik. Brazyljanie zachwalali oną robotę za pieniądze.

— U nas, w Brazylji — mówili — dobrze się ludziom płaci przy plantacjach kawy, trzciny cukrowej, tytoniu; człowiek oszczędny nietylko wyżyje, ale jeszcze dobrze odłoży z zarobku.

Jeno chłopi wręcz im odpowiadali przez swego tłumacza:

— Czy to kto taki głupi, żeby się po tylośnej drodze poniewierał i aż do Bryzolji na parobka przyjeżdżał? Myśmy tu przywędrowali dlatego, bo nam obiecaliście grunty i zapomogę, to dajcie, a głowy nie trza zawracać ludziom!

— Dobrze—mówią Brazyljanie—kiedy chcecie kolonij, to dostaniecie, u nas niewoli żadnej niema; niech sobie każdy wybierze tylko stan, w którym chce grunt otrzymać.

Więc emigranci znowu, jak w dym, do swego tłumacza.

— Gadaj pan — powiadają — gdzie i jak co jest, bo my nic nie wiewa, a wybierać nam kazują.

Tłumacz im zaś na to:

— A no, moi ludzie, ja taki sam głupi, jak wy, a ten tłumacz brazyljański także od nas nie mędrszy; tylem się od niego dowiedział, że w Brazylji są różne stany, kraje ogromne, co się rozmaicie nazywają. Jeden taki stan zowie się Santa Catharina, drugi Parana, trzeci Rio Grande do Sul, Minos Geraes... Trudno spamiętać, ile tego jest; ale i tak macie, w czem wybierać.

— Ja sobie wybieram świętą Katarzynę!—ktoś zawołał. — Tam musi być dobrze, kiej taka porządna patronka jest nad ziemią.

Skoro to ludzie posłyszeli, zaraz się ze dwustu zapisało na kolonje do stanu świętej Katarzyny; inni się znowu zapisywali gdzie bądź, na chybił trafił; nikt nie wiedział, jeno wszystko szło z tego, jakie kogo słuchy dochodziły.

Ludzi z Rokitnicy zapisali urzędnicy do stanu świętej Katarzyny; ale Wicek Strzała i Matus Dzwonko chcieli z tej gromady wyłączyć Cierniaka.

— Co my ze sobą mamy złodzieja prowadzić na kolonje! — wołali do tłumacza.

— Dajcie pokój — odrzeknie tłumacz — nie gwałtujcie! Tu, w Ameryce, jest równość i wolność. Cierniak ma takie same prawa, jak wy; mógłby was przed sądy pociągnąć za to, że mu przeszkadzacie w sposobie do życia.

— Toć on złodziej! — zawołał Strzała.

— Póki go prawo nie ujmie i o kradzieży nie przekona, dopóty jest on wolnym obywatelem Brazylji. Niech Bóg broni zaś rzucać potwarze!...

— Kpię z takiego prawa! — rzekł Wicek.

ROZDZIAŁ XVIII

W drodze do kolonij.

Na szafirowem niebie Brazylji słońce miało się ku zachodowi, kiedy wzdłuż górzystych, wiecznie zielonych brzegów szybko pruł morze lekki, biało malowany parowiec „Planeta"; unosił on na sobie ze trzydziestu pasażerów pierwszej klasy i około tysiąca polskich emigrantów, których rząd rzeczypospolitej wyprawiał na kolonje do południowych stanów.

Górny kajutowy pokład zajmowali wytworni pasażerowie: modne strojne damy, mężczyźni w eleganckich czapeczkach, wonni, wymuskani, wyświeżeni—wszystko pełne kokieterji, której brazyljański *high life* nie zaniedbuje nawet podczas uciążliwej podróży. Niektórzy mieli tam na pokładzie własne fotele, zaopatrzone napisami, wyrażającemi nazwisko, a często i godność właściciela; inni rozpierali się na ławkach okrętowych, a wszyscy bardzo wesoło gwarzyli wśród wykrzyków, wybuchów śmiechu, co tak charakterystycznie znamionują południowców.

Z kapitańskiego pomostu odzywały się często sygnały dzwonków elektrycznych lub brzmiał ostry, stanowczy głos kapitana okrętu. Na niemieckim albo angielskim parowcu pasażer nigdy

nie poczuje tego, że tu ktoś rządzi: rozkazy, choć nieubłagane, są ciche i spokojne, jakby prawa przyrody; ale wsiądź na statek portugalski, hiszpański, włoski, a wszystko odbywa się już ze zgiełkiem.

Na „Planecie" pokład pasażerski ostatniej klasy zajęli zupełnie polscy emigranci, którzy się zresztą wałęsali, zaglądając wszędzie z naiwną ciekawością prostaków. Kobiety ogorzałe od słońca, w barwnych chustkach na głowie, powarzone jakieś, małomówne, siedziały na pokładzie, a dokoła nich igrały gromadki malców brudnych, łaziły na czworakach niemowlęta w różnokolorowych czepeczkach. Chłopi znowu w dużych butach, przepoconych koszulach wystawali po kilku i, kurząc papierosy, rozmawiali o tem, co było, co będzie. Jedną część tych emigrantów przewożono do Desterro, stolicy stanu świętej Katarzyny, drugą—do Porto Allegro na kolonje w stanie Rio Grande do Sul.

Jakaś piękna Brazyljanka, otoczona przez strojnych elegantów, przyglądała się zgóry emigranckiej rzeszy i zapytała jednego ze swoich towarzyszy:

— Co za jedni są ci ludzie, tacy rośli, barczyści, z włosami blond, w butach z cholewami po kolana?

— Są to Polacy, naród pochodzenia słowiańskiego — odrzekł zapytany. — Przybywają oni do Brazylji na kolonje.

— Polacy? Pierwszy raz słyszę, że taki naród istnieje na świecie. A gdzież jest kraj, będący ich ojczyzną?

— W Europie.

— Rzecz szczególna! Byłam przecie w Lizbonie, Rzymie, Madrycie, Paryżu, a nigdzie nie widziałam takich ludzi. My uważamy Europę jako najbardziej cywilizowaną część świata, a jej mieszkańców mamy za najszczęśliwszych; tymczasem ci

oto ludzie wyglądają jakby półdzicy i mają takie smutne fizjognomje. I cóż ich też mogło skłonić do opuszczenia kraju rodzinnego?

— Złe warunki bytu, a przytem nadzieja, że im w Brazylji będzie lepiej!

— Nieprawdaż, że się biedacy ciężko zawiedli?

— O tak, tutaj doznają zupełnego zawodu! Synowie północy, wrośli w swoją glebę, wychowani przez surowy klimat, nie zniosą ognistego podniebia Brazylji, nie wyżyją na naszych płodach. Patrz pani, ci wszyscy ludzie tęsknią, widać to w ich fizjognomjach, w ich ruchach ciała; widocznie cywilizacja nie przygotowała jeszcze tego ludu do kosmopolityzmu kolonizacyjnego — lub jeśli kto woli — do przeszczepiania własnej, rodzinnej cywilizacji na grunt obcy; nasz rząd źle robi, że takich właśnie sprowadza: Brazylja bowiem nie będzie miała obywateli z tego materjału, a ich ojczyzna i ludzkość straciły ich już na zawsze.

— To bardzo smutne, gdy tyle rodzin ginie bezowocnie! A powiedz mi pan, dlaczego to nie przepadają jednak w Brazylji Włosi, Hiszpanie, Niemcy?

— Włosi i Hiszpanie żyją w przyrodniczych warunkach, zbliżonych do naszych, a na Niemców znowu przyszła ta cywilizacyjna pora, w której częściowa ich emigracja jest koniecznością. Zresztą Włochów, Hiszpanów, Niemców nikt nie wywabia z kraju nadzwyczajnemi obietnicami; oni emigrują naturalnie, dobrowolnie, nie spodziewają się niczego i wszystko, co znajdą w Brazylji, jest dla nich dobre. Natomiast Polaków sprowadzają do nas agenci sztucznie, przyobiecując im złote góry; więc nie dziw, iż ci ludzie spotkają się z zawodem, z rozczarowaniem; tem gorzej, że to jest ludność bardzo biedna, bez najmniejszych środków...

Ci państwo tak rozmawiają, a tu wychodzi

skądś na pokład Marcin Głodzikowski, dobrze urznięty i z miną butną; rękoma wziął się pod boki, kapelusz nacisnął na jedno ucho i, przytupując nogą, zaczyna na cały głos śpiewać:

„Kaśka za piec, Maciek za nią,
Obalili garnek z banią;
Obalili, nie podnieśli,
Pocóż was tam biesi wnieśli..."

Któryś z oficerów zaraz dał znak majtkom, ażeby Głodzikowskiego doprowadzili do porządku i nie dozwolili mu wyprawiać hałasów. Niebawem więc dwaj rośli murzyni podbiegli do pijanego, chcąc go z obu stron wziąć pod ręce. Ale Głodzikowski wymknął im się zręcznie, a przytem pchnął jednego z murzynów tak energicznie, iż ten upadł. Widząc to, drugi majtek poskoczył żwawo, uchwycił silnie Marcina za kark i przygiął ku ziemi; chłop wierzgnął raz, drugi, więc majtek uderzył go kolanem w plecy i pchnął przed siebie. Teraz Głodzikowski pomiędzy babami, dziećmi pędził przez pokład, jakby wyrzucony z procy, aż nareszcie uderzył nosem o żelazną rurę, służącą do przewietrzania wnętrza okrętu, i mocno się zakrwawił. Zgiełkliwa utarczka zwróciła uwagę chłopów, a widok krwi swojaka oburzył ich tak, że jeden bez namysłu huknął murzyna pięścią w głowę i na miejscu powalił. Zaledwie się to stało, kiedy naraz wypadło pięciu innych majtków, którzy z pięściami, złożonemi w kułak, rzucili się między chłopów i nielitościwie młócili każdego, kto im pod rękę popadł. Słychać było krzyk bab, płacz dzieci, odgłosy gęstych razów i jakby wycie walczących.

Właśnie na to nadbiegł Wicek Strzała, a widząc, co się dzieje, porwał zawieszony u burty na łańcuszku żelazny kubeł, wpadł w środek między walczących i tym kubłem począł grzmocić po gło-

wach marynarzy. Oręż był wprawdzie nie do bicia, lecz w silnych łapach Strzały raził dzielnie nieprzyjaciela; od uderzeń blacha kubła zamieniła się w jednolitą masę. Aż oto jeden z majtków, drab ogromny, wydobył z pochwy nóż i z nim rwał się do Wicka, który spostrzegł niebezpieczeństwo, więc kubłem swoim chciał uprzedzić cios przeciwnika; ale w rękach chłopa pozostał teraz tylko łańcuszek, kubeł zaś, świszcząc, poleciał przez powietrze. Zdawało się, że Strzała nie uniknie już owego noża, gdy nagle ze strasznym krzykiem zasłoniła sobą chłopa Maryna Grzędzianka, której w tej chwili nóż majtka przebił rękę poniżej ramienia. Krew trysnęła strumieniem i ranna dziewucha padła u nóg Wicka.

Na taki widok białkami błysnęły straszne ślepie chłopa, zjeżyły mu się szczecinowate włosy na głowie i z obu pięściami, wzniesionemi jak młoty do góry, zbroczony na piersiach krwią Maryny, pędził do majtka, który się tyłem cofał, a oczyma śledził nieprzyjaciela. Strzała wyglądał tak straszliwie, że się wszyscy uciszyli na chwilę i patrzyli na niego. Ale miał on za przeciwnika górala hiszpańskiego z Teneryfy, który w potrzebie umiał używać, jako oręża, zarówno noża, jak i pięty. Kiedy Wicek wściekły walił się tak ku niemu, on naraz szybko skoczył, podniósł nogę i piętą uderzył chłopa w dołek poniżej piersi. Strzała jęknął tylko i upadł na pokład jak długi.

Teraz na placu bitwy zjawił się kapitan, a z nim dwóch oficerów—wszyscy uzbrojeni w rewolwery; poza tymi wodzami postępowało kilkunastu majtków, którzy wściekłe spojrzenia rzucali ku emigrantom. Powaga władzy okrętowej w takiej postawie zupełnie uśmierzyła wszystkich: majtkowie poranieni z uszanowaniem stali na boku, a chłopi ochłodli w rozjuszeniu i pośpiesznie opuszczali

pole walki. Zapewne jednak u jednych i u drugich nienawiść wrzała na dnie duszy.

Po takiej to krwawej przygodzie parowiec „Planeta" przybił nareszcie do wyspy Świętej Katarzyny i zawinął do portu Desterro. Tutaj kapitan okrętu, biorąc pod uwagę wielkie rozdrażnienie umysłów, zażądał, aby mu dano pomoc kilkunastu uzbrojonych żołnierzy; obawiał się bowiem, ażeby emigranci w drodze do Porto Allegro nie podnieśli buntu.

Ci z pomiędzy Polaków, którzy mieli osiąść na kolonjach w stanie Św. Katarzyny, wylądowali w Desterro; inni, pod eskortą żołnierzy, jeszcze tego samego dnia popłynęli dalej na południe.

Przed odjazdem atoli kapitan okrętu, polegając na zeznaniach swej załogi, przedstawił Strzałę, jako bardzo niebezpiecznego herszta, zawsze wielce pochopnego do naruszania porządku. O Głodzikowskim znów wydał opinję, jako o żuchwałym i bezczelnym pijaku. Nie oszczędził też wcale Grzędzianki rannej, którą uważał jako solidaryzującą się w danym razie z buntownikami.

Zarząd kolonizacji w stanie Św. Katarzyny bardzo wziął do serca zeznania pana kapitana i postanowił tak niekorzystnie przedstawionych sobie ludzi nieuchronnie odosobnić od całej gromady, to jest osadzić ich w takiej miejscowości, gdzie niema ani jednego Polaka. Takim więc sposobem Strzała, Głodzikowski i Maryna, uznani za jednostki niebezpieczne dla rządu rzeczypospolitej brazyljańskiej, byli odtąd raczej politycznymi więźniami, niż emigrantami przybyłymi na kolonje.

Umieszczono tymczasem całą przybyłą tutaj gromadę w koszarach nad morzem, gdzie przyszło znowu czekać około dziesięciu dni na parowiec, mający zawieźć emigrantów do następnej stacji.

W koszarach owych ranę Maryny troskliwie

opatrywał felczer, który codziennie przybywał z Desterro na łodzi. Głodzikowski odrazu zapomniał o krwawej przygodzie na okręcie i znalazł sobie stosunki, za pośrednictwem których mógł nabywać potrzebną ilość kaszasu. Pokazało się też tu, że przykład ojca nie pozostał bez wpływu na syna, i dwunastoletni chłopak, Felek Głodzikowszczak, podchodził często flaszkę starego i spijał się w najlepsze.

Oczekiwany parowiec przybył nareszcie i na nim wyprawiono z koszar wszystkich emigrantów, wyjąwszy Strzałę i przypisanego do Strzały na liście emigranckiej Kobylaka; pozostali się również w koszarach: Maryna Grzędzianka, jako też Głodzikowski ze synem.

Widząc takie wyróżnienie, Wicek założył zuchwały protest, co się nanic nie przydało, owszem utwierdziło władzę w przekonaniu o pochopności chłopa do buntu. Urzędnik kolonizacyjny wręcz oświadczył przez tłumacza, że pięcioro ludzi, zatrzymanych w koszarach, dopiero za kilka dni odjedzie stąd na kolonje do municipium Tijuca (Tiżuka).

Smutne te są koszary w Desterro!

Morze zielonkowatej barwy bije o brzegi, dokoła wszędzie dzikie góry, niektóre nawpół nagie.

Wprawdzie na przeciwnym brzegu widać miasto Desterro, lecz emigrantom nie dozwala się opuszczać koszar i przepływać na drugą stronę. Jest się tu, jak w więzieniu.

Tuż ponad morzem latają gromady szarych mew, które niekiedy tłumnie obsiadają wierzchołki nagich skał, wynurzających się z morza. Wyżej w powietrzu buja poważnie czarna i śpiczasta na wszystkie strony fregata. Ptaki urubů, czarne sępy, gnuśne łażą nad brzegiem morza lub drzemią, opuściwszy długie skrzydła. Tu i owdzie na po-

wierzchni wody sunie łódź z wydętym żaglem, a czasem ukazuje się przybyły do portu parowiec.

Emigrant spogląda na to wszystko, tęskni do rodzinnej ziemi i ciężko wzdycha.

Wicek kupił był sobie od jakiegoś emigranta lufy, oraz zamek dubeltówki i teraz oddał się zupełnie dorabianiu brakującej osady z drzewa. Dzieło to udało mu się po niejakich usiłowaniach.

ROZDZIAŁ XIX

Na kolonjach.

Pomiędzy wyspą, na której leży miasto Desterro a wyspą Świętego Franciszka, strzępi się ziemia Świętej Katarzyny w mniejsze i większe półwyspy, między któremi znowu rzeźbią się zatoki i przystanie. Całe to wybrzeże ma powierzchnię dosyć równą, zroszoną licznemi rzekami, a przeto nadającą się na kolonje. Pasma wielkich gór Serra Geral z odnogami dos Tijucas, do Itajahy, do Jaragua nie dochodzą do morza, lecz się urywają wewnątrz kraju.

Tylko tu i owdzie na tej równinie spotykasz osamotnione wyspy gór, jak naprzykład, góry położone po obu stronach Rio dos Tijucas lub Rio Biguassú.

Nie dopływając od Desterro do Porto Bello, między wyspami dos Palmas i dos Macucos, leży dosyć obszerna zatoka i jest ujście do morza rzeki Rio dos Tijucas, która przed oddaniem wód swych oceanowi łączy się z rzeką Itinga. Otóż właśnie ta Itinga bierze początek u stóp takiego odosobnionego pasemka gór, a niedaleko stąd leży miasteczko S. Jão Baptista dos Tijucas. Nieco powyżej źródła owej rzeki, na stoku góry, wyznaczono kolonję dla Wicka Strzały, a drugą dla Mar-

cina Głodzikowskiego. Grzędzianee nie wydzielono wcale ziemi na kolonję, lecz dano jej do wyboru, aby się przypisała bądź do Wicka, bądź do Marcina. Ustawa bowiem kolonizacyjna rzeczypospolitej brazyljańskiej wychodzi z zasady, że kobieta nie podoła ciężkim trudom karczunku i wogóle bardzo uciążliwej pracy początkującego kolonisty.

— Przypisz się do kolonji Głodzikowskiego— tłumaczył Marynie Strzała — bo tam koniecznie opieki i głowy będzie potrzeba, jeżeli Marcin i teraz jeszcze pić nie przestanie.

Grzędzianka usłuchała rady.

Początkowe gospodarstwo na obu tych kolonjach było wspólne: Wicek i Maryna dzierżyli ster i kierowali wszystkiem. Niedaleko od nowoprzybyłych Polaków siedział też na kolonji murzyn i nadto były kolonje osiedlonych tutaj od dwóch lat Włochów.

Kiedy koloniści nasi wysiedli z parowca na brzeg morza, już o ich przybyciu wiedziała miejscowa władza z S. Sebastião i myślała nad tem, ażeby emigrantom ułatwić przeprawę do miejsca przeznaczenia. A i tak przez dwa dni pięcioro tych ludzi pod gołem niebem musiało wyczekiwać na skuteczną decyzję opieszałych urzędników. Na tej zwłoce czasu zyskał przynajmniej Strzała, ponieważ przybłąkał się tu do niego duży pies, który widocznie poszukiwał służby; spotkał polskiego chłopa i poszedł z nim na kolonję.

Wszystko, co dotychczas przechodzili emigranci, było jeszcze dobre w porównaniu z dolą, jakiej doświadczali w owych leśnych kolonjach, gdzie ręka ludzka po raz pierwszy rozpoczynała dzieło pracy. Piękną jest dla oka owa pierwotna dzikość przyrody, lecz to nie obchodzi człowieka, który łaknie kawałka chleba.

Dla owych dwóch kolonij polskich rząd miał nadesłać dwa topory, dwie motyki i dwie grace, jako narzędzia karczunkowe i rolnicze, a nadto każda kolonja miała prawo do zapomogi pięćdziesięciu milrejsów na postawienie chaty. Zanim atoli nastąpiła uchwała, a po uchwale — wykonanie, mieszkali wszyscy w budach, zrobionych naprędce z gałęzi.

Nowi koloniści doznawali uczucia trwogi i wstrętu na widok licznych wężów, jaszczurek, ropuch. Płazy te w wielkiej obfitości gromadziły się nocą około ogniska, przy którem wczoraj warzono wieczerzę; właziły one także często do szałasów i nieraz zbudzony ze snu człowiek znajdował przylepionego na swem ciele zimnego płaza. Niełatwo to koloniście pozbyć się owych mieszkańców dziewiczego lasu, którzy tutaj gospodarowali od wieków.

Inną dotkliwą plagę stanowiły tak zwane pchły ziemne, które się ludziom wgryzały w skórę nóg, aby tam znosić jajka. Oprócz tego dokuczały straszliwie drobne komary, od których ukłuć wszyscy mieli opuchłe twarze, ręce i nogi.

Mimo leśnego cieniu panowało tutaj nadzwyczajne gorąco, uniemożliwiające pracę w czasie pogody. A ta praca była tak ciężka, tak bardzo nagła!

Pierwszy Wicek powziął myśl puszczenia się w drogę do jakiego miasteczka, w celu zakupienia toporu, piły, noża, prochu i ołowiu do strzelby. Sąsiad kolonista, murzyn, okazał pod tym względem uczynność; porozumiawszy się ze Strzałą na migi, nietylko mu wskazał drogę, lecz i osobiście doprowadził go do S. Jão Baptista dos Tijucas; zażądał jednak za usługę parę czarek kaszasu i garstki tytuniu.

Maryna stała się teraz jakby zupełnie inną ko-

bietą: bez niczyjej zachęty odrazu zaczęła być gospodynią, sama rozniecała ognisko i warzyła strawę dla reszty. Ale brakowało tutaj wielu rzeczy, więc się wybrała do miasta i tam za własne pieniądze nakupiła czarnej fasoli, mąki manioki, mąki cukrowej, suszonych ryb i naczynia, potrzebne do gotowania. Chociaż tak pracowała, pamiętała zawsze dobrze o tem, żeby się czyściutko wymyć, ładnie uczesać i strojnie ubrać—zawsze była elegantką. Wicek zastrzelił nieraz jakiego ptaka w lesie, to go Grzędzianka ugotowała lub upiekła i podawała kolonistom na misce.

Głodzikowski przez kilka dni zachowywał się trzeźwo, pomagał Strzale w wyrąbywaniu lasu, przeznaczonego na kolonje, w budowaniu chaty, i swojego Felka też napędzał do roboty. Trwało to na nieszczęście dopóty tylko, dopóki sąsiad murzyn, wielki zwolennik kaszasu, nie zwąchał się z Marcinem. Manoelo — było imię murzyna — odwiedzał codziennie polskich kolonistów, zapomocą migów udzielał im rad rozmaitych, a z Głodzikowskim, na zasadzie wspólnego nałogu, zawiązał stosunek serdecznej przyjaźni. Doszło do tego, że Marcin gościem tylko bywał między swymi. Murzyn i Polak, nie mogący się porozumieć zapomocą języka, wybornie wymieniali swe myśli i uczucia przy szklance wódki. Manoelo był to pijak cichy, potulny, po trzeciej czarce już się zupełnie upijał i snu pragnął. Głodzikowski wtedy nabierał dopiero pragnienia do picia, stawał się wesołym awanturnikiem, dokuczał przyjacielowi, bił go nawet. Często upijali się we dwójkę gdzieś w lesie lub szli do miasta i tam na parę dni przepadali.

Wicek gnał Felka do roboty, dając mu różne zajęcia, które nie przechodziły sił chłopaka, a odwracały jego uwagę od ojcowskiego postępowania.

Z opiłym Marcinem bywały nieraz na kolonji sceny. Jednego razu, po dłuższej pijatyce, wrócił do domu, niosąc na plecach zupełnie nieprzytomnego murzyna, którego potrząsał jakby wór zboża, a czasem puszczał na ziemię, kopał, bił po łbie pięściami, wołając:

— Obudźże się, niemrawo, poganinie jakiś!... Słyszysz, psia duszo, czarnuchu, kominiarzu!... Czekaj, durniu, ja cię tu zaraz obudzę...

I mówiąc to, poskoczył do ogniska, przy którem Maryna warzyła wieczerzę, porwał głownię i z nią biegł do swego towarzysza, lecz się potknął, upadł. Grzędzianka chwyciła zaraz dzbanek z wodą, podbiegła do Marcina i oblała mu łeb, na którym się włosy już zajęły od głowni. Głodzikowski, trochę poparzony od ognia, powstał; wyglądał jakby dopiero co dał nurka w wodzie, zbliżył się do Maryny i począł stroić koperczaki. Dziewucha odpychała go od siebie; lecz kiedy chłop nie zaniechał natarczywych umizgów, wpadła w złość, chwyciła go za łeb, rznęła o ziemię i polanem drzewa zaczęła leżącego okładać, gdzie popadło.

— Bij, Maryś, bij! — wołał Marcin. — Jeno za to moją będziesz, jak Boga kocham, będziesz!...

Te słowa pobudzały złość Maryny jeszcze bardziej: biła jak w martwą kłodę. Nadszedł na to stary Kobylak i, widząc, co się dzieje, krzyknął przerażony:

— Jezus, Marja, Józefie święty! Ludzie, nie zabijajcie się sami, bo to ciężki grzech zabić swojaka!...

Opamiętała się teraz Grzędzianka i wróciła do swego zajęcia przy ognisku.

Zwykle po wytrzeźwieniu, Głodzikowski uczuwał w sobie wyrzuty sumienia i, choć go nawet nikt nie strofował, on się sam zarzekał to przed

Grzędzianką, to przed Wickiem czy Kobylakiem, że już nie będzie pił więcej i weźmie się do roboty. Ale to wszystko nanic się nie zdało: dobre postanowienia trwały pół dnia najwyżej.

— Kiedy już przepije wszystko do ostatniego grosza, może się potem jeszcze ustatkuje—mówił Wicek.

Stary Kobylak nie próżnował na kolonji: codziennie rano i po południu chodził on z dwoma dzbanami do źródła, skąd przynosił wodę, potrzebną Marynie do gotowania.

A kiedy przyniósł wodę, to się znowu puszczał na zbiórkę drzewa, łamał gałęzie, suszył je na słońcu, aby gospodyni miała przy czem warzyć. Grzędziankę bardzo lubił i nazywał ją swoją córką. Kiedy się już stary nakrzątał około gospodarstwa, wtedy siadał gdzie zboku pod drzewem i zasypiał, odmrukując swoje pacierze. Ale czasami znikał na parę godzin w boru, a nikt nie wiedział, co on tam robi; wtedy na obiad czy na wieczerzę trzeba go było zwoływać, wykrzykując po lesie:

— Hop, hop! bywaj, Bartłomieju!

Od czasu, kiedy wysiadł z niemieckiego okrętu na brzeg Brazylji, starzec bardziej zgrzybiał, skurczył się; bledziutki, pomarszczony, krzaczek taki łaził między ludźmi w białej koszuli, z bielutkiemi włosami, podparty sękatym kijem i zawsze z różańcem na szyi. Kto może wiedzieć, co tam było w jego duszy?

Jednego dnia Wicek wrócił od pracy do szałasów na obiad, a z nim przyszedł i Felek, który się już był dobrze włożył do roboty. Maryna miała warzę gotową, lecz nie podawała miski, ponieważ brakowało Kobylaka.

Tym razem na poszukiwanie starca puścił się Strzała i, wszedłszy w las, nawoływał, jak zwykle:

— Hop, hop, Bartłomiej!

Daremne było to wołanie, nikt na nie nie odpowiadał i starzec się nie pokazywał. Wicek spostrzegł świeżo wydeptaną pod górą ścieżynę, więc poszedł za tym śladem. Tak przebiegł kilkaset kroków, aż na wzgórzu ujrzał polankę, dokoła której rosły palmity i mimozy, a na tej polance stała jakaś altanka, zrobiona z gałęzi. Strzała zajrzał tam pocichu.

Przed krzyżem z dwóch patyków, przewiązanych łykiem, klęczał Bartłomiej ze złożonemi dłońmi i modlił się półgłosem:

„Panie Jezu Chryste, któryś jest na cudownym obrazie w naszej parafji, i Najświętsza Panienko Częstochowska, ofiaruję Wam wszystkie moje pacierze na intencję tych braci, co porzucili własną ziemię, chaty, i w ciężkiej doli poniewierają się po świecie. Nie karz ich, Panie, za grzechy, spraw miłosierdzie swoje nad nimi, bo oni są już bardzo nieszczęśliwi..."

Na szelest, sprawiony przez Wicka, starzec odwrócił głowę i bladą jego twarz okrył lekki rumieniec wstydu. Tu było tak cicho, spokojnie, że on czuł Boga, a Bóg musiał głos jego wyróżnić wśród gwaru ludzi całego świata. Nie zdradza się przed nikim tajemnicy takiej modlitwy.

Bartłomiej wstał z trudem z ziemi, podszedł do Strzały, a spoglądając mu uważnie w oczy, rzekł:

— Jak umrę, pamiętajcie mnie tutaj pochować...

Wickowi łza spłynęła z oka i z uszanowaniem pocałował w rękę Kobylaka.

I Głodzikowskiego nie było na obiedzie; ale się nikt o niego nie pytał, nikt go nie szukał: wiedzieli wszyscy, że Marcin poszedł z murzynem na pohulankę do miasteczka.

Nareszcie po upływie dwóch tygodni z górą

zarząd kolonizacji przysłał do emigrantów swego urzędnika, który im przywiózł topory, motyki, grace i zapomogę w gotówce. Zapomogę atoli w pieniądzach dostał tylko Strzała, ponieważ urzędnik kolonizacyjny ocenił jego pracowitość zarówno w przygotowaniu pola pod zasiew, jak i w przysposobieniu materjału na postawienie chaty.

ROZDZIAŁ XX

Wpływ Cachasu.

Pewnego wieczora powrócił Marcin pijany do szałasu, gdzie sypiał razem z Felkiem, rzucił się w barłóg liści i odrazu twardo zasnął. Nazajutrz, skoro świt, przyszedł Wicek, ażeby Felka zbudzić i do roboty napędzić. Po śpiących Głodzikowskich skakały ropuchy i biegały jaszczurki różnej wielkości, które na widok wchodzącego człowieka narobiły zgiełku, chroniąc się na wszystkie strony. Strzała rozbudził chłopaka i już miał wychodzić, kiedy Głodzikowski otworzył oczy i ziewnął głośno.

— Oj, Marcinie, Marcinie, co wy też wyrabiacie!—rzekł Wicek z wyrzutem.

— Pies jestem, łajdak, ostatni galgan! Ale temu koniec już być musi—odpowiedział Marcin.

— Jak wam chodziło o pijatykę, toście niepotrzebnie tak daleko emigrowali.

— Masz słuszność, Wicusiu, tyla ci się tu zaprzysięgam, że wczoraj piłem po raz ostatni.

— Dajcie pokój, nie przysięgajcie, bo nie wytrzymacie; choroba jacy w was jest jakaś wewnątrz.

— Co ma być choroba! Gorzej świni człowiek —oto i cała parada.

— Żebyście się tak choć przez tydzień wstrzymali, toby może jako i przeszło.

— Wstrzymam się przez całe życie, tak mi Panie Boże dopomóż! Toć mnie się o kęs co dziwnego nie stanie, kiedy widzę, że wy ciężko pracujecie, a ja chlam tylo. Wicusiu, mojeś ty, uwierz, jakeś dobry! Kto to może wiedzieć, co jeszcze będzie...

— Ha, jak macie takie postanowienie, to bierzcie zaraz topór i pójdźcie do roboty. Kolonja wasza prawie nietknięta, a ja na swojej het już zwaliłem drzewo, czekam jeno, żeby przeschło, podpalę toto i na łeb, na szyję, zacznę sadzić kukurydzę, fasolę.

— O, psia dusza jakaś, łazi to wszędzie i człeka się nie lęka!—zawołał Marcin, wyciągając z pod siebie za ogon jaszczurkę, którą rzucił o ziemię.

— No, nie mitrężcie! Wstawaj i do roboty! — rzecze Wicek—ja was dziś dopilnuję!

— Dopilnuj, Wicuś, dopilnuj, jakeś dobry! Pod kpem będę, jeśli się dziś upiję... Kto to może wiedzieć, co jeszcze będzie...

Mówiąc to, dźwignął się Głodzikowski z barłogu, przydeptał butem ogromną ropuchę, poczem opuścił szałas razem ze Strzałą i Felkiem.

Kiedy wyszli, spostrzegli, że opodal Maryna już się krzątała około ogniska, z którego błękitny dym snuł się wgórę.

Wicek wstąpił do swego szałasu, wyniósł stamtąd dwa topory i nóż; jeden topór oddał Marcinowi, a Felkowi nóż, z temi słowy:

— Smyk, taki lekki, jak ty, może się wspinać po drzewach; widzisz te sznurki, co się opuszczają ku dołowi, nazywają się one sipo; natnij mi ich dużo, bo się przydadzą, jak przyjdzie poszywać strzechę na chałupie, wiązać płoty czy urządzać

werka do spania. Tylko pamiętaj ciąć czarne — białe są słabe.

Zaledwie Felek odszedł, Marcin się zwraca do Wicka i mówi:

— Mnie koniecznie potrzebna kobieta! Cóż ty, Wicuś, na to, żebym się tak pobrał z Maryną?

Strzała ze zdziwieniem spojrzał na Głodzikowskiego.

— Maryna? Toć ona młoda dziewucha, a wy staruch; do czego podobna para taka?

— Staruch nie staruch, a Maryna mi się podoba! Kto to może wiedzieć, co jeszcze będzie?

— Wszystko mi się widzi, żeście wy jeszcze nie wytrzeźwieli po wczorajszym bankiecie.

— Swiętą prawdę mówisz, Wicuś, we łbie mi się trochę kotłuje. Ale bądź moim swatem u Maryny!

— Nietylko swatem nie będę, ale wam jeszcze powiem, że Maryna za was nie wyjdzie!

— Chciałbyś ją dla siebie?... Oho, kto może wiedzieć, co będzie!

Wicek ponuro spojrzał na Marcina i rzekł ostro:

— Zamknijcież sobie gębę!

Poszli w las i poczęli wyrąbywać drzewa na gruncie pod kolonje. Obaj chłopi pluli w dłonie, a huk toporów rozlegał się po dziewiczym boru.

Maryna przyniosła im w garnkach śniadanie, a skoro zjedli, znowu się jęli roboty i tak, zwalając ogromne wiekowe drzewa, pracowali do południa.

Na obiad wrócili znowu przed szałasy, aby się posilić i wytchnąć trochę. Kiedy Grzędzianka postawiła przed nimi pełną miskę i podała łyżki, Głodzikowski jadł, a co chwila zerkał w stronę kolonji murzyna. Jakoż po niejakiej chwili ukazał się na wzgórzu Manoelo, którego czarna twarz

wyraziście się rysowała na zielonem tle krzewów. Murzyn stanął i spoglądał ku polskim kolonistom.

— Aha, murzyn już wabi tatusia!—wykrzyknął Felek.

— Stul gębę, zatracony raku!—zawołał Marcin ze złością.—Tobie zaś co do tego?...

Manoelo czuł dobrze, że jego przyjaźń z Głodzikowskim musi się niepodobać Strzale i innym, więc nie miał śmiałości podejść do szałasów, tylko zdaleka obserwował. Trudna rada, Marcin nie zdołał się oprzeć pokusie, i od południa drapnął; Wicek nie mógł go dopilnować.

— Oj, ciężko się dziś spracowałem—rzekł Głodzikowski, połączywszy się nareszcie w lesie z przyjacielem.

Murzyn nie rozumiał, co Marcin mówił, i wytrzeszczał tylko oczy z dużemi białkami. Sądził, widać, że mu chłop robił jakąś propozycję, bo wyciągnął rękę w kierunku miasteczka i przyzwalająco skinął głową.

— Kasias!—zawołał Głodzikowski.

Manoelo znowu skinął głową i twarz apatyczna mu się ożywiła. Niebawem puścili się w drogę; deszcz nieco rosił, lecz to ich bynajmniej nie powstrzymywało. Skrócili sobie drogę, która prowadziła przez wysoką górę, i przeszli dołem po kładce nad strumieniem, huczącym gdzieś głęboko wdole pomiędzy urwistemi skałami.

— Tu łatwo grób znaleźć!—rzekł Marcin, ukazując palcem przepaść.

Murzyn skinął głową.

Zmierzch już padał, kiedy przybyli do miasteczka i udali się prosto do znanej sobie gospody. Zastali tam tylko policjanta, który, paląc papierosa, siedział w milczeniu nad maleńką filiżaneczką czarnej kawy.

— Dajs Kasias!—zawołał Głodzikowski, szczęśliwy, że umiał tyle powiedzieć po portugalsku.

Oberżysta z zimną krwią rozlał wódkę w dwie czarki, a Marcin skwapliwie trącił się z murzynem i wypił swoją porcję, poczem splunął przed siebie.

Policjant zamówił coś do murzyna i wszczął z nim rozmowę, w której Głodzikowski nie brał wcale udziału, lecz, skrzyżowawszy ręce na piersiach, przechadzał się po izbie.

Po kilku minutach Marcin zbliżył się do rozmawiających, mrugnął na murzyna i rzekł:

— Kim, Manelo, kim! Na jednej nodze przecie nie będziewa stali.

Znowu nastąpiły „dajs kasias". Teraz Głodzikowski kazał sobie dać tytoniu za dwa wintyny, poczęstował nim murzyna, policjanta i sam, śliniąc kawałek grubego papieru, skręcał w palcach papierosa.

— Wódka tu w Bryzolji u was gorsza, ale zato tytoń macie czujny! Jak pociągnąć dymu, to nikiej zgrzebłem po wnątrzu drapie: człek wie, że kurzy!... *Tabak gut!*

I Marcin szeroko otwarł usta, puszczając kłęby dymu.

— Fumo!—zawołał policjant.

— Nie fumu, jeno tabak, mówię wam! U nas się też nazywa świcent albo machorka; ale na okręcie każdy mówi: tabak, a wódkę nazywają śnaps!... U was się gorzałka nazywa Kasias, ni w pięć, ni w dziewięć...

Począł znowu chodzić po izbie, a pod nosem mruczał sam do siebie:

— Ścierwo ta Bryzolja, wszystko w niej takie opaczne... Okowitkę pono tu robią z cukru, nie z kartofli. Chłopa u nich nie uświadczy, jeno co tknąć — murzyn albo Bryzoljan... Pewnikiem bez to chłopów sobie z Polski sprowadzają.

Skończywszy ten monolog, podszedł do stołu i rzekł:

— Panie wojak, możebyśwa się trącili — hę? Kim, kim, trejs Kasias!

Zrozumiał policjant, że mu chłop ofiaruje kubek, przyjął i do dna wychylił.

Marcin, któremu coraz więcej fantazji przybywało, poklepał policjanta po plecach, wołając:

— Sołdat gut!... Fajn pije śnaps!... Małe to to, a czysto pije...

Teraz już Głodzikowski rozsiadł się za stołem i zaczął bardzo rezolutnie rozmawiać. Murzyn po tej trzeciej czarce kaszasu był prawie nieprzytomny, otwarł idjotycznie szerokie usta, z których mu ślina ściekała, i wybałuszone oczy utopił w Marcinie.

— Czegóż ty, durniu, tak na mnie wywalasz gały?—powiada Głodzikowski.—Czy ja mam rogi na łbie? Tyś prędzej podobny do djabła, boś czarny i nazywasz się Manela. U nas w Polsce tylko Żyd się nazywa Manela, a nie żaden człowiek... Głodzikowski ja się nazywam, po pańsku, a ty—Manela, flanela!...

Chwycił murzyna za ucho, pokręcił mocno, a potem znowu prawił:

— Wiesz ty, panie wojak, że ja tego Manelę kocham, choć taki dureń, jeno go nigdy w gębę pocałować nie mogę? Cała skóra na nim śmierdzi capem czy psem zdechłym!... No dalej, kim, kasias!

Policjant ruchem wyraził gotowość do picia; ale murzyn podparł głowę na łokciach, bo czuł taki zawrót, jakby się świat z nim kołował.

— Manela, pójdź na kasias! — wykrzykiwał Marcin.

— Cachas!—mruknął murzyn.—Obrigado!...

— Brykało, brykało!... A wiesz ty, co się u nas

w Polsce nazywa brykalą?... Chleb razowiec, co go sobie chłop tęgo podje, to potem bryka!... Manelu, pójdź na kasias, bo cię, jak Pana Boga... Panie szynkarzu, nalać trejs kasias, ja funduję!...

Gospodarz znowu nalał trzy czarki, Marcin trącił się z policjantem, ale murzyn nie opuszczał swego miejsca za stołem. Głodzikowski wziął czarkę z wódką, podszedł do stołu i wrzeszczał:

— Manela, psia duszo, pij, bo ci gwałtem w gębę wleję!

Kiedy Manoelo i teraz się nie poruszył, Marcin pochwycił go w lewą garść za kędzierzawą czuprynę, a przechyliwszy mu wtył głowę, wylał w gardło gorzałkę. Jakoś szczęśliwie przeszła wódka do miejsca swego przeznaczenia.

— Jucha, ma spust dobry, tylko łeb słaby!... A u nas, w Polsce, jak chłop setny, to cały tęgi, nie przymierzający ja, Marcin Głodzikowski, ze wsi Rokitnicy, gospodarz rolny!... Panie wojak, sprobuj się pan ze mną na rękę!

I Marcin uparł się koniecznie, żeby swych sił spróbować w zapasach z policjantem. Ale brazyljański strażnik porządku publicznego zaczął przed chłopem uchodzić to w prawo, to w lewo. Podczas tej pogoni Głodzikowski wyrwał mu z pochwy pałasz i, wywijając nim, wołał:

— Poco takiemu kociakowi szabla? Mnie ją dać, to pokażę!... Co mi to za żołnierz, ledwie ćwierć chłopa!... U nas żołnierz, to żołnierz... chłop, jak smok!...

Jeszcze wypili po parę czarek, poczem już Marcin, równie jak policjant, zwalili się pod ławy, gdzie przedtem jeszcze spoczywał Manoelo.

Nazajutrz, około południa, zataczając się, Głodzikowski i murzyn powracali z miasteczka do kolonji. Kiedy przybyli pod górę, którą można było obejść po kładce na strumieniu, murzyn się cofnął,

unikając niebezpiecznej przeprawy. Ale Marcin nawoływał nań:

— Manela, psia wiaro, zawracaj! Słyszysz, ja ci każę tędy iść ze mną!

Mówiąc to, zaczął gonić murzyna, który się potknął w ucieczce i runął. Głodzikowski nadbiegł, padł na leżącego, chwycił go oburącz za gardło i dusił. Doprowadziło to, widać, Manoela do wyzwolenia energji, bo zębami ugryzł przeciwnika w rękę aż do krwi, nagle wydobył się nawierzch, wymierzył Głodzikowskiemu parę potężnych kułaków i puścił się lasem przez górę.

Tego właśnie dnia po południu, Strzała, wziąwszy ze sobą psa i strzelbę, wybrał się do miasteczka, aby poczynić pewne sprawunki. Już miał wstąpić na ową wąską kładkę, gdy spostrzegł Marcina, który, krwią zbroczony i zaledwie trzymając się na nogach, usiłował z przeciwnego brzegu dokonać przeprawy.

Przerażony Wicek krzyknął:

— Stój!

Przytem rękoma wykonywał gesty wzbraniające.

— Ho, ho!—mruczał Głodzikowski.—Niech mi się nikt nie przeciwi, bo, jak Pana Boga...

Pies Strzały, widząc jakieś niespokojne ruchy swego pana, puścił się przez kładkę, na którą wszedł już i Marcin. Człowiek i pies spotkali się prawie na środku drogi.

— To ty mi, hyclu, będziesz stał na zawadzie! —krzyknął Głodzikowski ochrypłym głosem i nogą chciał psa strącić z kładki.

Ale sam stracił równowagę i gruchnął w przepaść.

Woda strumienia zarumieniła się od krwi, a pomiędzy kamieniami leżał trup Marcina z roztrzaskaną głową.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

Bibljoteka Groszowa (Warszawa, Moniuszki 11) poleca:

z literatury polskiej:

Adamowicz B.	— Triumf żółtych.
Danilowski G.	— Pociąg
Dygasiński A.	— Z pod ciemnej gwiazdy
"	— Złamane Życie
"	— Na warszawskim bruku
"	— Właściciele
"	— Von Molken
Dzikowski St.	— Gracz
Gomulicki W.	— Siódme Amen
Grubiński W.	— Nowele
Hajota	— Ostatnia butelka (2 tomy)
Jagniątkowski	— W legji cudzoziemskiej
Junosza Klemens	— Na bruku
Kleszczyński Z.	— W latarni
Korzeniowski J.	— Spekulant
Kraszewski J. I.	— Hrabina Cosel (2 tomy)
"	— Ostatni z Siekierzyńskich
"	— Chata za wsią (2 tomy)
Ligocki E.	— Powrót Beatryczy
Sewer.	— Bajecznie kolorowa
Słoński E.	— Partja
Tetmajer-Prz. K.	— Waterloo
"	— Gra fal
"	— Anioł śmierci (2 tomy)
"	— Romans panny Opolskiej (2 tomy)
"	— Otchłań
"	— Na skalnem Podhalu, (2 tomy)
"	— Księżniczka Metella, (2 tomy)
"	— Koniec Epopei, (trzy tomy)
"	— Legenda Tatr (3 tomy)
Winawer B.	— Lepsze czasy
"	— Ślepa Latarka
"	— Dr. Przybram
"	— Promienie F. F.
"	— Boczna antena
Żuławski J.	— Na Srebrnym Globie, (2 tomy)

z literatury francuskiej:

Daudet A.	— Mały (2 tomy)
"	— Przyg. Tartarina w Afryce
"	— Przyg. Tartarina w Alpach
Dumas A. (syn).	— Dama Kameljowa
„ (ojciec)	— Trzej Muszkieterowie (3 tomy)
Erckman-Chatrian.	— Opowiadania Alzackie
Flaubert G.	— Salammbo, (2 tomy)
Gallet	— Przyg. Cyrana Bergerac (2 tomy)
Hugo W.	— Nędznicy, (8 tomów)
Maupassant G.	— Miłość
"	— Panna Fifi
"	— Szalony
Murger	— Cyganerja, (2 tomy)
Prewost	— Manon Lescaut
Rosny J. H.	— Lot w nieskończoność
"	— Walka o ogień (2 tomy)
"	— Boje olbrzymów
Verne J.	— Kurjer carski
Zola Emil	— Za jedną noc
"	— Marzenie

z literatury włoskiej:

Collodi C.	— Pinokio,
Pirandello K.	— Czerwona książeczka
Serao M.	— Odcięta ręka

z literatury hiszpańskiej:

Calderon	— Zemsta Kondora
Ibanez Blasco	— Meksyk

z literatury skandynawskiej:

Amundsen	— Lot do bieguna północnego
Strindberg A.	— Opowieści

z literatury amerykańskiej

London J.	— Na szlaku
„	— Opow. morz południowych
„	— Syn Słońca
„	— Zew Krwi
„	— Wyga
„	— Prawo białego człowieka
„	— Odszczepieniec
„	— Serce kobiety
„	— Wilk morski (3 tomy)
„	— Odyssea Północy
„	— Przyg. w zat. San Francisco
„	— Bóg Ojców Jego
„	— Przygoda, (2 tomy)
„	— Martin Eden, (4 tomy)
Pisarzy ameryk.	— Małżeństwo w Ameryce
Twain Marka	— Król i Osioł
Wallace R.	— Ben Hur, (2 tomy)

z literatury niemieckiej:

Hoffmann	— Opowieści,
Perutz i Frank	— Cud Ulama Singh'a

z literatury węgierskiej

Jokay M.	— Atlantyda
„	— Inne czasy, inni ludzie (3 tomy)
„	— Porusz. z posad ziemię, (4 tomy)

z literatury angielskiej:

Bennet	— Rozrywki miljonera
Bulwer T.	— Ostatnie dni Pompei
Conrad J.	— Tajfun
Dickens K.	— Opowieść wigilijna
Lafcadio Hearn	— Czerwony ślub
„	— Japo ja
Stevenson L.	— Djament Radży
Wailor Scott	— Ryszard Lwie Serce, (4 tomy)
Wells H G.	— Niewidzialny
„	— Wehikuł czasu
„	— Kraina ślepców

z literatury rosyjskiej:

Aldanow M.	— Św. Helena mała wyspa
Czechow A.	— Opowieść nieznajomego
„	— Śmierć urzędnika
Dostojewski T.	— Skrzywdz i poniżeni, (3 tomy)
„	— Gracz
„	— Białe noce
Mereżkowski D.	— Dekabryści, (2 tomy)
Puszkin A	— Dubrowski
Szczedryn N.	— Judaszek
Tołstoj L.	— Hadżi-Murat

Tom 95 groszy. Prenumerata kwartalna (13 tomów) — 9 zł. 95 gr.

List zwrotny

DO BIBLJOTEKI GROSZOWEJ

w Warszawie

ul. Moniuszki 11.

Upraszam o nadsyłanie wydawnictwa tygodniowego

Bibljoteka Groszowa.

Należność, z przesyłką pocztową; z dodatkami dla młodzieży oraz z magazynem nHP:

Za kwartał . . . **zł. 9 gr. 95**
„ miesiąc . . . **zł. 3 gr. 35**
„ kwartał w oprawie **zł. 13 gr. 95**
„ miesiąc „ **zł. 4 gr. 80**

jednocześnie przesyłam przekazem (P. K. O. **11.140**).

Proszę pobrać za zaliczeniem pocztowem, z doliczeniem kosztów zaliczenia

Wiersz niepotrzebny przekreślić.

Proszę wyciąć.

Imię i nazwisko .....

.....

Adres .....

.....

.....

Zamówienie

Do

Bibljoteki Groszowej

w WARSZAWIE

ul. Moniuszki 11/1.

NA ZŁAMANIE KARKU

ADOLF DYGASIŃSKI

DZIEŁA

PIERWSZE WYDANIE ZBIOROWE

TANIE

W OPRACOWANIU
WŁADYSŁAWA WOLERTA

Z PRZEDMOWĄ
Prof. AL. BRÜCKNERA

ORAZ
Z ŻYCIORYSEM NAPISANYM PRZEZ CÓRKĘ AUTORA

POWIEŚCI

IX

NA ZŁAMANIE KARKU

ADOLF DYGASIŃSKI

NA ZŁAMANIE KARKU

POWIEŚĆ

TOM II

Pamiętaj! BIBLJOTEKA GROSZOWA 95 GROSZY ten znak

NAKŁADEM „BIBLJOTEKI GROSZOWEJ"
Warszawa, Moniuszki 11. Telefon 190-93.

Wszelkie prawa, co do tłumaczeń i przeróbek, zastrzeżone.
Przedruki, nieuprawnione przez wydawcę, wzbronione.

Polska Drukarnia w Białymstoku, Sp. Akc., Warszawska 59a.

ROZDZIAŁ XXI

Po śmierci.

Strzała miał nadzieję, że nieszczęśliwemu można jeszcze nieść ratunek, więc się opuścił na dno przepaści; wnet się jednak przekonał, iż z Marcina dech życia już uleciał. Ażeby wydobyć martwe zwłoki, Wicek musiał się z niemi przeprawiać blisko wiorstę drogi wdół strumienia, gdzie już snadniej było na brzeg się wydostać.

Dokonawszy tego dzieła z niemałym trudem, niósł trupa przed szałasy. Strasznie wyglądała teraz latająca na wszystkie strony głowa nieboszczyka: kawałki zsiadłej krwi pozlepiały włosy na skroniach i czole, nieruchome oczy, krwią nabiegłe, wyszły nawierzch i wyszczerzyły się zęby obu szczęk, silnie zwartych.

Czarne sępy poczuły zapewne żer dla siebie, bo lecąc górą, przeprowadzały Wicka z tem brzemieniem.

Pierwszą napotkaną osobą był Kobylak, który siedział pod drzewem i zdaleka już spostrzegł Strzałę.

— W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego! — zawołał Bartłomiej, podnosząc się z ziemi, a cała twarz jego przybrała wyraz zgrozy. — Cóż się stało?...

Wicek złożył na ziemię ciężar i opowiedział starcowi całe zdarzenie.

— Gniew Pański przyszedł już do nas i trafił najpierwszego!—rzekł uroczyście Kobylak.—Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja!... Duszy zmarłego racz dać pokój wiekuisty. Amen.

Niebawem nadszedł też Felek i, ujrzawszy zwłoki swego rodzica, rozgłośnym lamentem napełnił powietrze. Teraz Bartłomiej wziął nieboszczyka pod swoją wyłączną opiekę, omył go, przybrał w czyste obleczenie i ułożył go poza szałasami na stosie gałęzi. Przez całą noc leżał tak Marcin, sztywny, z obrazkiem świętym w rękach, złożonych na piersi, z powiekami, przyciśniętemi przez dwie miedziane monety; dokoła niego, zamiast świec, gorzały łuczywa. Kobylak, zgięty w kabłąk, klęczał i głośno odmawiał różne modlitwy za umarłego.

Po upalnym dniu zaiskrzyło się niebo gwiazdami, w dolinie szumiał i huczał potok, a nad nim, niby dymek, unosił się lekki, białawy obłoczek mgły. Wnet też, jakby gwiazdami, pokryły się i lesiste góry miljonami świetlików. Z wnętrza borów dolatywał posępny głos puhacza, a naokoło brzmiała nigdy nie ustająca muzyka świerszczów i piewików. Czasem na czystem niebie, jak rakieta, przeleciała spadająca gwiazda i, rysując świetlny łuk w przestworzu, ginęła w dziewiczych borach Brazylji.

Tego wieczora nikt nie tknął wieczerzy, przygotowanej przez Marynę. Przed szałasami siedzieli: Wicek, Maryna i Felek; nikt nie śmiał jakoś odezwać się jednem słówkiem, tylko Głodzikowszczak czasem coś sobie przypomniał i zaszlochał. Wtem naraz w mroku zjawił się przed nimi Bartłomiej

i, nic nie mówiąc, ręką dał znak, aby wszyscy za nim poszli. Zaprowadził ich przed zwłoki Marcina, na którego twarz padał blask od światła łuczyw. Uczucie smętku i grozy obudzał w duszach tej gromadki widok chłopa polskiego, zmarłego tak daleko od swoich, od cmentarza, gdzie spoczywały prochy jego dziadów i ojców.

Ziemia pragnie odebrać te płody, które urodziła, a teraz je oto traci na zawsze,—traci swoją płodność.

Kobylak miał w twarzy ów poważny i surowy wyraz, który cechuje kapłana, przejętego ważnością swoich obowiązków; jego oblicze zdawało się mówić do obecnych:—„Jestem wyższy nad wasze powszednie smutki i cierpienia, bo większe nad to rzeczy mię obchodzą, bo ponad waszą zgryzotą panuje wielka idea, a ja jestem jej kapłanem".

Biedna jest ziemia, która takich już nie ma!

Starzec nie mógł uklęknąć o własnej sile, więc ukląkł, wspierając się na sękatym kiju, który wbił w ziemię; na nim złożył obie ręce i zaintonował litanję za dusze zmarłych. Jego głos drżący zdawał się ginąć w szumie potoku i krzyk puhacza dopełniał go niejako.

Już teraz słychać było ciągłe wołanie i odpowiedzi:

— „Kyrye elejson. — Chryste elejson. — Kyrye elejson. — Chryste, usłysz nas. — Chryste, wysłuchaj nas. — Ojcze z nieba Boże, zmiłuj się nad nami..."

A puhacz i szum potoku ciągle wtórowały tej litanji polskich chłopów.

Kończyli nabożeństwo, Kobylak wygłosił—„Baranku boży, który gładzisz grzechy świata", a chór mu odpowiedział:—„zmiłuj się nad nim, Panie!"

Nagle pies Strzały warknął i wbok poskoczył,

ujadając zawzięcie. Nie przerwano atoli modłów jeszcze:

— „I nie wódź nas na pokuszenie".
— „Ale nas zbaw ode złego".
— „Panie, wysłuchaj modlitwy nasze".
— „A wołanie nasze niech przydzie do Ciebie"...

Wtem dał się słyszeć odgłos cichych kroków. Mimowolnie wszyscy zwrócili głowy w tym kierunku i spostrzegli Manoela, który spokojnie, z głową pochyloną, przystąpił do zwłok i kornie padł na kolana. Przeżegnał się, złożył ręce, szeptał modlitwę, bił się w piersi, chylił ku ziemi głowę, i znowu się żegnał, i znów modlitwę rozpoczynał. Oni skończyli już się modlić, a z warg jego ciągle brzmiał jeszcze szmer pacierzy. Oprócz Bartłomieja, wszyscy powstali, a murzyn ciągle się modlił i modlił.

Z za ciemnych borów ukazał się na niebie księżyc, gorejący ogromną łuną, wschodził jak pożoga, mająca cały świat objąć sobą. Przy jego krwawem świetle najwyższe palmy gór czarno się odrysowały na tle nieba.

Bartłomiej i murzyn ciągle jeszcze klęczeli przy umarłym. Manoelo powstawał niekiedy, dorzucał świeżych łuczyw na przygasłe ognisko, poczem padał na kolana i znowu się modlił. Pomiędzy tym człowiekiem a polskimi emigrantami istniał tajemny węzeł współczucia: on, przed dwoma laty jeszcze niewolnik, czuł dotąd, jak ciężko jest człowiekowi na obcej ziemi, gdzie mu wszystko walkę wypowiada.

Zabieliło się niebo, znużone całonocnem lataniem świetliki zniknęły gdzieś w gąszczach i puhacz przestał nawoływać. Świeże, miłe powietrze poranku szło poprzez doliny, góry, a w lasach

odezwało się, jak żałosne jęki, gruchanie gołębia jurity.

Oparty na swoim kiju, Bartłomiej wyczerpał siły, drzemał i przez sen poszeptywał niekiedy jakieś wyrazy pacierza, a murzyn czuwał jeszcze ciągle i ciągle się modlił. Nagle powstał, podszedł do zwłok Głodzikowskiego, złożył przed nim ręce i zdawał się o czemś rozmawiać z przyjacielem, z którym się tyle razy trącał czarką kaszasu.

Oczy Manoela wyrażały jakby prośbę, błaganie, zadrgały mu grube wargi i po czarnem licu stoczyła się łza rozrzewnienia. Snadź na dnie duszy, pod nałogiem pijaka, był człowiek. Może teraz chciał sam na sam pożegnać przyjaciela pijaka po raz ostatni, a może wyraził żal swój, iż mu nie towarzyszy do bram wieczności.

Dobry dzień był na niebie, gdy przed szałasem dał się słyszeć skrzyp piły i od czasu do czasu uderzenia topora czy młota: to Strzała zbijał trumnę dla Marcina. Kiedy ją już przygotował, wziął na ramię, przyniósł i postawił w nogach umarłego.

Ocknął się teraz dopiero Bartłomiej; lecz długie klęczenie tak zgnębiło starca, że żadną miarą nie mógł powstać na nogi o własnej sile i Wicek zaledwie go zdołał podźwignąć. Kobylak ciągle miał fizjognomję uroczystą, popatrzył na trumnę i ręką dał znak Strzale, iż na wieku brakuje krzyża. Wicek wyraził pewne zakłopotanie, nie wiedząc, co ma począć; wtedy murzyn żywo poskoczył do swojej kolonji, przyniósł stamtąd sztabkę żelaza, rozpalił ją do czerwoności w płonącem ognisku i na wieku trumny wypiętnował krzyż czarny; potem podszedł do Bartłomieja i pytał go na migi, czy grób już wykopano. Właśnie Strzała miał się tem teraz zająć, lecz Manoelo wymownie błagał go spojrzeniem, aby mógł tę czynność wykonać. Kobylak zawyrokował, iż mogiła nebo-

szczyka ma być na owej polance, gdzie sobie sam starzec zbudował był kapliczkę z gałęzi, tam się też murzyn udał natychmiast z motyką.

W dobrą godzinę czasu powrócił Manoelo, dając znać, że grób jest już przygotowany. Teraz Bartłomiej odprawił po raz ostatni modły nad umarłym, poczem nieboszczyka złożono w trumnie. Rozległ się huk przybijania wieka, czemu towarzyszył rozgłośny płacz Felka.

Wicek i murzyn przystąpili z obnażonemi głowami, dźwignęli trumnę i ponieśli ją na swych ramionach. Przed nimi postępował Bartłomiej, biały jak gołąb, na szyi miał zawieszony swój różaniec, w ręku niósł krzyż z dwóch kijków, związanych sznurkiem sipo, i śpiewał pieśń:

„Witaj Królowo nieba i Matko litości,
Witaj nadziejo nasza w smutku i żałości!"

Za trumną szła Grzędzianka i Felek, oboje z zapłakanemi oczyma.

Za życia Głodzikowski, oprócz murzyna, nie miał w nikim szczególnego przyjaciela, z powodu swego nałogu do gorzałki; ale po śmierci chętnie zapomniano o jego przywarach, a jedno wszyscy dobrze pamiętali: że to był swojak z Rokitnicy.

I tak cały ów szczupły orszak szedł pod górę, aż dotarł do znanej nam polanki. Tutaj ustawiono naprzód trumnę na ziemi, podłożono pod nią dwa grube a długie sznury sipo, na których Strzała i Manoelo powoli spuścili zwłoki do dołu.

W tej chwili Bartłomiej, trzymając krzyż w lewej ręce, prawą zrobił znak krzyża świętego nad grobem i przemówił uroczyście:

— Duszo Chrystusowa, której śmiertelne ciało tutaj spoczywa, niech ci odpoczynek da Jezus Chrystus, syn Boga żywego, który nas krwią swoją odkupił, a niech cię z opieki swojej nigdy nie wy-

puszcza nasza Przenajświętsza Panna z Jasnej Góry. Amen."

Wszyscy zaczęli teraz garściami rzucać do dołu ziemię, która, spadając na trumnę, wydawała głuchy odgłos.

Na usypanej świeżo mogile Kobylak zatknął ów krzyż, co go niósł w ręku. I znowu teraz wszyscy wieńcem uklękli koło grobu, a cichy szept polskich pacierzy leciał gdzieś w brazyljańskie bory.

Tak się odbył pogrzeb Marcina Głodzikowskiego.

Manoelo często chodził na grób przyjaciela, obsadził go drzewkami i nakrył darniną; Bartłomiej też codziennie odmawiał tutaj pacierze za duszę nieboszczyka.

ROZDZIAŁ XXII

Wąż popsuł plany.

Po śmierci Głodzikowskiego tryb życia na kolonji nic a nic się nie zmienił. Wicek pracował teraz jeszcze usilniej; opadła go jakaś gorączka pracy, jakaś taka nagłość, jakgdyby chciał wszystko od jednego zamachu zrobić. O wschodzie słońca już był na swojej kolonji i puszczał w ruch siekierę, przygotowując ziemię pod przyszłe zasiewy. Posiliwszy się na południe, używał krótkiego tylko wypoczynku i znowu pracował, nieraz mimo słoty lub nadzwyczajnego skwaru. Kiedy się zmierzchło, on przed wieczerzą i po wieczerzy wykończał budowę chaty. W tych wszystkich czynnościach dopomagał mu Felek, o ile mógł chłopak taki.

Obaj ci pracownicy strasznie wyglądali: słońce przypaliło im doczarna skórę na twarzy, szyi, rękach, a resztę ciała pokryły jakieś krosty, które bolały, swędziały. Pchły ziemne znowu pokaleczyły im nogi nielitościwie, a od ukąszeń innych owadów opuchli zupełnie.

Ubiegło dwa miesiące czasu od przybycia ich tutaj i przygotowawcza praca w kolonji Strzały była już na ukończeniu. Drzewa, toporem zwalone na stoku góry, przeschły już, więc je poczęto palić, co było niełatwem zadaniem; należało bowiem

oddzielnie pod każdą kłodę podkładać ogień, a oprócz tego zbierać niedopałki gałęzi, układać je w stosy, palić, aby zyskać przestrzeń pod przyszłe zasiewy.

Mimo jednak całej usilności niepodobieństwem było pozbyć się owych zawad. Pole kolonji wyglądało jak pogorzelisko, pełne węgli i opalonych ogromnych belek, pomiędzy któremi jedynie mógł kolonista siać lub sadzić, nic nie wiedząc jeszcze, jaki plon będzie. Dniem i nocą wznosił się dym z niwy Wicka, płonęły tam liczne ogniska, a dokoła nich wiła się moc wężów, jaszczurek różnej wielkości i barwy.

W ogólnych zarysach stanęła też i klatka chaty, którą Wicek zamierzył zbudować, jak mówił, na sposób polski; ale i ta praca nie szła sporo: raz, że Strzała na sztuce budownictwa znał się nieosobliwie, następnie, że mu brakowało różnych potrzebnych narzędzi.

Stosownie do tego, jak się posuwały naprzód owe roboty i bliskie były dokończenia, Wicek zwracał się coraz widoczniej ku Marynie, robiąc wymówki, że „na gospodarstwie, na kolonji, nie może być dłużej tak, jak jest dotąd".

Grzędzianka dobrze rozumiała, o co chodzi, i spoglądała na Wicka ukradkiem, obdarzała go miłemi uśmiechami, bo wiedziała, że ma zalotnika, który teraz gotów iść z nią do ołtarza.

— Do czego to podobne—mówił raz Wicek—sama jedna dziewucha prowadzi tu całe babskie gospodarstwo, a nic ją z tem nie wiąże; obgadać jacy ludzie mogą, że my na wiarę z sobą żyjemy. No, a ja pocóż tak ciężko pracuję? Czy mnie to samemu jednemu potrzebne? Niechże raz będzie koniec temu sieroctwu, w jakiem tu na obczyźnie każde z nas zostajel... Koniecznie się przecie musi jedno na drugiem oprzeć.

Jak oni się tak rozmówili raz i drugi, tak nareszcie stanęło na tem, że się powinni pobrać, ile że i chałupa akurat postawiona dla jednej familji.

Manoelo przychodził na polską kolonję, przesiadywał tu, patrzył, co ludzie robią, a niekiedy dopomagał Marynie w jej gospodarskich zajęciach. Wyrażał on zawsze zdziwienie wielkie na widok tak skrzętnej pracy. On, chociaż miał rodzinę, bardzo rzadko i tylko z musu brał się do roboty na swojej kolonji. W domu jego była okrutna bieda: trzy krzaki bananów i kawałek ziemi, obsadzonej czarną fasolą, stanowiły całe utrzymanie tej rodziny. Przytem Manoelo każdy grosz, który mu wpadł do ręki, zaraz wydawał na kaszas, gdyż był namiętnym zwolennikiem tego napoju. Z żony jego sypały się szmaty, a dzieci chodziły nago. Ten murzyn zdawał się teraz na swobodzie odbijać ciężką pracę niedawnych lat niewoli i poszukiwać zapomnienia o życiu w gorzałce.

Po zmówinach Strzały z Grzędzianką budowa chaty postępowała już bardzo szybko; Wicek śpieszył się oczywiście, ażeby jak najprędzej przygotować dom mieszkalny.

Narzeczeni ułożyli się nareszcie, że pójdą do miasta i tam poproszą księdza o ślub kościelny. Felka z psem miano zostawić na kolonji dla opieki nad całym majątkiem, Bartłomieja zaś i Manoela poprosił Wicek na świadków przy akcie ślubnym. Ten układ miał miejsce we wtorek, a sobotę wyznaczono na ślub i wesele. Murzyn zawczasu już okazywał zadowolenie, mając nadzieję wypicia niejednej czarki kaszasu.

Atoli we czwartek przed wieczorem puścił się Strzała na łowy w bór, gdzie pies jego ruszył ogromnego tapira, którego Brazyljanie nazywają antu. Dziki zwierz daremnie chciał ujść przed natarczywością Zabija i rzucał się w największe

gąszcze; pies go nieustannie docierał i osadzał, a Wicek doganiał, pośpieszając za głosem Zabija. Już raz myśliwy dopadł był na odległość strzału i dał ognia, lecz tylko zranił tapira, który teraz całym pędem puścił się przez wąską, krętą ścieżkę, wydeptaną tu zapewne wyłącznie przez dzikie zwierzęta. Strzała, zagrzany nadzieją łupu, dającego cenne mięso, biegł żywo, trzymając na pogotowiu strzelbę z odwiedzionemi kurkami. Wtem naraz zboku poczuł jakieś nagłe uderzenie i ukłucie, jakby szydłem, w nogę. Gdy rzucił okiem, spostrzegł tylko ogon węża, który w tej chwili zniknął wśród gęstej trawy i krzaków.

Wicek zaraz sobie przypomniał opowiadania różnych ludzi o jadowitych wężach w puszczach Brazylji i mrowie go przeszło na myśl, że właśnie oto może już mieć w sobie śmiertelny jad płaza. Zaniechał przeto dalszych łowów, nie ścigał już tapira, lecz czem prędzej zawrócił do domu.

Kiedy przybył przed szałasy, zastał tutaj Marynę, krzątającą się około ogniska, do którego Manoelo i Felek kolejno drew dorzucali; opodal, na wypróchniałym pniaku drzewa, siedział Bartłomiej i kiwał się nad pacierzami.

Strzała zrazu nic nie rzekł: ale kiedy murzyn podszedł do niego z uśmiechem na ustach i zdawał się mówić: „jak widzę, nie udało ci się dzisiaj polowanie“, wtedy Wicek w milczeniu pokazał mu palcem ranę na nodze. Było to niewielkie zakłucie, poniżej którego przyschło nieco krwi ściekłej, a dokoła znać było na ciele lekkie zaczerwienienie.

Manoelo pochylił się, popatrzył uważnie, a potem z przestrachem wykrzyknął:

— *Jararaca!* *)

---

*) Miejscowa nazwa węża, będącego postrachem mieszkańców Brazylji.

Zaledwie to wyrzekł, pobiegł natychmiast do swojej kolonji i w cwał powrócił, niosąc tę samą sztabkę żelaza, która mu kiedyś posłużyła do wypalenia krzyża na Marcinowej trumnie.

Teraz murzyn gestami wyraził życzenie, ażeby się Wicek położył na ziemi.

Podczas gdy żelazo nabierało w ogniu czerwonej barwy, Manoelo wydobył nóż i ostrzem jego zakreślił najprzód krąg na skórze dokoła rany, którą potem rozpłatał tak, że krew obficie odpływać zaczęła. Następnie wydobył z ognia rozpalone do białości żelazo, przyłożył do nogi Strzały i palił żywe ciało, z którego się rozeszła niemiła woń spalenizny.

Wicek cierpiał bardzo, ale ani pisnął, zacisnął tylko zęby i poddawał się operacji.

Teraz murzyn pobiegł nad potok, narwał tam jakichś liści, położył ich kilka na ranie, a na liściach znowu rozpostarł warstewkę ziemi, rozrobionej na błoto w ślinie, poczem troskliwie obwiązał nogę długą szmatą.

Gdy tutaj nadszedł Bartłomiej i dowiedział się o tem wszystkiem, co zaszło, twarz jego przybrała jakiś ponury wyraz, a wzniósłszy rękę do góry, zawołał:

— Każdego z nas już Pan Bóg sprawiedliwy pokarał gniewem swoim!... Oj, to jeszcze nie koniec, Jego sprawiedliwość jest wielka, a grzechy nasze są bez miary i upamiętania!

To tylko rzekł, a potem zaraz padł na kolana i modlił się głośno:

— „Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi! Panie, niech Ci za wszystko będą dzięki! Ojcze litości pełen, niech Cię błogosławi dusza moja! Racz wysłuchać mnie, niegodnego sługę Twego, który do Ciebie zanosi modły za ten nieszczęśliwy naród! W Swoją ojcowską opiekę

przyjmij ich, Panie! Umacniaj ich, Wszechmogący Boże, ażeby dla miłości Twojej znosili swoje cierpienia!"

W nowej chacie już były przygotowane tarimy, to jest rodzaj łóżek: cztery słupki, wbite w ziemię, a na nich położona rama, przeplatana sznurkami sipo i zasłana liśćmi palmity.

Na taką to tarimę murzyn przy pomocy Felka i Maryny przeniósł Strzałę, zalecając mu leżeć spokojnie. Zaczęła się teraz długa i przykra kuracja.

Noga spuchła, zaogniła się i Strzała dostał bardzo silnej gorączki, podczas której opuściła go zupełnie przytomność. Przyszedł do siebie, lecz tem silniej odczuwał cierpienie.

Panowały nadzwyczajne upały, a w chacie było duszno i parno; przez otwory okien i drzwi wpadały roje natrętnych, dokuczliwych owadów, które dręczyły Wicka, pomnażając jeszcze już i tak bardzo wielkie dolegliwości.

Na szczęście Manoelo codziennie odwiedzał chorego, opatrywał ranę, opędzał muchy i komary i godzinami przesiadywał przy Strzale. Od czasu do czasu przychodził on tu pijany; woń kaszasu czuć było od niego i wtedy kładł się nieraz na gołej ziemi, chrapał, a roje owadów obsiadały jego skórę czarną, grubą i świecącą, jakby tłuszczem pociągniętą.

Bartłomiej bo już był za niedołężny, ażeby dozorować chorego; jego ciągłe modlitwy i przepowiednie nieszczęść nietylko nie przynosiły Wickowi ulgi, lecz go rozdrażniały.

Grzędzianka zawsze miała dosyć zajęcia około domu i choroba narzeczonego jakoś niebardzo ją zasmuciła. Felek, wtajemniczony już przez Strzałę w bieg robót na kolonji, nie próżnował bynajmniej, lecz nieustannie wynajdywał sobie zajęcia.

ROZDZIAŁ XXIII

Koloniści z nad Rio Itapava.

Porzućmy na chwilę naszych kolonistów u źródeł rzeki Itingi, a przypatrzmy się losom tych emigrantów, których z Desterro wysłano na parowcu do Itajahy, miasteczka, leżącego przy ujściu do morza rzeki Itajahy-Assú. I to miasteczko ma także koszary dla emigrantów, jeżeli koszarami nazwać można ten stary drewniany budynek, położony wśród bagnisk i sapów. Jest to raczej rodzaj stajni obszernej, w której urzędnicy kolonizacyjni pomieszczają nieraz około trzystu ludzi, zdrożonych, znękanych przygodami, zaledwie zdrowych, aby tam na wpółprzegniłym barłogu z liści wypoczęli i przygotowali się do cięższych jeszcze zapasów. Niektórzy, nie mogąc znieść atmosfery tego gniazda chorób, wynoszą się na świeże powietrze, stawiają sobie budy z gałęzi i tak oczekują dalszego przeznaczenia.

Otóż dwustu emigrantów polskich znajdowało się w tem położeniu przez cały tydzień czasu. Kto umarł, to umarł: szczęśliwy, że raz zakończył tułaczy żywot. Reszta doczekała się pewnego dnia wizyty pana szefa kolonizacji, nikłego człowieczka, z maleńkiemi jaszczurczemi oczyma, który tu przybył ze swoją świtą i z plikami papierów pod

pachą. Odczytał on listę powierzonych sobie ludzi, obojętnie wykreślił z niej tych, co umarli, a pozostałych wyekspedjował na mały parowiec, który ich miał powieźć po rzece Itajahy-Assú do Blumenau. I znowu pod rachunkiem zdano ich komendantowi statku.

Ale parowiec nie mógł pomieścić tylu ludzi, więc przyczepiono do niego na linie wielką łódź, napełniono ją ludźmi, jak śledziami, i puszczono się w drogę. Słońce nielitościwie paliło głowy tych, którzy płynęli na owej odkrytej łodzi; przychylali się zatem, czerpali dłoniami wodę z rzeki i polewali rozpalone czaszki. Kto nie zna słońca Brazylji, ten nie ma wyobrażenia, co za męczarnię sprawiać mogą jego promienie, jeśli się przed niemi nie można schronić. Wielu siadało na brzegu łodzi, opuszczając nogi w wodę, ażeby się przynajmniej w ten sposób cokolwiek ochłodzić.

Bądź co bądź, po przebyciu jednego piekła w koszarach Itajahy, drugiego na słonecznym spieku, przed którym nawet wytrwały murzyn zasłania się parasolem, cała gromada przybyła do koszar w Blumenau, już pod sam wieczór. Pomieszczenie, które tutaj znaleźli emigranci, było rajem w porównaniu z koszarami w Itajahy. Komendant statku zdał swój towar urzędnikom kolonizacji i odpłynął.

Znowu stacja odpoczynkowa, trwająca przez kilka dni, a potem znowu jazda dalsza, już teraz lądem i na kolonje. Ale jakże tu można wypocząć w takim tłoku, gwarze ludzi! Tam niemowlę wrzeszczy, jakby życie z siebie wypłakać chciało; opodal matka rozpacza straszliwie, bo oto już ostatnie dziecię za chwilę straci; dalej jeszcze jakaś rozczochrana baba z furją wpadła na męża za to, że ją do emigracji nakłonił; gdzie indziej dwóch chłopów zawzięcie się swarzy, bo jeden od dru-

giego pożyczył pieniędzy i oddać mu nie może, a wierzyciel jest oto w potrzebie; jeszcze gdzieindziej przyjaciel przyjacielowi opowiada jakieś zdarzenie, a że chce być słyszanym, więc usiłuje wszystkich przekrzyczeć. Ci, którzy tu właśnie tylko co przybyli, zawierali znajomości z tymi, co przybyli dawniej; stąd pełno wykrzyków, skarg, utyskiwań na doznane zawody.

Jednakże i to wreszcie przeszło, a emigrantów wysłano na kolonje do tak zwanych *Terras devolutas* (ziem niezajętych), leżących między górami Serra do Jaragua i ich odnogami, w których biorą początek bardzo liczne rzeki, będące dopływami Itajahy-Assú. Tutaj u źródeł Rio Itapava wyznaczono terytorjum na polskie kolonje.

Zdumieli się teraz emigranci, kiedy im ukazano ową obiecaną ziemię, do której spieszyli z takim zapałem na złamanie karku. Bory nieprzebyte i góry—wszystko poza światem!

Urzędnik kolonizacji w towarzystwie miejscowego dozorcy i tłumacza zaprowadził ich do szopy bez ścian i rzekł:

— Oto są baraki, które wam rząd przeznacza na tymczasowe mieszkanie, zanim sobie pobudujecie chaty! Spodziewam się, moi ludzie, że teraz jesteście już zupełnie szczęśliwi, przysługują wam bowiem wszystkie prawa wolnych obywateli Stanów Zjednoczonych Rzeczypospolitej Brazylji.

Kiedy chłopi posłyszeli tę przemowę z ust swojego tłumacza, rozległ się wśród gromady nędzarzy szmer niezadowolenia, a tu i owdzie wyrywały się przekleństwa lub groźby.

Ale oto urzędnik kolonizacji już im z przed oczu zniknął, a dozorca z rewolwerem i kindżałem za pasem popatrzył ostro na tłum obdartusów, poczem spokojnie odszedł do swoich bara-

ków na górze (zaprawdę o wiele, wiele wygodniejszych od tych nadole), ażeby tam z wyżyn czuwać nad porządkiem świeżych obywateli.

Teraz już dzień po dniu przynosił nową nędzę, a przyszłość ukazywała za cały ratunek—rozpacz.

Jak tu pracować o głodzie i w braku wszystkiego?

Nawet na owe narzędzia pracy, z czego się rząd brazyljański przez usta urzędników tak przechwalał, trzeba było czekać przeszło dwa tygodnie czasu. A tu wszystko dokuczało: przyroda, ludzie, własny głód, żal i tęsknota za rodzinnym krajem, na zawsze już straconym.

Wobec tego Matus Dzwonko, ów żarliwy apostoł emigracji do Brazylji, stracił zupełnie nadzieję odzyskania pieniędzy, które mu skradziono w Szarlottenburgu, i upadł na duchu. Żona jego, kobieta cicha, spokojna, z zapłakanemi oczyma, w milczeniu tuliła, jak mogła, dzieci głodne i schorowane.

Tak chciwy na rolę, Mikołaj Dąbek, zgłupiał formalnie, kiedy obejrzał te pałygi w górach, mające być jego własnością po nieskończenie wielkim trudzie wykarczowania dziewiczego lasu. Już w trzecim tygodniu pobytu tutaj, pewnego dnia, żona jego Kaśka, baba nader energiczna, istna tygrysica, gdy szło o obronę dzieci, choćby wobec męża, stanęła przed nim, jakby straszliwy sędzia i kat zarazem; wyglądała przerażająco: pod brudną koszulą pierś jej się wzdęła, szafirowe oczy świeciły iskrami, a cała twarz płonęła ogniem złości. Na muskularnych rękach miała rękawy koszuli zakasane po łokcie i tak na swych grubych, czerwonych, jak raki, nogach biegła do Mikołaja, aż ziemia pod nią dudniła. Chłop się cofnął z przestrachem, bo czuł, że nań idzie burza, której nie miał możności zażegnać, zwłaszcza, że go położenie na nowej kolonji nadzwyczajnie zgnębiło.

— Rany boskie, coś ty, nicponiu, najlepszego zrobił! — wrzasnęła Dąbkowa. — Wyprowadziłeś mnie i dzieci na skraj świata poto, żebyśmy tu zmarnieli? Ale czekaj, łajdaku, niedoczekanie twoje!... Długom nic nie mówiła, choć mi się serce krajało; chciałam zobaczyć ten twój grunt śliczny! Widzę go już teraz przecie! Powiedzże, możeś mędrszy od baby—hę?... Sam teraz stoisz jak niuńka, aż mię w rękach coś korci, żeby cię tak zamalować, gałganie, raz i drugi!... Bryzolji mu się zachciało, ananasów! Ty nicdobrego, kłuły cię w zęby kartofle i żur chłopski w Rokitnicy na roli, zachciało ci się pańskich przysmaków i słodziutkiej kawy, herbaty!... Nachlapałeś się tego na okręcie, jak świnia pomyjl... Sprzykrzyła ci się porządna kobieta ślubna, toś ją na drodze zostawił, jak wiecheć, i uciekłeś z myjakiem, z tłukiem ostatnim do Brymy, żeby używać... Cóż ty sobie myślisz, że ja ci to wszystko tak letko puszczę?...

— Kobieto, miejże upamiętanie! Ludzie się oto schodzą, pośmiewisko sobie z nas robią—odezwał się Mikołaj, łagodząc babę.

— O, ty durniu jeden, obieżyświecie! Jemu o ludzi chodzi, nie o rodzone dzieci i o ślubną żonę!... Przy ludziach będę wrzeszczała, niech wszyscy słyszą, niech wiedzą, ktoś ty taki!... Czym ja to ladajaka, żeby mi się nie było wolno upomnieć za sobą, za dziećmi?... Czym ja ci nie wniosła wiana, jako gospodarska córka: krów, pierzynek, gotowego grosza—hę? A potem jeszcze czy z pana ojca chałupy nie szło do ciebie pieczone, smażone i gotowane?Gadajże, urwipołciu, jeżelim ci zełgała!

— Toć ja ci się w niczem nie przeciwię—rzekł Mikołaj pokornym głosem.

— Nie przeciwisz się?... Gadaniem się nie przeciwisz, bo wiesz, na cobyś natrafił!... Jeszcze cze-

go! Ale, szubieniczniku jakiś, swoje robisz, boś taki już z urodzenia łajdak, zcicha pęk! Czyś to z mojem pozwoleństwem poleciał na tę emigrację?... Albo mnie się może pytałeś, jakeś z tą małpą Grzędzianką uciekał do Brymy?... Oj, ty huncwocie jeden, obrzydliwcze zatracony!... Widzicie go, w oczy mi będzie fałszem bluzgał!

Dąbek niewiedział już, co ma począć ze swarliwą babą, i drapnął—począł uciekać w głąb lasu. Ale Kaśka za nim pobiegła, dopędziła go w krzakach, pochwyciła silnie za czuprynę i jęła krzyczeć:

— Oddaj mi pieniądze, co je masz przy sobie, com je wspólnie z tobą wypracowała!... Oddaj, rozumiesz!

— Kaśka, bój się Boga! dość już tego publikowania!

— Gałganie, oddaj pieniądze, mówię ci, bo to nie twoje, to naszych dzieci! Oddaj, bo cię tu żywego nie wypuszczę! — Mówiąc to, wstrząsnęła chłopem silnie.

— Poco ci pieniądze?... Toć ja ich nie zjadam —odrzekł z niepokojem Mikołaj.

— Poco? Pytasz jeszcze — poco?... Poto, żeś, łajdaku, wszystko źle zrobił, żeś nas na nieszczęście w świat wyprowadził. Ja teraz rządy wezmę w rękę i będę ratowała od zguby siebie i dzieci. Oddaj pieniądze!

Z temi słowy pochwyciła ręką skórzaną torebkę, która się chłopu wysunęła z zanadrza, a w której on nosił pieniądze. Torebka atoli wisiała u szyi na mocnym sznurku i Kaśka jej urwać nie mogła.

Rozpoczęło się teraz w krzakach gwałtowne szamotanie, gdyż chciwy i skąpy chłop gotów był oddać raczej duszę, niż pieniądze. Sznurek, ciągnięty silnemi rękoma Mikołajowej, przetarł Dąbkowi skórę na karku i krew się ukazała. Teraz chłop

wpadł we wściekłość, zebrał wszystkie siły i oburącz pochwycił babę za bary, pociągnął ją ku sobie, potem pchnął i oboje padli na ziemię. Straszliwy krzyk sprowadził w krzaki licznych emigrantów, którzy poczęli niebawem rozbrajać walczące małżeństwo: jedni ciągnęli do siebie Mikołaja, drudzy dźwigali Kaśkę.

Zaperzona i zasapana baba, w podartej koszuli, z podrapaną twarzą, triumfowała ostatecznie, gdyż zębami odgryzła sznurek na piersiach męża i zabrała torebkę z pieniędzmi.

Z tym łupem biegła pośpiesznie do dzieci, a po drodze wykrzykiwała:

— Nie stoję teraz o ciebie, łajdaku! Mam o czem wrócić do ojców, a ty sobie rób, co ci się podoba!... Zostań w Bryzolji, zmów sobie jakiego myjaka, wszystko mi jedno!...

— Heród baba, bo Heród, jeno mądra!—zawołał Cierniak, przyglądający się tej scenie. — Obłowiła się setnie, bo Mikołaj spore pieniądze zawsze miał przy sobie.

A Mikołajowa przypadła do baraków, pochwyciła najmłodsze płaczące dziecko na ręce, tuliła je, całowała, potem poszła z niem w tę stronę, gdzie srodze strapiony Matus Dzwonko siedział, jak martwy głaz, wśród swej rodziny.

— Matusie, nie chcielibyście wy wrócić do Rokitnicy?—zapytała go Dąbkowa.

Pytanie było tak niespodziewane, miało w sobie tyle nadzwyczajnego uroku, że Matus osłupiał, jakgdyby sam Pan Bóg do niego przemówił.

Dopiero się Kaśka rozgadała, że chce wracać do domu, że męża porzuca, a jej samej jednej kobiecie nijako puszczać się z dziećmi w tylośną drogę, więc gotowa jest pożyczyć pieniędzy, potrzebnych na koszta powrotnej podróży dla całej rodziny Dzwonków.

Matus, rozrzewniony, rzucił się do rąk Mikołajowej, zaczął je całować, a wykrzykiwał:

— O, dobrodziejko nasza, niechże ci Pan Bóg tę łaskę w sto razy odda na dzieciach!

I tak postanowili sobie, że nie tracąc czasu, zaraz nazajutrz puszczą się w drogę piechotą do Blumenau, aby tam wsiąść na statek i udać się naprzód do Rio-Janeiro, a stamtąd do Bremy.

ROZDZIAŁ XXIV

Nieudana wyprawa.

Słońce ponad lasami pięknie weszło i wczesnym już rankiem zapowiadało wielki skwar dzienny.

W kolonji polskiej nad Itapava od samego świtu ruch się rozpoczął: kobiety rozniecały ogniska, znosiły do szałasów wodę, gałęzie. Tu i owdzie słychać było głośno odmawiany pacierz lub się rozlegała pieśń nabożna:

„Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, Tobie morze".

Matus Dzwonko i jego żona przygotowywali się do podróży, pakując w płachty cały swój majątek; toż samo robiła i Dąbkowa z niemałym pośpiechem.

Około godziny szóstej rano dobrze już czuć się dawał brazyljański upał letni, gdy w drogę wyruszył orszak, złożony z dwóch bab, chłopa i sześciorga dzieci.

Matus zabrał był na plecy ogromne zajdy z rzeczami Mikołajowej, a oprócz tego zawiesił sobie od przodu na szyi płachtę, wypchaną własnemi rupieciami; pod pachą niósł mniejsze jakieś zawiniątko, w prawej ręce koszyk z garnkami, łyż-

kami i zapasami żywności; za pasem miał długi nóż i nowy, lśniący topór.

Obie kobiety, jako też starsze dzieci, dźwigały inne jeszcze pakunki. Za nimi, w odległości może jakich pięciuset kroków, postępował niespostrzeżony Dąbek; szedł on smutny, z głową, zwieszoną ku ziemi, z rękoma, włożonemi w kieszenie kapoty.

Skwar słoneczny dokuczał coraz więcej, przeto podróżni musieli często odpoczywać, a wtedy i Dąbek przysiadał pod drzewem.

W czasie jednego takiego wypoczynku Mikołaj posłyszał za sobą odgłos czyichś kroków, odwrócił głowę i spostrzegł Cierniaka.

— Skądżeście wy się tu znowu wzięli?—zapytał Dąbek.

— Widzę przecie, że w tym boru niema co robić, tak trza gdzie indziej szukać kawałka chleba— odparł Cierniak i niebawem usiadł obok Dąbka.

— Juści prawda; zmanili nas psia wiary! I co tu teraz robić, w co ręce włożyć?

— Ja bo do Ryjo pociągnę, może się tam gdzie zawieszę; a wy, Mikołaju?...

— Czy ja wiem? Baba piekut zabrała mi a to pieniądze co do grosiczka i jestem teraz, jak bez rąk, bez rozumu.

— Nie możecie jej to odebrać? Żeby tak na mnie trafiła, miałaby się zpyszna — ho, ho!

Dąbek milczał, a Cierniak po chwili tak znowu mówił:

— Czyście wy to malowani, że was baba od wszystkiego usuwa? Kiej chodzi o taki powrót do Rokitnicy, toście wy przecie powinni tem wszystkiem dysponować. Potrzebnie ona Matusa z babą i dzieckami na wasz koszt bierze, a wam się nawet nie opowiedziała?

— A no, widzicie! Cóż z taką zatraconą jędzą zrobić?...

— Nie wiecie?... Postawcie się, jak na chłopa przystoi! Gwałt na gwałt; ona wam pieniądze siłą wyrwała, czy wy macie być od niej gorsi?

— Oj, żebym ja tę owę sam na sam gdzie dopadł, odebrałbym swój grosz święcie i jeszczebym jej na pamiątkę co przyłożył!

— Toć oni dziś do Blumenau przed nocą nie dojdą; muszą się na drodze zatrzymać i do dnia przeczekać, ile że ich po nocy przez rzekę nie przeprawią. Baba, zdrożona, zaśnie jak kamień, a w tem czas...

— Ja też poto idę za nimi, żeby upatrzeć porę, jeno widzicie z Kaśką ciężka sprawa: siły ma psia kość w rękach lepiej, niż drugi chłop, a taka zła i zawzięta, że niech rany boskie bronią!

— Kiej się ją dobrze przytłamsi, będzie cicho, a jak wy już pieniądze do swoich rąk dostaniecie, to się baba przed wami upokorzy.

— Ehe, nie taka ona! Pokory ja się od niej nie spodziewam, jeno nie chcę w Bryzolji bez niczego zostać, a ta psia dusza — widzę — myśli mię tutaj zostawić. Na to nie pozwolę, jak Bóg Najwyższy na niebie!

Kiedy Dąbek prowadził taką rozmowę z Cierniakiem, baba jego tymczasem szła obok Matusowej, gwarząc, a ciągle się oglądała, czy aby które z dzieci gdzie nie zginęło; obie kobiety były czerwone, jak raki, a pot spływał im obficie po twarzach. Matus sapał, ledwie się wlókł na końcu orszaku.

Atmosfera zdawała się być pełną żaru, a widziane w niej przedmioty miały odcień niebieskawy, jakgdyby pociągnięte farbką.

Od czasu do czasu podróżnych naszych mijał na koniu lub na mule człowiek w kapeluszu z dużem rondem, z dubeltówką na ramieniu, z nożem w skórzanej pochwie za pasem. Cała gro-

madka mówiła wtedy:—„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus".—Ale jeździec taki przyglądał im się tylko i nic nie odpowiadał ani nawet nie uchylił kapelusza.

— Rozpowiadali u nas, że w Bryzolji furt katolicy, a tu naród, jak pogany, boskiego słowa nie rozumie! — rzekła Dąbkowa. Matus bo każdego przejezdnego zapytywał:

— Dobrze my też idziemy do Blumenau?

— Blumenau, Blumenau! — powtarzał jezdny i ręką ukazywał kierunek drogi, wijącej się poprzez lasy a góry.

— Mój Boże, gdzie też to tam nasza Rokitnica—szepnął Dzwonko sam do siebie.—Licho zaniosło człeka na taką Ukrainę!...

Słońce zniżało się na niebie, a jakkolwiek spiek jego nie przepalał już głowy, jednak po nadzwyczajnym skwarze powietrze było bardzo duszne. Nareszcie na błękicie wystąpiły gwiazdy i nad lasami ukazały się roje latających świetlików.

Podróżni nasi postanowili spocząć, zwłaszcza, iż dzieci bardzo wyrzekały na znużenie.

Teraz Matus złożył na ziemi swoje brzemię, a przybrawszy sobie do pomocy najstarszego chłopaka Dąbkowej, począł łamać i ciąć nożem gałęzie drzew, krzewy; chodziło o to, ażeby rozpalić ognisko. Potem poszedł po wodę i wnet obie baby zastawiły przy ogniu garnki, w których miano warzyć na wieczerzę czarną fasolę. Wszyscy mieli wyborny apetyt, a przeto sprzątnięto warzę co do odrobiny. I znowu Matus poszedł po wieczerzy do strumienia, aby w nim pomyć garnki i miski. Kiedy wracał, posłyszał w lesie szelest jakiś i zdawało mu się, że w mroku spostrzegł człowieka, który w oddaleniu przeszedł przez ścieżkę.

Dąbkowa i Matusowa odmawiały na głos pacierze z każdem kolejno dzieckiem, Matus zaś tym-

czasem przygotowywał posłanie, rozkładając na ziemi przeróżne szmaty. Kiedy już i tę czynność ukończył, dorzucił gałęzi do ognia, wsparł ręce na kolanach, a na rękach głowę i tak siedział przed ogniskiem. Cichym głosem odmówił długie pacierze, poczem odśpiewywał:

„Wszystkie nasze dzienne sprawy
„Przyjm litośnie, Boże prawy".

Mikołajowa przez jakiś czas, leżąc na posłaniu, prowadziła jeszcze rozmowę z Matusową: opowiadała jej historję swego wyjścia zamąż, potem wyliczała wszystko, co od rodziców dostała na wiano, aż nareszcie przy opowiadaniu o narodzinach pierwszego dziecka głos jej ścichł i usnęła.

A Matus sam jeden czuwał przed ogniskiem, był jakiś niespokojny, odwracał często głowę od ognia i w ciemny las spoglądał: widział tam tylko roje migających się świetlików, słyszał monotonną muzykę licznych świerszczów. Znowu zaczął śpiewać półgłosem: „Kto się w opiekę poda Panu swemu". W ciągu tej pieśni zdrzemnął się, ale się ocknął niebawem i śpiewał dalej. Zamglonem okiem spojrzał w las, bąknął:

„Słuchaj, co mówi Pan: Kto mię miłuje,
A w mym zakonie szczerze postępuje,
Ja go też także... Ja go też tak...że..."

Ostatnie słowa wymówił Matus głosem ochrypłym, przewrócił się na murawę i wnet, z ręką podłożoną pod głowę, począł głośno chrapać. Zasnął on tym twardym snem, z którego się ocknąć bardzo trudno.

Spał tak przez jakiś czas, a choć mu sen przyniósł przerażające obrazy, choć słyszał straszliwe jęki i chciał się zbudzić, nie mógł tego dokazać: czuł jakby ołów w nogach. Dopiero gdy się w powietrzu rozległo po trzykroć wywołane jego imię,

otwarł oczy i przy mdłym blasku dogorewającego ogniska spostrzegł dwóch ludzi, uchodzących w krzaki. Zerwał się już teraz na równe nogi, wyciągnął z za pasa topór i raźno podskoczył za uchodzącymi ludźmi, podczas gdy za sobą słyszał głos Mikołajowej: — „Złodziej, złodziej!... Łapaj, kto w Boga wierzy!"

Ten krzyk dodał sił Matusowi; sadził on poprzez krzaki w kierunku słyszanego tętentu i niebawem dopadł jednego z uciekających: bez namysłu ciął raz, drugi, toporem, jak w drzewo.

— Jezus! Marja! — krzyknął człowiek, rażony i z głuchym jękiem padł na ziemię.

W oddaleniu słychać było szelest krzaków i odgłos kroków drugiego człowieka, który całym pędem w bór uchodził.

Matusa zdjął teraz strach: był w ciemnym lesie, sam na sam z jakimś człowiekiem, któremu prawdopodobnie zadał cios śmiertelny. Odwrócił się i z ogromnym pośpiechem począł biec ku ognisku; lament bab, krzyk dzieci były mu w ciemności dobrym przewodnikiem. Zaledwie dotarł do miejsca, gdzie spał był przed chwilą, spostrzegł tu Mikołajową, otoczoną wystraszonemi dziećmi, rwącą sobie włosy na głowie, podczas gdy znowu baba jego zanosiła się od płaczu.

— Co się tu stało takiego? — zapytał.

Osłupiała, prawie nieprzytomna, Mikołajowa w odpowiedzi na to powtórzyła kilkakrotnie:

— Pieniądze moje, pieniądze!

I spoglądała na ręce Matusa, jakgdyby myślała, że jej powróci zgubę. On też rzucił okiem na swą rękę i spostrzegł na niej plamę krwi; drgnął i czem prędzej nabok się usunął.

— Nikt inny nie ukradł, tylko ten łajdak mój, ten zbój! — wołała Dąbkowa.

Matus pomyślał, że człowiek, którego ciął po

dwakroć toporem, może to jest właśnie Mikołaj Dąbek.

W ciężkim smutku, wśród szlochów obu bab i dzieci, doczekano świtania. Słońce weszło, lecz dla tej gromadki emigrantów było ono jakby gwiazdą, oświecającą ich zawód i niedolę. Zniknęła już nadzieja powrotu do Rokitnicy.

Przy świetle dziennem puścił się Dzwonko w las, aby zobaczyć nocne swoje dzieło. Z jednej strony przejmował go strach, że zabił człowieka, z drugiej żywił nadzieję, iż może jeszcze odzyskać pieniądze Dąbkowej. Szedł przez gąszcze ostrożnie, zerkał oczyma na wszystkie strony, a głośne uderzenia własnego serca brał za jakieś głosy, pochodzące z boru.

Nareszcie spostrzegł w oddaleniu jakiś przedmiot, podszedł ku niemu na palcach i wnet się przekonał naocznie, że ma przed sobą martwe ciało człowieka, który ciężarem swoim zwalił się na krzak palmy wachlarzowej i krwią go zbroczył. Matus zadrżał, pobladł, odwrócił mimowoli głowę. Ale kiedy wspomniał, że zabity jest złodziejem i może mieć przy sobie skradzione pieniądze, potrzebne na powrót do Rokitnicy, wtedy się przeżegnał, szepnął jakieś słowa modlitwy czy zaklęcia i znowu podszedł kilka kroków naprzód.

Nie miał już teraz Dzwonko żadnej wątpliwości. Mikołaj Dąbek leżał przed nim martwy, z rozwaloną głową, a dokoła niego pełno było krwi, zsiadłej, jak galareta. Pomimo wczesnego poranku wielkie szafirowe muchy przechadzały się po twarzy nieboszczyka.

Dreszcz mrozem przebiegł po ciele Matusa, a jakaś niewidzialna siła kazała mu stamtąd uciekać. Odszedł kilkanaście kroków, usiadł i przez chwilę o czemś myślał. Znowu powstał, zbliżył

się do trupa odważnie, począł przetrząsać jego kieszenie; ale znalazł tylko kilka miedzianych i niklowych sztuk monety brazyljańskiej.

Uważał sobie za obowiązek pogrzebać tego człowieka, więc toporem, którym go zabił, wykopał dół, zepchnął weń zwłoki i przywalił je ziemią. Dokonawszy tego, klęknął, zmówił pacierz, a potem z udanym spokojem wrócił do pozostawionych bab i dzieci.

— Gdzieżeście też byli przez tyle czasu?—zapytała go Mikołajowa z wyrzutem.

— Szukałem oto w lesie śladów złodziei—odparł Dzwonko — ale nic nie znalazłem.

— Cóż my teraz poczniemy, nieszczęśliwi ludzie? — odzywa się znowu Dąbkowa ze łzami w oczach.

— Ha, trzeba chyba wrócić na kolonję i tam już czekać zmiłowania boskiego! Zawdy tam lżej, gdzie jest gromadka swojaków—rzekł Matus.

I tak podróżni nasi, obarczeni tobołami, wrócili znowu do kolonji nad Rio Itapava.

ROZDZIAŁ XXV

Dawniejszy emigrant.

Z tego, co się powiedziało, łatwo już zrozumieć, ze współka Dąbka ze Sobkiem Cierniakiem, zawarta w celu odebrania babie pieniędzy, wyszła na korzyść Cierniaka. Złodziej ten, skoro tylko dostał do rąk zdobycz, myślał jedynie o tem, aby ją dobrze zabezpieczyć. Miał on widocznie zgóry ułożony cały plan postępowania, a przytem los wybornie mu sprzyjał, gdyż jedyny świadek czynu, Dąbek, zginął z ręki Matusa.

W takiej Brazylji nietrudno się ukryć złoczyńcy, Sobek natychmiast zmienił kierunek i nie szedł już zwykłą drogą, lecz dotarł do samego brzegu rzeki Itapava, gdzie przycupnął w gąszczu krzaków i dodnia przeczekał.

Zaledwie pierwsze brzaski rozjaśniały niebo, już Cierniak opuścił nocną kryjówkę i popod wzgórzystym brzegiem, jak wilk, nasłuchując, oglądając się, odbywał dalszą podróż, nie kierując się wcale ku Blumenau.

Na drodze swej spostrzegł przy brzegu jakieś małe czółenko rybackie, wysunięte na ławę piasku, a obok niego leżało wiosło. Krótko się namyślał, zepchnął tę łódkę na wodę, wskoczył w nią i puścił się z biegiem rzeki. Niesione bystrym prą-

dem, raźno mknęło lekkie czółenko, tak że w parę godzin potem Cierniak znalazł się pomiędzy wspaniałemi brzegami szerokiej rzeki Itajahy-Assú, ktorej dopływem z lewej strony jest Itapava.

Piękna to podróż. Na obu brzegach porastają olbrzymie trawy, sitowia, trzciny; wszędy pełno drzew i krzewów, zupełnie obcych dla oka Europejczyka. Tam wgórę strzela sosna brazyljańska, której korona przypomina misę lub odwrócony parasol, dalej znowu imba-upa o wielkich, ciemnych a rzadkich liściach; prześliczna wierzba płacząca, zwana szoraderą, drzewo bagu-aszu, pokryte u góry karmazynowym i pomarańczowo-żółtym kwiatem.

Jeżeli się gdzie zdarzy ludzka siedziba, to lśnią się koło niej, jak kobierce, kwiaty fioletowe, czerwone, białe, co pięknie odbija na zielonem tle drzew pomarańczowych, brzoskwiniowych, bananów i kawy. Nigdzie tu zaś nie brakuje wysmukłej palmity, uwieńczonej piękną koroną liści.

Obojętny na to wszystko Cierniak płynął wzdłuż prawego brzegu. Na wodzie zrywały się przed nim do lotu stada białych czapli, dzikich kaczek lub dawał nurka czarny pienar. Wśród krzewów rozlegały się śpiewy kanarków, licznych sabij, ptaków ticu-ticu, fruwały czarne długo ogoniaste ptaki anu, przelatywały z brzegu na brzeg tukany, skrzeczały wgórze zielone papugi i papużki, a wszędzie wraz z motylami bujały prześliczne kolibry.

Itajahy-Assú w biegu swoim tworzy na prawo i na lewo liczne zagięcia. Przy jednem z owych kolan zbiegają się trzy znaczniejsze dopływy: Rio Gaspar Grande razem z Rio da Guaruba i niżej Rio Gaspar Pequeno. W tem miejscu brzeg jest wzgórzysty: zdaleka już na nim widać biały kościół i kilka jakichś zabudowań.

Dopłynąwszy do Gaspar, Sobek wyciągnął na brzeg czółenko i poszedł na górę, gdzie postanowił w miejscowej gospodzie posilić się, wypocząć.

Podobnie jak inni chłopi emigranci z Polski, Cierniak mówił tylko po polsku; ale kiedy chodziło o zaspokojenie głodu za gotowy pieniądz, umiał on się jakoś porozumieć z każdą narodowością. I teraz oto podszedł do oberżysty Niemca, będącego zarazem pocztmistrzem w Gaspar, i zażądał szklaneczki wódki; potem zjadł porcję zimnego mięsa z cebulą i jeszcze raz napił się wódki.

Gdy się tak Sobek posilał w gospodzie, opodal, za innym stołem siedział jakiś człowiek, który pykał fajeczkę i małemi łykami popijał ze szklanki wódkę. Był to barczysty chłop, z ogorzałemi policzkami, gęsto obrosły włosem na twarzy i na rękach. Wypłowiały kapelusz z wielkiem rondem nasunął na czoło, ubrany był w popielatą wełnianą koszulę ze stalowemi guzikami, w drelichowe spodnie i lekkie sandały z surowego rzemienia. Na poręczy drewnianej ławy wisiała obok niego moręgowata ponsza, z wojłoku, torba myśliwska siatkowej roboty ze szpagatu i piękna dubeltówka.

Nieznajomy nie zwracał na nikogo uwagi, od czasu do czasu nakładał świeżego tytoniu do fajki lub, dokończywszy czarki, nalewał sobie z butelki nową miarę wódki.

Znużony niedospaną nocą i przebytą podróżą, Cierniak, gdy sobie już podjadł, podparł głowę ręką i przez jakiś czas drzemał; wtedy milczący człowiek przyglądał mu się uważnie. Podrzemawszy tak z godzinę, Sobek wstał z za stołu, przeciągnął się, ziewnął, nareszcie zapłacił, co wypadło, i opuścił gospodę.

Schodził teraz zgóry ku brzegowi, gdzie po-

zostawił był swe czółno, i gdy się obejrzał, spostrzegł, iż za nim podąża ten sam człowiek, który przed chwilą w gospodzie pykał fajeczkę i popijał wódkę.

Dostawszy się do łódki, Cierniak zasiadł w niej i niebawem znowu żeglował po rzece. Posłyszał za sobą plusk wiosła i spostrzegł zdaleka łódź z żagielkiem, a w niej wyraźnie dawał się widzieć wypłowiały kapelusz o wielkiem rondzie. Łódź żaglowa wkrótce dopędziła czółenko Cierniaka.

Jakże się teraz zdziwił Sobek, gdy nieznajomy człowiek z gospody podpłynął do jego czółenka, a uśmiechając się, poufale przemówił po polsku:

— Ze wszystkiego widzę, żeśmy swojacy, ludzie jednego kraju!

— A to pan, widzę, z Polski? — zapytał Cierniak.

— Rozumie się! W Gaspar, w gospodzie odrazu poznałem, żeście Polak, chociażeście przez cały czas słówka nie pisnęli. Nasz brat inaczej pije wódkę, inaczej je, chodzi.

— Co pan mówi?

— Szczerze powiadam! Pięć lat bezmała nie widziałem, żeby się człowiek wykręcał na piętach przy piciu wódki, bo to tylko w Polsce ludzie robią. Kiedyście, najadłszy się w gospodzie, dostali czkawki, zaraz sobie powiedziałem: rodak, chłop polski!... Dokądże to płyniecie w tem korytku?

— Chciałbym do Ryjo, do miasta jakiego dostać się na służbę, znaleźć zarobek...

— Wsiadajcieno tymczasem do mojej łodzi, która jest większa, to się lepiej rozgadamy!

Z temi słowy zaraz wyciągnął rękę, pochwycił za brzeg czółenko, zbliżając je do swej łodzi, w

której leżał jakiś pakunek w macie z sitowia, a obok tego pakunku — duży srokaty pies.

Gdy Cierniak opuszczał swoje czółno i usiłował sznurkiem przywiązać je do tyłu łodzi, pies warczał, rzucając nań straszliwe spojrzenia.

— Matto, cicho! To swój, nie wolno ruszać! — zawołał nieznajomy, grożąc psu palcem na nosie.

Płynęli teraz razem, rozgadując się coraz raźniej.

— Nazywam się Andrzej Szmidowicz! — rzekł właściciel łodzi. — Mój ojciec zwał się Szmidt, ale osiadł między Polakami, wziął sobie Polkę za żonę i zmienił nazwisko.

Zkolei przedstawił się też Cierniak swojemu towarzyszowi, wymieniając własne imię i nazwisko.

— No, mój Sebastjanie, mówmy sobie teraz po imieniu i na uczczenie znajomości wypijmy po odrobinie kaszasu!

Mówiąc to, Szmidowicz wziął stojącą w kącie łodzi butelkę, pociągnął parę łyków i podał ją Sobkowi.

Teraz Cierniak w krótkich słowach opowiedział historję emigracji chłopskiej z Rokitnicy i ubolewał nad zawodem, doznanym w Brazylji. Gdy skończył swe opowiadanie, towarzysz jego uważał za właściwe powiedzieć także coś o sobie; pykając więc z fajeczki, tak mówił:

— Mój Sebastjanie, z tego, coście mi tu opowiadali, uważam, że wy idziecie z Polski na emigrację zupełnie jakby przez żart czy głupotę; ale ja emigrować musiałem. Może tam do was doszły słuchy, co się to w Prusach działo z naszymi, kiedy Bismark kazał wypędzać wszystkich Polaków, nieobjętych przez pruskie księgi ludności. Łatwo to było przeprowadzić z takimi, o których wiedziano skąd pochodzą. Ale kiedy przyszła kolej na mnie, pogłupieli zupełnie niemieccy urzęd-

nicy, zwłaszcza, kiedym im opowiedział, że mój ojciec był najprzód Niemcem Szmidtem, a później zrobił się z tego Polak Szmidowicz. Najprzód przez cały rok mię opisywali, zabazgrali siła papieru, a potem mię pan landrat wezwał do swej kancelarji i powiedział, że mogę pozostać w Prusach, jeżeli nazwisko Szmidowicz zmienię na Szmidt, a w księgach zapiszę się jako Niemiec. Przystałem, śmiejąc się w duszy z landrata. Cóż z tego, kiedy mię widać dobrze szpiegowali, bo w parę tygodni potem landrat dostał do rąk dowody, żem się podpisywał Szmidowicz, a nie Szmidt; oprócz tego doniesiono mu, że ja się wcale nie uważam za Niemca i ciągle mówię po polsku. Dostałem więc wyrok, aby się czem prędzej z Prus wynosić. Ale w tem był sęk, dokąd się wynosić? Matka umarła wtedy, kiedym jeszcze mówić nie umiał, a ojciec mój, cieśla z fachu, nigdy mi nie powiedział, skąd ze mną do Prus przyszedł. Jedni dowodzili, że z Galicji, drudzy że z Królestwa; tymczasem zaś władze nigdzie się nie chciały przyznać do poddanego Szmidowicza. Jednego razu dowiedziałem się w Toruniu, że od czasu do czasu różni ludzie emigrują do Brazylji; więc kiedy mi Niemcy bardzo dokuczyli swojemi protokółami i wyrokami, zebrałem trochę pieniędzy ze sprzedaży tego, co po ojcu zostało, i pojechałem do Brazylji.

Szmidowicz zawiesił na chwilę opowiadanie, znowu sięgnął po butelkę z wódką, napił się w ręce Sobka, nałożył tytoniu do fajki i opowiadał w dalszym ciągu.

— Ja tu w Brazylji próbowałem już różnego chleba: w Rio Janeiro przewoziłem ludzi na łodzi w porcie; zarobiłem sobie w ciągu roku około trzystu milrejsów i pojechałem na kolonję do świętej Katarzyny, gdzie straciłem wszystko co do

grosza. Potem służyłem w Blumenau u jednego bogatego Niemca za parobka do koni; jednego razu poswarzyliśmy się ciężko i Niemiec nazwał mię polską świnią; za to grzmotnąłem go w kark uczciwie. Przez dwa tygodnie pakowałem worki i beczki na okręt parowy, aż mię raz komendant spytał, czybym nie przyjął służby na jego okręcie. Trzy miesiące z okładem, prawie codziennie, pływałem po tej oto rzece z Blumenau do Itajahy i zpowrotem. Raz płynął z nami osobliwy pasażer, nawpół-indjanin, nawpół-brazyljanin; kiedym się wdał z nim w rozmowę, opowiadał mi, że po lasach żyją ludzie, zwani caboclos, którzy się włóczą z miejsca na miejsce, a dokąd przyjdą, tam postawią szałasy, nasadzą czarnej fasoli, kukurydzy i, gdy to zbiorą, idą dalej. Nie brakuje im mięsa, bo w lasach pełno zwierzyny, a każdy caboclo jest myśliwym. Gdy przybędą nad rzekę, to znowu łowią ryby.—„Wy tu ciężko pracujecie— mówił ten człowiek—my, caboclos, nie lubimy pracować, nie lubimy nikogo słuchać; w naszych lasach jesteśmy wolni jak ptaki.“—Trafiło mi jakoś do przekonania to wszystko, com słyszał, podziękowałem więc za służbę na okręcie i z owym caboclo powędrowałem w lasy. Blisko już dwa lata żyję w szczerych borach i z tem mi teraz dobrze; przylgnąłem zupełnie do takiego życia. O nic się nie troszczę, bylebym miał butelkę kaszasu i tytuń, a na to mi zawsze wystarcza, bo dostaję duże pieniądze za skóry zwierząt i ptaków, które z San-Francisco, Desterro, Santos idą dalej, podobno do Francji, Anglji, Niemiec. I teraz oto w tej masie z rogoży mam towaru więcej, niż za trzysta milrejsów, a jeszcze zapoluję w Serra das Tijucas, potem—u źródeł rzeki Tubarao w Serra Geral przedostanę się do stanu Rio Grande do Sul i wszystko spieniężę dopiero

w Porto Alegre. Może w te strony już nawet nie wrócę, lecz się udam do Uruguayu, a potem w pampasy Argentyny. Towarzysze moi, caboclos, opowiadali mi o tych krajach dużo ciekawych rzeczy. Jeżeli mi się poszczęści, zrobię pieniądze, to kto wie, czy nie wrócę między swoich. Czasem człowiekowi czegoś brakuje, a mało djabli nie biorą!... Ale nie myślę wracać z gołemi rękoma. Pieniądz grunt! Bogatemu i sam landrat nic nie zrobi.

ROZDZIAŁ XXVI

Przygotowania do drogi.

Szmidowicz opowiadał jeszcze o tem, jak pobierał naukę w szkole ludowej, jak następnie uczył się ślusarstwa, zegarmistrzostwa, aż nareszcie poszedł na naukę do rusznikarza i w Toruniu wyzwolił się jako czeladnik.

— Ja bo nic nie umiem, ciemnym jak tabaka w rogu—zawołał Cierniak z pewnym żalem w głosie.—W młodości sługiwałem za fornala przy dworze, potem odsłużyłem swoje lata w woisku, wróciłem do wsi i tak się przez czas jakiś walęsałem, aż dopiero przyszło do tej emigracji bryzoljańskiej... Bóg strzegł, żem się nie ożenił.

Na rozmowie czas schodził im szybko i przed samym wieczorem przypłynęli do miasta Itajahy, także zwanego Sacramento Itajahy, gdzie postanowili zanocować w jakiej gospodzie.

Raniutko, skoro świt, Szmidowicz był już na nogach.

— Przyjacielu Sobku! — zawołał. — Dzień jak wół, wstawać trzeba!

Cierniak przetarł oczy, popatrzył na towarzysza, ziewnął i rzekł:

— Co ja tu zrobię ze sobą? Gdzie i jak do czego się przyczepić? Możebyście wy, Jędrzeju, dali mi jaką radę?...

— Ameryka szeroka: nie tu, to tam—i basta!

— Dobrze wam mówić, a mnie się we łbie kołuje.

— Pogadamy, pogadamy! Ja teraz idę na port, sprzedam swoją łódkę; za małe pieniądze kupię jakiego starego szłapaka, byleby uniósł ładunek ze skórami, i puszczam się w podróż dalszą między rzekami Itajahy Mirim i Rio Cambriú. Chcesz iść, to cię zabiorę ze sobą.

— A dojdziemy my tamtędy do jakiego miasta? Bo mnie się już cni w tych borach.

— Miasto ci pachnie? Patrzcie, jaki delikatek! A cóż za smaki w mieście? Tam dobrze tylko ludziom, co mają dużo rejsów. W lasach i biedny jest panem, jakim jeszcze panem! Zobaczysz to, tylko się puść ze mną; dojdziemy do kolonji Pedro, zwrócimy się ku błotom rzeki Rio das Tijucas, będziemy polowali po obu jej brzegach... Tapiry nie tapiry—wszystko tam będzie! Namyśl się, przyjacielu, pamiętaj, że to lepsze, aniżeli tułaczka po kolonjach, szukanie marnego zarobku po miastach!

Cierniak drapał się jeszcze w głowę, nie wiedząc, co odpowiedzieć, gdy Andrzej opuścił gospodę.

Widząc się teraz w izbie bez świadka, Sobek wydobył z zanadrza szmatę, w której się znajdowały pieniądze, odebrane Dąbkowej, i zaczął obliczać swój majątek. Miał w złocie pięćdziesiąt sztuk dwudziestomarkowych, a oprócz tego z dziesięć sztuk srebrnych po pięć marek.

Brzęk liczonych pieniędzy zwrócił uwagę psa, leżącego na straży pakunku ze skórami. Matto przyglądał się uważnie Cierniakowi, który odłożył nabok sztuki srebrne i parę złotych, ażeby sobie to zmienić w Itajahy na monetę brazyljańską; resztę zawinął w szmatę i schował.

Zadowolony chłop powstał nareszcie z ławy, mając zamiar wyjść na miasto; ale kiedy szedł ku drzwiom, naraz pies podniósł się z legowiska, najeżył sierść na grzbiecie, wyszczerzył białe kły i spoglądając strasznym wzrokiem na Sobka, zaszedł mu od drzwi drogę.

— A pójdziesz ty na miejsce, psia duszo! — krzyknął Cierniak, tupnąwszy nogą.

W odpowiedzi na to Matto szczeknął przeraźliwie i zaczął warczeć. Sobek nie miał widać ochoty mierzyć się z potężnym psem, bo spokojnie powrócił do kąta, usiadł na ławie i oczekiwał powrotu towarzysza. Wyczekiwanie to trwało dosyć długo, więc Cierniak raz jeszcze usiłował wyjść za drzwi, atoli Matto natarł nań z nadzwyczajną wściekłością i znowu go zmusił do odwrotu.

— Przy takiem ścierwie nie pożywiłby się złodziej — mruczał Sobek, zniecierpliwiony długiem wyczekiwaniem i uporem psa.

Biła już dziesiąta godzina na zegarach, kiedy wreszcie przybył Szmidowicz. Jak tylko wszedł do izby, spojrzał najprzód na Cierniaka skwaszonego, potem na psa i rzekł:

— O, do djabła! widzę, żeście się tu o mały włos nie poczubili. Na śmierć zapomniałem, że Matto może ci napędzić porządnego strachu... Z nim niema żartów! Muszę was bliżej poznać, ażeby na drugi raz nie przyszło do jakich awantur.

Powiedziawszy to, Andrzej wyciągnął rękę i zawołał:

— Matto, durniu jakiś, niepotrzebnie skrzywdziłeś przyjaciela! Powąchaj go zaraz! To nie złodziej, to przyjaciel, rozumiesz? pamiętaj go kochać!... Matto, przyjacielowi nie wolno krzywdy zrobić!

Leżąc obok pakunku, z głową położoną na wy-

ciągniętych przed siebie przednich łapach, pies zdawał się uważnie wysłuchiwać nauk swojego pana; powstał, jakby zawstydzony, i z ogonem spuszczonym nadół zbliżył się do Cierniaka, obwąchał jego nogi, ręce, a potem wrócił na dawne stanowisko.

— Moi ludzie, jaka to psiakość mądra! — wykrzyknął Sobek — toć on ludzką mowę rozumie lepiej od człowieka.

Szmidowicz zaczął teraz wyliczać różne przymioty psa i byłby opowiadanie długo jeszcze przeciągał, gdyby nie to, iż odgłos zegara przypomniał mu godzinę jedenastą.

— No, jakże? czy masz ochotę iść ze mną w drogę?—zapytał Andrzej, porywając się z ławy.

— Skoro powiecie, że tam żyć dobrze, to pójdę.

— Przecieżbym cię na złe nie namawiał; ale widzisz, mój przyjacielu, w podróży takiej przydałaby ci się jaka bądź strzelbina, a nie wiem, czy ją w Itajahy będziemy mogli kupić. Służyłeś w wojsku, to się musisz umieć obchodzić z bronią palną.

— Iużci wystrzelić potrafię, jeno nie koniecznie w cel...

Dwaj towarzysze wyszli teraz z gospody i Szmidowicz zaprowadził Sobka najprzód do stajni, chcąc mu pokazać konia, którego rano kupił w mieście. Chuda, bułana szkapa stała przywiązana do żłobu, z łbem spuszczonym, z przymrużonemi oczyma, a wystrzępionym ogonem flegmatycznie opędzała się przed muchami, których ją gromady przysiadły.

— Oj, habet okrutny!—zawołał Cierniak, uderzając konia nogą pod kolano. — Toć to bydle bez nóg.

— A co to szkodzi? Biedak był w ciężkiej pracy i źle go żywiono. U mnie będzie daleko le-

piej, niebardzo się zdźwiga, codziennie wypoczynie, podje sobie trawy i za parę miesięcy jeszcze na nim zarobię.

Obejrzawszy konia, poszli potem w miasto, ażeby kupić strzelbę. Wstępowali do różnych sklepów, szynków, a wszędzie Szmidowicz zapytywał, czy kto w Itajahy nie ma broni palnej do zbycia. Powiedziano im nareszcie, że miejscowy aptekarz jeszcze w zeszłym roku wywieszał na drzwiach swego sklepu ogłoszenie o starej strzelbie, którą miał na sprzedaż. Poszli więc według danych wskazówek.

Upał był nadzwyczajny i na ulicy widać było tylko czarne sępy, przechadzające się z opuszczonemi skrzydłami.

— Dzieńdobry! — rzekł Szmidowicz, wchodząc do apteki. Aptekarz bosy, w koszuli brudnej tylko i lekkich pantaljonach, które mu poniżej brzucha opadały, siedział, drzemiąc, na wiązce jakichś ziół lekarskich. Na widok wchodzących powstał leniwie i zapytał, jakichby leków potrzebowali.

— To, czego poszukujemy, jest rzeczywiście do lekarstwa podobne, ponieważ tak samo, jak wasze leki, pozbawia życia—rzekł z lekkim uśmiechem na ustach Szmidowicz.

Pan aptekarz wytrzeszczył na swych gości oczy i zdawał się wzrokiem zapytywać:

— Czegóż to chcecie?

Już Andrzej otwarł usta, chcąc wyraźnie sformułować swoje żądanie, kiedy aptekarz w te słowa przemówił:

— Powinienbyś senhor wiedzieć, iż rząd rzeczypospolitej w najnowszych czasach zwrócił się bardzo nieprzychylnie przeciwko aptekarzom, grożąc surowemi karami za sprzedawanie trucizn. Zawsze mówiłem, że rzeczpospolita djabła warta, dąży do podkopania handlu, tamuje swobodę oby-

wateli. Chcieliście rzeczypospolitej, macie ją! Dawniej za pięćset rejsów mogłem każdemu dostarczyć jak najznakomitszej trucizny, pysznej kurary; rozumiecie to, panowie? Za pięćset rejsów pięć żyć czyli jedno życie za sto rejsów... A teraz, wskutek zagrożenia aptekarzom karami, taką samą dozę muszę sprzedawać za dziesięć milrejsów! Ha, trudno, ja się narażam! Należy to ocenić, uznać: jeżeli kto za dziesięć milrejsów kupi u mnie trucizny i zniszczy jedno tylko życie, to rząd rzeczypospolitej wsadzi mnie do więzienia... Ja przecież muszę drożej cenić własne życie, aniżeli cudze. Pytanie, ile mam cenić własne życie? Dziesięć milrejsów, nadzwyczajnie tanio!... Chcecie kurary za dziesięć milrejsów?...

— Hola, senhor aptekarzu!—zawołał Szmidowicz.—Nie przypisuj nam pan złośliwych zamiarów tępienia bliźnich zapomocą trucizny. Nie myślimy truć nikogo ani narażać pana na ciężką odpowiedzialność. Powiedziano nam, że tu jest stara strzelba do sprzedania, więc chcemy ją zobaczyć, a potem może i kupić.

— Moja stara strzelba jest lepsza od drugiej nowej!—odparł aptekarz.—Gdybyś ją pan znał, nie mówiłbyś o niej z lekceważeniem „stara", lecz wyrażałbyś się z uszanowaniem „starożytna".

— Być może; znam się trochę na strzelbach i na strzelaniu, więc niechno ją pan pokaże.

Aptekarz zniknął gdzieś w głębi mieszkania, a gdy po niejakimś czasie wrócił, niósł w ręku pojedynkę o grubej lufie, oprawionej w kawałek białego drzewa, zaledwie nieco ostruganego.

— Z tą strzelbą—mówił aptekarz, podając pojedynkę Szmidowiczowi do obejrzenia — jeden z moich powinowatych walczył w boju przeciwko tyranowi Paragwaju.

— Nie jest to żadne świadectwo dla strzelby—

odpowie Szmidowicz.—W owej wojnie, o której senhor mówisz, ludzie, chcę powiedzieć Brazyljanie, spotrzebowali bardzo mało prochu i ołowiu, a głównie posługiwali się nogami i to zwróconemi piętami ku nieprzyjacielowi. Znałem pewnego wojaka, który w tej wojnie zasłużył sobie na wielką sławę, ponieważ z pod Laguny, nie oglądając się za siebie, przypadł do Rio de Janeiro; kobiety ubrały go w wieniec laurowy, a monarchja obdarzyła krzyżem zasługi. Ale co tam, powiedz pan lepiej, ile cenisz grat taki, który ciężarem swoim utrudniał Brazyljanom zwycięstwo, to jest odwrót?

— Każda cena, jaką podam, będzie mniejsza od rzeczywistej!... Wojna z tyranem Paragwaju jest dla Brazylji świętą. Senhor jesteś zapewne emigrant, a emigranci odznaczają się lekceważeniem ojczyzny i jej pamiątek.

Zaczęli się zawzięcie targować, aż wkońcu aptekarz zgodził się na sprzedanie rusznicy za półpięta milrejsa.

— Przyjacielu Sobku—rzekł Szmidowicz po polsku—zapłać temu trucicielowi i szachrajowi 4,500 rejsów, to jest prawie półpięta talara za strzelbę, którą dla ciebie wytargowałem.

Cierniak wydobył z kieszeni złote i srebrne sztuki monety niemieckiej, ale nie wiedział, co to za kurs mieć może.

— Schowaj te pieniądze!—zawołał Szmidowicz. —Aptekarz ten jest dobre ziółko i orznąłby cię porządnie na kursie; tymczasem ja cię zastąpię, zapłacę, a później się policzymy, gdy będzie można zmienić rzetelnie złoto i srebro niemieckie.

Jeszcze kilka godzin zeszło na innych przygotowaniach do podróży; kupili w Itajahy amunicji, tytoniu, kawy, zapałek, soli, mąki z manioku, czar-

nej fasoli, chleba i wódki, a oprócz tego garnek i tygiel.

Było już dobrze po południu, słońce paliło nie tak dotkliwie, kiedy Andrzej i Sobek wyruszyli w drogę. Na czele postępował Matto, któremu do obroży przytwierdził Szmidowicz na długim sznurku cugle od uzdy konia, tak że pies prowadził bułanka, objuczonego pakunkami, na tyle szli, gwarząc i paląc tytoń, Szmidowicz z Cierniakiem.

Po godzinnej może podróży szeroką drogą, Andrzej zawołał:

— Matto, na lewo marsz!

I pies pociągnął za sobą konia na wąską ścieżynę, która się wiła poprzez gęste zarośla.

ROZDZIAŁ XXVII

Łowy w podróży.

Droga, którą teraz przebywali podróżni nasi, wiodła wgórę niewielkiej rzeki Rio da Fazenda, wpadającej do Oceanu niedaleko od swych źródeł.

Pogwizdywanie, wrzaski, śpiewy ptaków przerozmaitych zlewały się tu w jeden nadzwyczajny gwar, który jednak uciszał się cokolwiek od czasu do czasu; ale zato nigdy nie ustawała monotonna muzyka piewików, rozbrzmiewająca po całej Brazylji, a sprawiająca wrażenie, jakby pieśni mnogich skowronków, rozśpiewanych gdzieś bardzo wysoko pod obłokami.

Idą oni tak, aż tu naraz ponad ich głowami daje się słyszeć urywane skrzeczenie takie, jakie u nas wydaje sroka, gdy usiądzie na płocie, tylko nieco chrapliwsze. Szmidowicz czem prędzej zdjął z ramienia strzelbę, zmierzył się spokojnie i raz po raz z obu luf wypalił. Pomiędzy krzewy spadły z powietrza dwa ptaki, oba barwy ultramarynowej i zielonej.

— Chwała Bogu, będzie dziś na wieczerzę smaczny rosół!

— A co to są za ptaki?—pyta Cierniak.

— Papugi, które się nazywają maitakku. Mówię ci, rosół z nich pyszności, kiep rosół z kuryl

Jeszcze z pół godziny było do zmierzchu, gdy wyszli na dosyć otwarte miejsce; tu i owdzie porastała bardzo gęsta trawa, widać było samotne drzewo, krzew rozłożysty, pagórek z palmitą.

— Założymy sobie tutaj obóz, wypoczniemy i przenocujemy — rzekł Szmidowicz, przystając, a okiem mierząc okolicę.—Dopiero to bułanek będzie uszczęśliwiony, bo co tutaj za królewska dla niego paszal

Ledwie się zatrzymał, już koń jął chciwie chrupać trawę. Andrzej natychmiast zdjął z niego pakunki i puścił zwierzę samopas. Matto też, utrudzony skwarem i podróżą, z wywieszonym językiem rzucił się na ziemię, aby spocząć.

Trzeba było teraz nazbierać gałęzi, aby mieć z czego rozniecić ognisko, i czynność ta w podziale pracy przypadła na Sobka, ponieważ Andrzej zamierzał zdjąć skóry z dwóch zastrzelonych papug. Nie rozpoczęli atoli jeszcze swych zajęć, gdy posłyszeli dziwne jakieś krakanie w odległości może trzydziestu kroków.

— No, przyjacielu Sebestjanie, zobaczymy, jak też ty strzelasz!—zawołał Andrzej.—Blisko nas są tu gdzieś sępy, zwane traro; syte żeru, zapadły pewnie na nocleg, więc się dadzą łatwo podejść, a ty będziesz mógł wypróbować swoją aptekarską syrengę za półpięta milrejsa.

Z temi słowy Szmidowicz odrzucił nabok nóż, którym pruł skórę zabitej papugi, zawiesił oba ptaki na gałęzi drzewa i wnet obaj podróżni ze strzelbami w ręku posuwali się ostrożnie w kierunku posłyszanego krakania.

W kilka minut potem Andrzej trącił Cierniaka łokciem, ukazując mu na niewielkim pagórku spokojnie siedzącego ptaka barwy ciemno-brunatnej zwierzchu, a żółtawo-białej od spodu. Ten ptak właśnie przechylił wtył głowę i, położyw-

szy ją na grzbiecie, jak to czynią bociany podczas klekotania, krakał „traa", potem opuścił znowu głowę ku dołowi i darł się „roo".

— Pal!—szepnął Szmidowicz.

Cierniak strzelił i chybił; ale Andrzej w tejże chwili poprawił ze swej strzelby tak, iż sęp nie zdołał jeszcze wzlecieć, a już się tarzał na ziemi w mękach konania.

Huk podwójnego wystrzału spłoszył sępy w różnych punktach; porywały się, wzlatując do góry.

— A toć on bestyjnik bezmała będzie tyli, co gęś!—zawołał Sobek, podnosząc z ziemi zabitego ptaka.

— Oj, ty partaczu, strzelasz, widzę, jak Brazyljanin!—rzecze Szmidowicz —Kto w wojsku służył, ten może spudłować do jaskółki, ale nie do tylego ptaka, co jak wół stoi na celu i strzału czeka.

Zmierzchało się już, więc rozniecili ognisko, przy którego blasku Andrzej obdarł ze skóry papugi i świeżo zabitego traro, a zwracając się do Cierniaka, rzekł:

— Mój bratku, kiedy źle strzelasz, bądźże za to choć kucharzem!

Sobek przyniósł wody i wnet w garnku warzył się przy ogniu rosół z papug, czysto brazyljański przysmak.

Kiedy już spożyli wieczerzę, w której Matto także brał udział, Szmidowicz wydobył butelkę kaszasu i raczył nim siebie, jako też towarzysza. Zakurzyli fajeczki, legli na trawie i półgłosem prowadzili rozmowę.

Wieczór był bardzo pogodny, liczne ćmy latały dokoła ogniska, w którem grób swój znajdowały.

Wtem Szmidowicz poczuł, że mu się coś zgóry posypało na twarz, na głowę; zgarnął to ręką,

obejrzał przy ognia, zerwał się na nogi, pochwycił strzelbę i mówi:

— Aha, mam cię nareszcie, bratku, dawno już czatuję na twoją skórę!

— Gdzież tu jest co takiego?—pyta zdziwiony Sobek.

Andrzej wyciągnął do góry rękę, jakgdyby gwiazdy ukazywał, i odpowiada:

— Ibijau, ptak, zwany, także jaskółką nocną, lata teraz oto tam wgórze i łowi ćmy, z których resztki skrzydeł spadły mi właśnie na głowę... Niech ja go tylko wezmę na oko, a będzie trup!... Cicho, sza!

Mówiąc to, Szmidowicz palcem dał towarzyszowi znak milczenia, sam zaś przycupnął pod krzaczkiem z flintą, przygotowaną do strzału.

W noc księżycową piękne jest niebo brazyljańskie; wydaje się człowiekowi, że gdyby wtargnął w te szlaki, toby go jasność światła zalała. Czasem w powietrzu zarysuje się jakiś punkt ciemny, który szybko z przed oka znika: ćma olbrzymia lub ptak nocny.

Rozległ się huk wystrzału i na ziemię, tuż obok ogniska, spadł ptak, prawie tak wielki jak gołąb, ubarwiony biało, żółto, szaro, z brunatnemi prążkami i takiemiż trójkątnemi plamkami.

Zaraz go podniósł Andrzej, mówiąc:

— Skóra jego warta więcej, aniżeli skóry wszystkich tych ptaków, którem dziś zastrzelił. O, ibijau bardzo trudno zobaczyć, a jeszcze trudniej zastrzelić!

I z łupu swego celny strzelec ściągnął zaraz skórę, a mięso psu rzucił; ale Matto powąchał tylko ptaka.

Wypili jeszcze nieco kaszasu, przez jakiś czas kurzyli fajki, gwarzyli jakby odniechcenia, wreszcie sen ich zmorzył i zasnęli.

Jeszcze nie weszło słońce, gdy się zbudzili, i Sobek w towarzystwie Matto poszedł szukać bułanka, który o wiorstę drogi od ogniska zajadał się dotychczas trawą. Pies natychmiast odszukał konia i napędził go do miejsca noclegu.

Z oddalenia dochodziły do ich uszu jakieś smutne, melancholijne wołania: „hutu, hutu, hutu"!

Cierniak zapytał, co za stworzenie wydaje ten głos osobliwy.

— Jest to motmot, ptak średniej wielkości, dosyć pospolity w Brazylji, oliwkowo-zielony na skrzydłach i udach, a różowy na piersiach i brzuchu.

Jaskrawo-czerwona tarcza słońca przeświecała z za borów, kiedy nasi podróżni ruszyli w dalszą podróż.

Minąwszy kolonję Trompowskiego, a nie dochodząc kolonji Principe d. Pedro, jakoś około południa, znaleźli się u podnóża wzgórzy, gdzie są źródła Rio Cambriú, Rio das Aguas Claras i innych rzek jeszcze.

W tej drodze Sobek kilka razy strzelał i chybiał do różnych ptaków, aż nareszcie udało mu się zabić ptaka ben-te-vi (dobrze cię widzę), zwanego tyranem Brazylji, coś w rodzaju naszego srokosza nadziewacza, lecz odmiennie ubarwionego.

Spotykali wiele kolibrów czyli beijaflor'ów, które z nadzwyczajną szybkością latały ponad kwiatami. W tym locie można je było wziąć za owady raczej, niż za ptaki. Ptaszki owe zdawały się niekiedy mocno interesować jakimś przedmiotem na roślinie i przypatrywały się, wisząc na swych szybko drgających skrzydełkach; wtedy to połyskiwały prześlicznemi barwami, niby klejnociki, wysadzane szmaragdami, rubinami, szafirami, opalami, ametystami, granatami.

— Kolibra nie jest w stanie złowić żaden ptak drapieżny — rzecze Szmidowicz — a tylko wyboro-

wy strzelec może go trupem położyć. Zaraz ci pokażę, przyjacielu, jak się to strzela w naszym pułku.

I Andrzej nabił strzelbę bardzo lekkim ładunkiem prochu, a potem wsypał do lufy odrobinę jakiegoś miału. Właśnie około źródła czystego, nad pięknym storczykiem zawisł koliber. W tejże chwili zgładził go ze świata Szmidowicz. Był to tak zwany żałobnik, czarno-aksamitny, mający pióra na skrzydełkach śpiżowo-zielone, a lotki świetnie fioletowe, coś prześlicznego.

Zdążali pod górę, idąc teraz ciemnym gęstym borem, po ścieżkach, wydeptanych przez dzikie zwierzęta. Tutaj posłyszeli jakby warczenie kołowrotka, głos jakiś gruby, który zdawał się pochodzić od zwierzęcia znacznej wielkości.

Obojętny przedtem na głosy takie Sobek mimowoli przystanął i nasłuchiwał.

— Jest to mono, co po polsku znaczy mnich, ksiądz z klasztoru — rzecze Andrzej. — Ptaszek mały, bardzo miły, czarnej i białej barwy; kiedy nadmie swój gardziołek, wydaje głos taki gruby, możnaby myśleć, że to jest zwierzę wielkości mojego Matto, a to maleństwo. Nie zrobię mu dziś krzywdy, gdyż mam w pakunku dosyć takich mniejszych skórek.

Weszli w urwisty, wilgotny wąwóz, zawalony bryłami skał; tutaj ludzie i zwierzęta ugasili pragnienie, a ponieważ woda była wyborna, więc Sobek napełnił nią próżne butelki i garnek.

Jeszcze dobre pół godziny pięli się potem pod górę; aż wreszcie stanęli na wierzchołku. Co za wspaniały krajobraz!

Od południa dolina rzeki das Tijucas, pełna gąszczu zielonych krzewin, gdzie niegdzie połyskujących różnobarwnem kwieciem, a wśród tego gąszczu miejscami prześwieca urocza, błękitna wstęga strumienia.

Na północy znowu wiła się wężem rzeka Itajahy Mirim z swemi mnogiemi kolonjami po brzegach.

Z zachodu dawał się widzieć gościniec, wiodący od miasta S. João Baptista das Tijucas, ku kolonji Principe d. Pedro, a poza gościńcem rysowały się na niebie szare grzbiety Serra das Tijucas, strojne welonami błękitnawo-białej mgły.

A gdzieś daleko na wschodzie wielka płaszczyzna Atlantyku.

— Tutaj trzeba nam gruntownie wypocząć, posilić się, przeczekać czas największego skwaru — powiedział Szmidowicz, zdejmując czem prędzej pakunki z nadzwyczajnie spoconego bułanka.

Cierniak bez zwłoki czasu naciął, nazbierał drzewa, rozpalił ogień i przystawił do niego garnek z czarną fasolą.

Górskie powietrze było tutaj świeże, chłodne, przeto podróżni prędko wytchnęli ze znużenia.

Kiedy już zasiedli do spożycia skromnej uczty, składającej się z miski zupy czarnej fasoli, zaprawionej manioką, chleba, czarnej kawy i kaszasu, naraz posłyszeli w lesie szczególny gatunek koncertu. Oto odezwało się najprzód jakby bardzo dźwięczne uderzenie młota w kowadło, a na to hasło odpowiedziało kilkanaście takichże samych uderzeń, które już potem nieustannie sobie wtórowały w króciuchnych przerwach, i ciągle tylko słychać było: „din-din, din- din".

— Toć rychtyk tak, jakby kowale walili młotami w kuźni — odezwał się Sobek.

— Bo też to są kowale! — odrzekł Andrzej. — Rzeczywiście tak się nazywają ptaki wielkości gołębia, bielutkie, jak śnieg, a na podgardlu zielonawe; trzeba wiedzieć, że samce mają na dziobie narostek taki, jak u indyków. Szelmy jedne, nie pozwalają mi zjeść obiadu, bo przecie trudno się

oprzeć pokusie i nie sprzątnąć z tego świata takiego kowala...

Rzekłszy to, Szmidowicz powstał i ze strzelbą w ręku zapuścił się do lasu.

Na odgłos strzału ucichła muzyka kowali, a Andrzej powrócił wkrótce do miski fasoli, przynosząc ze sobą prześliczny okaz kowala płci męskiej.

Po skończonym obiedzie Szmidowicz otulił się w ponszę i wnet zasnął; naśladował go w tem Cierniak, złożywszy swą głowę na pakunku ze skórami.

Spali tak przez parę godzin i dopiero około piątej poczęli z góry schodzić.

Andrzej, który swoje bystre oczy badawczo zwracał na wszystkie strony, przystanął nagle i, przyczajony, w milczeniu począł się skradać. Niedługo dał czekać na siebie, wystrzelił i wnet potem powrócił do towarzysza z łupem. Tym razem zastrzelił przedziwnie pięknego ptaka, złoto-zielonego zwierzchu i na piersiach.

— Sztuka to rzadka — rzekł — chociaż do zabicia łatwa, nazywa się jacamar albo także pszczołojad, że zaś jest bardzo piękny i do kolibra podobny, więc go nazywają również wielkim kolibrem. O, skończony próżniak z niego! Całemi godzinami wysiaduje na jednej gałązce, czekając, aż jaki owad podleci.

Mniej szczęśliwie strzelił Andrzej do kukułki brazyljańskiej, ptaka cokolwiek większego od przepiórki, a o długim ogonie i czerwono-brunatnem pierzu. Po strzale mignęła się tylko między drzewami i zniknęła.

Dopiero, kiedy już zeszli nadół, gdzie są źródła rzeki Rio do Moura, napotkali szereg wędrownych mrówek, co zwróciło baczną uwagę Szmidowicza.

— Założyłbym się — mówił — że tu gdzieś bę-

dzie i ognlowe oczko, ptak czarny, biało znaczony na skrzydłach, a mający oko czerwone, jak ogień...

Jeszcze miał coś dalej o tym ptaku opowiadać, gdy ztyłu za nimi dał się słyszeć tętent koni. Odwrócili głowy i spostrzegli dwóch jezdnych, którzy z dobytemi szablami pędzili ku nim cwałem.

— Żandarmy! — zawołał Andrzej. — Widać, że w tej puszczy są oni na tropach jakiegoś złoczyńcy...

Cierniak zbladł nagle i zrobił ruch taki, jakby się chciał w las rzucić; opamiętał się jednak, przybrał spokojny wyraz twarzy, chociaż mu serce waliło w piersiach, jak młotem.

ROZDZIAŁ XXVIII

Bunt chłopski. — Trup w lesie.

Oboje Matusowie i Dąbkowa, smutni po doznanej w drodze przykrej przygodzie, powrócili z dziećmi samym już wieczorem do kolonji polskiej nad Itapiva.

Mikołajowa nie umiała cierpliwie i ze spokojem znosić swego losu; jak tylko się znalazła na kolonji, wpadła zaraz w szał żalu, który się niekiedy zamieniał w wybuchy wściekłości: płakała, wyrzekała, przeklinała męża, agentów, Brazylję, urzędników. Ludzie postawali, przysłuchiwali się wyrzekaniom, przekleństwom, i jedni współczuli z kobietą, drudzy sobie myśleli, że im jest gorzej, a nic nie mówią.

Już pod barakami rozpalano ogniska i zaczęto warzyć wieczerzę, kiedy tam zjawił się właśnie dozorca, jego pomocnik i urzędowy tłumacz; chodziło o porozumienie się z chłopami w sprawie objęcia przez nich kolonij, które tylko co poodmierzał geometra rządowy.

Emigranci, niezadowoleni ze wszystkiego, co znaleźli w Brazylji, poczęli się niebawem uskarżać i stawiać przerozmaite żądania, które dozorca usiłował jak bądź zbywać.

Wystąpiła zkolei rzeczy i Dąbkowa, domagając

się ostro zapomogi dla siebie, oraz dla swych dzieci. Dozorca ani myślał o uwzględnieniu takiego żądania; wtedy rozżalona kobieta wpadła w gniew i poczęła miotać obelgi na rząd brazyljański, nazywając urzędników „złodziejami, cyganami, żydami, judaszami, szachrajami". Tłumacz przełożył to wszystko na język urzędowy; dozorca zaś wysłuchał uważnie, roześmiał się, machnął ręką.

— To ty, hyclu jeden, jeszcze się będziesz natrząsał z mojego nieszczęścia! — wrzasnęła Mikolajowa, porywając polano drzewa, z którem się rzuciła na dozorcę.

Atoli pomocnik dozorcy uprzedził cios, zagrażający pryncypałowi, popchnął babę zboku tak, iż upadła, wrzeszcząc na całe gardło.

Było to hasłem dla innych emigrantów, dosyć już podjurzonych, lecz zachowujących się jeszcze dotychczas biernie.

Trzeba wiedzieć, że dozorcę i jego sztab słusznie czy niesłusznie oskarżali chłopi o kradzież funduszów, które rząd wyznaczał na zapomogę dla kolonistów z Polski.

Kiedy więc Dąbkowa doznała czynnej zniewagi, zaraz jaki-taki chwytał za kij, kamień i spora gromada, złożona z chłopów i bab, rzuciła się na przedstawicieli władzy.

Ci ostatni zaczęli się zwolna cofać ku rządowym barakom na górze. Atoli chłopi nacierali coraz śmielej; warknęły w powietrzu kamienie i urzędowego tłumacza zraniono w głowę. Widząc to, dozorca dobył rewolweru i strzelił do gromady. Jakiegoś emigranta kula zraniła w rękę.

Rozległ się krzyk:—„Naszych zabijają!"

Teraz już wszystko, co było w barakach, wyległo na pole bitwy i, jak lawa, ze straszliwym krzykiem rzucili się na nieprzyjaciela.

Dozorca i jego towarzysze całym pędem puścili

się ku barakom na górze, mniemając, iż tam, przy pomocy broni palnej i strasznych psów, zdołają powstrzymać napad.

Gdzie tam! Psy, widząc, że ich panowie zmykają w nadzwyczajnym strachu, wzięły ogony pod siebie i drapnęły do lasu.

Nie było już rady: dozorca, jego pomocnik, tłumacz nie zatrzymali się nawet w rządowych barakach. Jako uciekinierzy, połączyli się z nimi jeszcze kucharz i posługacz.

Chłopi więc bez najmniejszej przeszkody wtargnęli do rządowych baraków i zrabowali tam wszelkie zapasy żywności, zabrali kilka butelek kaszasu, poczem triumfalnie powrócili nadół, ażeby sobie wyprawić dawno niebywałą ucztę.

Tymczasem pan dozorca gdzieś na niemieckiej kolonji dopadł konia i na całą noc popędził cwałem do Blumenau, ażeby zawiadomić szefa kolonizacji o wybuchłym buncie.

Szef, przerażony opowiadaniem, w którem dozorca nie szczędził barw jak najstraszniejszych, zawezwał natychmiast władze policyjne i wojskowe, żądając bezzwłocznego dostarczenia sobie pomocy zbrojnej.

Atoli Blumenau rozporządzało tak małą siłą zbrojną, iż postanowiono pożyczyć jej sobie w Itajahy.

Telegraf był teraz bardzo czynny. Ostatecznie władze Itajahy odpowiedziały, że mają siłę zbrojną dla własnego użytku i obcym municypiom wypożyczać jej nie mogą, zwłaszcza, że tam także na nowych kolonjach pełno jest żywiołów niebezpiecznych, zbieraniny z Włoch, Hiszpanji i innych krajów Europy.

Jednocześnie szef z Blumenau telegraficznie zawiadomił delegata kolonizacji w stolicy stanu Św. Katarzyny o tem, co zaszło, i domagał się,

aby mu jak najprędzej przysłano morzem część miejscowej załogi wojskowej z jakim mężnym oficerem na czele, a to w celu uśmierzenia chłopskiego buntu.

Rano, około godziny dziewiątej, wyruszyły z Blumenau dwa zastępy zbrojne do kolonji nad Itapava. Przodem pojechał wachmistrz z czterema konnymi żandarmami, a za nimi pociągnęło dziewięciu piechurów, murzynów, na których czele jechał wierzchem oficer, Brazyljanin, Luitz Ferreira de Saltes, znany ze swego junactwa.

Wachmistrz żandarmów, Pedro d'Alcantara Caldo Junior, używał powszechnie opinji, jako człowiek trzeźwego i bystrego rozumu: kiedy szło o ujęcie złoczyńcy, o wyśledzenie zbrodniczego czynu, Caldo nie miał równego sobie w całej Brazylji. Rubaszny, wesoły, gadatliwy, dobroduszny, jadł dużo, pił dobrze, nigdy się o nic na nikogo nie gniewał, a jednak obowiązki swoje spełniał z całą ścisłością. Nieraz, śpiewając i zapijając kaszas ze złoczyńcą, spokojnie go potem brał w postronki i dostawiał tam, gdzie należało.

Mówiono o nim:—„Oho, Pedro Caldo umyślnie patrzy na niebo, ażeby spostrzec, co się pod ziemią dzieje".

I teraz oto, jadąc na czele swojej drużyny, ciągle mówił, pokpiwał, śmiał się serdecznie.

— Panie wachmistrzu, co za jedni są *polacos?*—zapytał jadący obok podsiwiały już żandarm.

— *Polacos?... Polacos*, widzisz, mój João, to nie są ani Włosi, ani Hiszpanie, ani Francuzi, ani Niemcy, ani Anglicy, no i, rozumie się, ani Brazyljanie. O ile wiem, pochodzą oni z kraju, który się nazywa Polonja.

— Rozumiem!—odrzekł żandarm, zupełnie zadowolony z danego mu objaśnienia.

— Ty rozumiesz to, czego ja nie wiem; dobry

jesteś, Joãol... Ale zato ja rozumiem, dlaczego ty o Polaków pytasz?... Przyznaj się, masz tchórza, boisz się zbuntowanych *colonos polacos*. Ale zaręczam ci, że owi buntownicy spokojnie zajadają czarną fasolę, a boli ich tylko brak kieliszka kaszasu na popicie. Z mojego żandarmskiego punktu widzenia wynika, że ci, którzy się buntują nie są przyczyną buntu... Czy ty znasz dozorcę Sauermanna?

— Wszystkiego raz jeździłem po służbie na kolonje i jadłem u niego pieczoną jacutingę, wędzoną antę, a wypiłem kaszasu bez miary i musiałem zanocować w barakach rządowych... Sauermann dobry człowiek!

— Do każdej biesiady najlepsi są złodzieje: zjeść, wypić lubią i mają za co; inni ludzie lubią, ale cóż, kiedy rejsów nie mają.

— Jednakże żandarmowi nie wypada pić ze złodziejem—wtrącił inny żandarm.

— Znać w tobie, Miguelu, młodego kociaka, co to chciałby jeść myszy, a od myszy stroni, jak portugalski markiz od negra!—zawołał wachmistrz. — A cóż to szkodzi wypić ze złodziejem? I z rozbójnikiem można, byle miał czem płacić. Jeżeli taki wszystko przepije, to potem zrób z nim swoje! Pamiętam, piłem raz porządnie ze sławnym zbójem; mądry był chłopiec! On udawał pijanego przede mną, a ja udawałem przed nim... Tośmy sobie wtenczas poprzysięgli przyjaźń do grobu; jeden przed drugim płakał w czułości, a wszystko było łgarstwo, gra. Jemu się nareszcie sprzykrzyło udawać pijanego, zuch był—i zaczął pić porządnie, aż się kapitalnie urżnął. Dopiero ja mu ręce tak skrępowałem postronkiem, że biedak zapłakał z bólu, kiedym go prowadził przy koniu. —„Nie płacz, przyjacielu—prosiłem—bo mi serce ranisz!"—A on mi naklął:—„Mogłem cię, gałganie,

zabić, a nie zabiłem" — mówił.—„Źle zrobiłeś, na własną biedę—odrzekłem—żałuj!"

— Ależ, panie wachmistrzu—odezwał się João —mówiąc o dozorcy Sauermannie, daliście do zrozumienia tak coś mniej więcej, jakgdyby to był złodziej.

— João! zęby ci wypadły z dziąseł, łeb ołysiał i osiwiał, a ty, będąc żandarmem, najprzód monarchicznym, potem republikańskim, ciągle nie przestajesz być niemowlęciem.

— Zawsze lubicie, panie wachmistrzu, facecyjki. Cóż to ma za związek z odpowiedzią na moje zapytanie o Sauermanna.

— Wiedzże, sędziwy głupcze, iż porządny żandarm ma obowiązek nie uważać nikogo za skończonego uczciwca, ale też i nie powinien nigdy wyraźnie wypowiadać swego zdania o takim, którego wszyscy nazywają łotrem.

Powiedziawszy to, wachmistrz nagle uniósł się na strzemionach, jakgdyby poprzez krzewy i drzewa chciał zajrzeć w tajemne wnętrze boru.

— Miguelu—rzekł do jednego z żandarmów— czy widzisz tam, jak urubus i gallnazos zapadają w krzewy?

— Tak jest, panie wachmistrzu, widzę! Zapewne zwierzę jakie wyzionęło ducha i z trupa jego sępy zamierzają sobie wyprawić ucztę.

— Ho, ho, ciebie widzę obchodzi historja naturalna!... Porządnemu żandarmowi nie przystoi robić takich przypuszczeń. On powinien tak rozumować: zapadają oto w krzaki sępy jeden po drugim, więc tam *może* być trup ludzki, a jeżeli trup taki leży w krzakach, to jego zbójca chodzi *może* po świecie. Dajno koniowi ostrogę, poskocz żwawo i zobacz, co te sępy znaczą!...

Miguel spełnił rozkaz swojego zwierzchnika,

a po niejakiej chwili wrócił i takie przyniósł sprawozdanie:

W krzakach leżą zwłoki człowieka, zaledwie przyrzucone ziemią; dobrały się do nich sępy i już je w połowie pożarły.

— Na tej drodze regularnie co rok mamy morderstwo — mruknął wachmistrz i zwrócił konia w zarośle, a za nim popędził jego zastęp.

Widok zbliżających się jezdnych spłoszył ogromną gromadę sępów czarnych, które z kawałkami wyrwanego ciała w dziobie odlatywały nabok o kilkanaście kroków i dokończały uczty; przykra woń zgnilizny zdaleka już się czuć dawała.

Pedro d'Alcantara Caldo natychmiast zsiadł z konia i oglądał trupa.

— Zabity uderzeniem tobora w głowę i w szyję — mówił.—Po ubraniu, a głównie z obuwia widać, że Polak... Kapelusz jego musi być gdzieś w krzakach. Rzecz szczególna, uciekał z drogi w krzaki!... Miguel, Antonio, José, João, zaraz mi poszukać kapelusza!

Żandarmi rozbiegli się dokoła i wnet João powrócił ze znalezionym kapeluszem, a Miguel przyniósł zardzewiały topór.

Wachmistrz oglądał oba te przedmioty z wielką ciekawością.

— Rzecz szczególna, uciekał w las z toporem i nietylko się nie bronił, ale topór zgubił! Ten topór jest dostarczony przez rząd koloniście... Polak i kolonista zabity, a więc pochodzi z kolonji nad Itapawa... Trzeba się spieszyć, bo zabójca uciec może.

Jak mogli, tak zabezpieczyli zwłoki, przysypali je ziemią, nakładli stos gałęzi, a wachmistrz zaraz na miejscu wydał rozkaz, aby Miguel popędził do Blumenau i zawiadomił, kogo należy, o zbrodni.

Kiedy uszczuplony zastęp znalazł się znowu na drodze, wachmistrz wydobył z troków przy siodle butelkę kaszasu, mówiąc:

— Musimy zapić tę woń smrodliwą!

Pili kolejką, aż dopóki nie wypili wszystkiego do dna.

Do samych kolonij gadulstwo i dobry humor już teraz nie opuszczały wachmistrza żandarmów.

ROZDZIAŁ XXIX

Wachmistrz w drodze i na kolonjach.

Jadą ci żandarmi ku kolonjom polskim i wstępują do jakiejś oberży przy drodze, ażeby tam konie napoić, dać im chwilę wytchnienia. Weszli oni do izby, patrzą, a tam siedzi urzędowy tłumacz z rozbitą głową, pomocnik dozorcy, kucharz i posługacz z rządowych baraków. Zapijali kaszas we czwórkę, a strasznie się srożyli i odgrażali Polakom. Dopiero radość ogromna na widok posiłków zbrojnych, mających poskromić zuchwalstwo emigrantów. Krzyczeli jeden przez drugiego i uskarżali się przed żandarmami. Wachmistrz Caldo wysłuchał wszystkiego, a potem rzekł:

— Możecie, senhores, z nami bezpiecznie na kolonje wracać. Z oddziałem swoich mężnych żandarmów mógłbym zdobyć Portugalję, nieprawdaż, João, stary smyku? Ale armja do bitwy potrzebuje zachęty, a czemże wojaka zachęcić, jak nie spirytusem?... W tych zaś naszych szczęśliwych czasach republikańskich, któż za spirytus ma płacić, jak nie urzędnicy kolonizacji?

— Mówiliście przed chwilą, panie wachmistrzu, że złodzieje pić lubią i mają za co—odezwał się João.

— Cicho, João, baranie, który czekasz spokoj-

nie, aż ci młoda żona przyprawi rogi do twej głupiej głowy, i nie będziesz wiedział nawet, kogo bość temi rogami!... Bom ja przecie za stary, a Miguel młody, ale do niczego. Miguel pojechał do Blemenau, widziałem, że ci to nie na rękę... Widzisz, musiałem posłać takiego, co by miał zachętę do pośpiechu... Ty, Antonio, José, bylibyście się spili u przewoźnika na promie, u tego bibuły, co już ze setkę ludzi wskutek swego nałogu utopił. Owóż, panie pomocniku dozorcy, do tego zmierzam, że zachęta dla ludzi zawsze jest potrzebna, jeżeli mają jakiś sławny czyn wykonać. Cóż ty na to?

— Ja myślę trącić się kieliszkiem rumu ze szlachetnymi obrońcami naszych zacnych swobód republikańskich.

— Na honor, bardzo porządnie myślisz! Śmiało mogę powiedzieć, że dziś poznałem pierwszego myśliciela między urzędnikami kolonizacji.

Wypili po czarce rumu i wtedy Caldo zbliżył się do urzędowego tłumacza.

— Spuchła ci, widzę, głowa, panie tłumaczu?... Do nielicznych dziur w ciele przybyła ci jedna, sztuczna... Zawsze utrzymywałem i dotąd utrzymuję, że głowy urzędników kolonizacji są mniej twarde, aniżeli kamienie.

— Jeżeli się nie mylę, dostałem w głowę kawałkiem granitu.

— Zapewne, zapewne! Granit jest to najtwardszy kamień w naszej Brazylji, cegła nie zdołałaby nigdy rozbić twojej czaszki, odskoczyłaby jak od skorupy żółwia. Ach, gdybyś ty wiedział, panie tłumaczu, jaką żądzą odwetu za twą czaszkę pałają moi waleczni żandarmi! Nie myśl jednak, że po jednym kieliszku rumu zobaczysz szlachetny zapał męstwa w ich oczach! Cnoty żołnierza leżą na samym spodzie serca i, aby je wzruszyć, potrzeba dużo, dużo... Ale, jak ci wiadomo, w naszej

spartańskiej rzeczypospolitej żołnierz nie ma za co pobudzać swej waleczności i musi zawierać przymierze z kupcami, urzędnikami...

— Przed chwilą mówiliście, panie wachmistrzu, że ze złodziejami...—rzekł João.

— No, widzisz, panie tłumaczu, nie zalej takiemu João gardła spirytusem, to on gotów wobec najzacniejszych obywateli rzeczypospolitej głośno wymawiać nieprzyzwoity wyraz „złodziej!"... João, stary ośle, nie żandarmem być tobie, ale raczej służyć w piechocie za trąbę, wyraźnie mówię, za trąbę!...

Tłumacz urzędowy lekko się zarumienił, nieznacznie trącił w łokieć pomocnika dozorcy, udającego, iż nie słyszy całej tej rozmowy; niebawem zaś na stole pojawiła się cała butelka rumu i czarki do rozlania.

— No, wiara, śpieszyć się, pić prędko, bo czas nagli! — wołał wachmistrz. — Za nami podąża piechota z Blumenau i byłby wstyd, gdyby nas konnych tutaj zastali... Wy, panowie urzędnicy, najlepiej zrobicie dla dobra ogółu, jeśli się oddacie pod moją komendę.

— Ależ niczego więcej nie pragniemy, dysponujcie nami, rozkazujcie, panie wachmistrzu! — zawołał tłumacz.

— Kiedy tak—odrzecze wachmistrz—to zwracam uwagę twą, panie pomocniku dozorcy, że w nieobecności waszej na kolonjach zgłodniali *polacos* musieli sprawić straszne spustoszenie w barakach rządowych. O, znam ja ich dobrze, chłopy z apetytem smoków i pragnieniem gąbek! Tacy mogli nawet bunt podnieść w tym celu, ażeby was z domu wypłoszyć, a potem wszystko zjeść, wypić... Głodni ludzie zawsze się buntują. Cóż chcecie? Mój przyjaciel, João, istny gołąb w pożyciu małżeńskiem, zbuntował się przed trzema

dniami, kiedy mu jego młoda żonka obiadu dać nie chciała. Stąd wynika nauka dla was, panowie urzędnicy kolonizacji: starajcie się, aby oddział walecznych żandarmów, mający stłumić powstanie głodnych chłopów, znalazł w barakach rządowych dużo dobrych rzeczy do jedzenia i picia. Nie zawadzi zawartości też oberży przenieść na kolonje. Bo zresztą, cóż was to kosztuje? Rząd rzeczypospolitej zapłaci.

Urzędnicy wynajęli wóz i parę koni u oberżysty, zakupili trunków, wiktuałów i wyruszyli na kolonje w towarzystwie żandarmów.

Była już druga godzina po południu, kiedy przed barakami rządowemi na kolonjach stanął zastęp czterech konnych i czterech na podwodzie.

Wachmistrz zeskoczył z konia i rzekł patetycznie:

— Ja, Pedro d'Alcantara Caldo Junior, wachmistrz żandarmów rzeczypospolitej, przywracam was, panowie urzędnicy kolonizacji, na wasze stanowiska czyli tworzę restaurację; mówiąc zaś o stanowisku i restauracji, mam głównie na myśli szanowną osobę obywatela kucharza, który ma obowiązek odpowiedzieć godnie swojemu zaszczytnemu posłannictwu i pamiętać, że spracowany a waleczny żandarm wart jest kawałka mięsa i kieliszka wódki...

Potem Caldo zwrócił się do tłumacza z temi słowy:

— No, panie tłumaczu, pójdźmy bunt uśmierzyć.

— Jakto, mamy iść we dwóch tylko? — zapytał z przerażeniem tłumacz, dotykając się mimowoli ręką obrażonej głowy.

— Tak jest, we dwóch...

Wachmistrz wziął pod płaszcz znalezione w le-

sie topór, kapelusz, i piechotą w towarzystwie tłumacza puścił się ku barakom emigrantów.

Chłopi zdaleka już widzieli przybyłych żandarmów i naradzali się między sobą, co mają począć.

— Trza stać przy swojem, nie ustępować! — wołało dwóch czy trzech emigrantów.—Jak przyjdzie co do czego, to i ziandary mogą oberwać...

— Ej, nie zarywajta z ziandarami! Tacy mogą ludzi postrzelać, porąbać na trzaski... Co innego dozorca, a co innego ziandar—odpowie jakiś rozważny.

— Sprawiedliwie, sprawiedliwie mówi! — zawołał inny. — Jeno co powiedzieć, jak się będą dopytywać, kto z nas tego tłumacza w łeb tak zdzielił kamieniem?

— Wszystkim przecie wiadomo, że Pluta, tylko swojego wydawać nie idzie! Powiemy, jako niewiadomo kto, i koniec. Nijakiej rzetelności w Bryzolji nie można się trzymać...

— Pewnikiem nam i tego nie przepuszczą, żeśwa im napsocili w ów-tych barakach rządowych,

— Eee, a cóż ta tego było? Całej obrady pięć czy sześć flaszek kasiasu i flaszka wódki słodkiej, co jej żaden chłop ani tknął, tyla baby to między siebie wzięły i po krzynie wychlały.

— A i z jedzeniem też nie było zbytku! Żeby tyle narodu nasycić, trzebaby z dziesięć razy więcej jadła.

— Mnie się widzi, że oni nam za to nie będą śmieli żadnej krzywdy zrobić.

— Niewiadomo jeszcze!... Ziandary tu bez kozery nie przyjechały...

— Któż zaś wie, czy wszystko rządowe, coświa zjedli i wypili?

— Jak baraki rządowe, to jużci wszystko rządowe być musi.

— Kasias chyba nie był rządowy...

— Choćby był, to co? Pocóż nas z Polski wywlekli?

— Trza się zapierać, jako nie wiewa, kto napsocił!

— No, pamiętajta się dobrze trzymać!... W żywe oczy się zaprzeć, że o niczem nie wiewa!

Gdy do tak rozmawiających podszedł wachmistrz, wtedy niektórzy, poczuwający się bardziej do winy, niebawem gdzieś znikli.

Caldo zbliżał się z wielkim spokojem i pewnością siebie; przed barakami spotkał dzieci, począł je zaraz głaskać po głowach, potem wyjął z kieszeni parę kawałków cukru i rozdawał malcom. Małe jakieś brudne niemowlę, czołgające na czworakach, wziął na ręce, pieścił i przyniósł je do baraków emigranckich. Patrzały na to z oddalenia baby i mówiły jedna do drugiej:

— Ten wojak musi być dobry człowiek, kiej dzieci tak lubi.

I zaraz mu się zaczęły kłaniać, a chłopi, widząc to, uchylili również czapek.

— Panie tłumaczu, powitaj ode mnie tych ludzi takiemi słowy, jakiemi się oni sami między sobą witają—powiedział wachmistrz.

— Obywatele, wachmistrz Caldo mówi do was: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus"—rzekł tłumacz, nieco już teraz uspokojony przyzwoitem zachowywaniem się emigrantów.

— Na wieki wieków amen! — odpowiedzieli wszyscy chórem, a między sobą zaczęli poszeptywać.

— Ciewy, musi być cały człowiek, chrześcijańska dusza, kiej takiem słowem do nas zamówił!

— Nie słyszeliśta, co tłumacz powiedział? Toć wachmistrz, figura! Ze stroju i z miny zaraz poznać, że nie żaden ladajaki.

— Mieni mu się na głowie lepiej, niż u drugiego jenerała.

— Bez to pewnikiem, żeby był znaczny, jako nad ziandarami przewodzi.

Caldo bez zwłoki czasu przy pomocy tłumacza rozpoczął teraz badanie, czy kto z gromady nie wie, do kogo mogą należeć znalezione w lesie — topór i kapelusz.

Emigranci kolejno oglądali te przedmioty, lecz żaden z nich nie zdołał wymienić nazwiska właściciela; niezmiernie się jednak wszyscy zaciekawili.

— A powiedzcież mi, obywatele, czy tu kto z waszych nie ubył w tych dniach?—zapytał wachmistrz przez tłumacza.

— Toć odniedawna niema Cierniaka, ale go ta nikt nie żałuje! — zawołał ktoś z tłumu.

— Dobrze! dobrze! Proszę powiedzieć wyraźnie imię i nazwisko tego człowieka!

— Sobek Cierniak!

— Brakuje takoż i Mikołaja Dąbka, tego, co się to z babą swoją swarzył i bijał!—odezwał się ktoś inny znowu. Wachmistrz z wielką starannością zapisał sobie imiona i nazwiska obu chłopów, jako też opinję o nich gromady.

Gdyby się kto uważnie był rozpatrywał w tym tłumie emigrantów, spostrzegłby, że za wymienieniem imienia i nazwiska Mikołaja Dąbka, Matus Dzwonko, stojący naboku, zbladł nagle, a po chwili nieznacznie się z tłumu wysunął i opuścił baraki.

Z dalszego przebiegu badania wypadło, że pociągnięto do zeznań i Dąbkową. Tym razem baba okazała się bardzo powolną, ponieważ w rękach żandarma poznała kapelusz męża i powzięła jakąś tajemną nadzieję do odzyskania pieniędzy; opowiedziała przeto całą, znaną nam już historję

z wszelkiemi szczegółami. Kiedy Caldo zażądał nareszcie rozmowy z Matusem Dzwonko, napróżno tego chłopa szukano w barakach.

— A toć on tu stał dopiero co tylko!—powtarzano ze wszystkich stron.

Daremnie wachmistrz dopraszał się, ażeby sprowadzono Matusa Dzwonko, daremnie przysięgał, iż go potrzebuje w sprawie bardzo ważnej, a dotyczącej dobra polskich emigrantów; chłop przepadł gdzieś bez śladu.

Nareszcie sprowadzono jakiegoś chłopaka, który zeznał, że widział przed chwilą, jak się Matus „wyrwał z baraków i darł do lasu". Teraz Caldo pożegnał chłopów, salutując ich po żołniersku, pobiegł czem prędzej do rządowych baraków na górze i wydał polecenie trzem swoim żandarmom, ażeby natychmiast dosiedli koni. Wkrótce potem widziano wachmistrza, jak na czele swego oddziału gnał we wskazanym sobie kierunku w pogoń za Matusem. Pod lasem czterej żandarmi rozdzielili się i każdy inną ścieżką w bór popędził.

Niedługo trwało poszukiwanie, bo w kilka już minut João począł na cały głos nawoływać kolegów, a gdy przybyli, pokazał im człowieka, powieszonego na gałęzi. Był to właśnie Matus Dzwonko.

— Ah, bodajże mnie djabli wzięli! — zawołał Caldo.—Miałem w ręku klucz zbrodni i... Nie, nie, przysiągłbym prawie, że nie ten jest zabójca! Ale, który żyje jeszcze: Dąbek czy Cierniak?... W tem sęk! Wszystko mi mówi, że—Cierniak! O, bratku, choćbyś się pod ziemię schował, to cię znajdziemy! Mamy czas jeszcze!... Czyś jest na morzu, czy na lądzie, nie ujdziesz przed Pedro d'Alcantara Caldo Junior!

ROZDZIAŁ XXX

W barakach rządowych

Kiedy żandarmi wrócili do baraków rządowych, już dla nich kucharz przygotował obiad.

— Siadajcie, przyjaciele!—rzekł Caldo do swej drużyny.—Musimy się uczciwie śpieszyć: jeść całą siłą szczęk, pić pełnemi łykami, abyśmy głód i pragnienie zaspokoili przedtem, nim się zjawi ze swymi murzynami ten pyszałek de Saltes... A cóż mnie to może obchodzić, jeżeli oficer od piechoty głodny się spać położy? Dzisiejsza rzeczpospolita dąży do samorządu, więc i do samopomocy. Niech każdy sam myśli o sobie!

Jeszcze żandarmi ust po obiedzie nie otarli, gdy się rozległ tętent konia i przed baraki wpadł pędem dozorca. Szybko zeskoczył z podjezdka, wbiegł, z uprzejmością kłaniał się, podawał rękę żandarmom i rzekł:

— Kochany pan wachmistrz de Caldo! O, to mi gość pożądany!

— Nie jestem de Caldo, lecz poprostu Caldo!... Choć mię zaś nazywasz pożądanym gościem, to jednak za flaki musiałem targać reprezentację urzędu kolonizacyjnego, ażeby się zgrubsza pożywić i napić.

— Cóż robić, panie wachmistrzu? Ja skromnie

żyć muszę, ubożuchno, jak pustelnik! A skąd mam brać przy swojej szczupłej pensyjce?... Ale, ale, jakże tam poszło z buntownikami? Prawda, że niełatwo? Spodziewałem się tego! Mnie nikt energji nie odmówi, a jednak wobec takich drabów, zbójów...

— Upokorzeni *polacos* leżą, jak barany, u stóp waszej dozorczej mości! — przerwał wachmistrz.— Ja i moi dzielni żandarmi zrobiliśmy swoje, to jest spoczęliśmy na laurach zjedzonego obiadu.

— Senhor Caldo zawsze żartuje! Niezawodnie, panie wachmistrzu, spotkaliście się z nadzwyczajnym uporem, krnąbrnością i nieuległością.

— Wszystko to było, ale tylko w bardzo małej dozie... Ostatecznie udało mi się przekonać pańskiego pomocnika, tłumacza, kucharza i posługacza, że żandarmi muszą jeść, pić, tak samo, jak każdy inny śmiertelnik.

— No, chwała Bogu, żeście po ciężkich trudach zjedli tu przynajmniej obiad. O, bo inaczej oberwałbym uszy kucharzowi! Tak, tak, wszyscy tu muszą znać mores, muszą wiedzieć, że Sauermann nic nie puści płazem!

— Wierzaj mi, panie dozorco, że zjedzenie obiadu w tej dziurze jest na czysto zasługą... I wogóle, każde zjedzenie jest zasługą tego, który zjadł.

— Powiedziałeś panie wachmistrzu: „w tej dziurze". Niezawodnie! Tu są bardzo ciężkie warunki! Prawdziwa dziura! człowiek żyje wśród dzikich zwierząt. Czyż takie życie nie jest poświęceniem?...

— Ja się na wszystko zgadzam zaraz po obiedzie. Spieranie się z wami, panie dozorco, podziałałoby na mnie, jak fale morza: dostałbym niezawodnie morskiej choroby. Nie, źle powiedziałem! Kiedym jest dobrze syty, wyobrażam sobie, że jestem najedzonym sępem urubú lub też gallinazo,

a ten, kto mię napastuje i niepokoi stawianiem pytań, wydaje mi się być głodnym sępem, chimango, który napada na tamte najedzone ptaki i dopóty je dręczy, dopóki ich żołądek nie zwróci połkniętej strawy; szelma jeden, on na to tylko czeka, ażeby się sam mógł obeżreć!

— Z tem wszystkiem, zacny panie wachmistrzu, z urzędu powinienbym posłyszeć różne szczegóły zachowania się Polaków za waszem tutaj przybyciem. Założyłbym się, że łotry truchleli ze strachu.

— Najważniejszym szczegółem, obchodzącym pana, jest to, że jeden *colono polaco* wisi w lesie. Musicie mu jutro wyprawić pogrzeb...

— Co mówicie, panie Caldo? *Colono polaco* wisi? — zawołał dozorca przerażony, jakkolwiek mu się oczy zaświeciły, jak u kota. — Aż tak daleko sprawiedliwość zaszła!... Jednakże, między nami mówiąc, czy to nie za surowo?... Rząd rzeczypospolitej proteguje i oszczędza emigrantów, więc się obawiam...

— Niczego się pan nie obawiaj!—mruknął z powagą Caldo.—Wszystko się stało naturalnie.

— Wybornie pojmuję, rozumiem! Powiesić jednego hultaja dla przykładu, jest to zapewnić władzy spokój, dać jej możność uszczęśliwienia wielu tysięcy.

— Ale i to także prawda, panie dozorco, że dziś w Brazylji, wobec napływu emigrantów i z tego właśnie powodu, jeden powieszony może być więcej wart, aniżeli tysiące żyjących, uważających się za cnotliwych dobroczyńców ludzkości.

— Ha, co się stało, to się stało. Djabli wiedzą, czy takie powieszenie nie wywoła nowych buntów. Trzeba będzie może zatrzymać tu na kolonjach przez dłuższy czas siłę zbrojną, ogłosić stan oblężenia, zaprowadzić surowy rygor... Kapitan Ferreira de Saltes zaraz nadciągnie ze swoją piechotą,

a jutro na wieczór powinien tu przybyć z Desterro cały bataljon pod bronią. Zobaczymy, zobaczymy...

— Z mojego punktu widzenia, jako wachmistrza żandarmów, muszę panu otwarcie powiedzieć, że dla utrzymania pana, pańskiego dozorcy, kucharza i posługacza w barakach rządowych, należałoby tu na kolonjach powiesić wszystkich emigrantów... A byłoby jeszcze daleko lepiej, gdyby się każdy z nich sam powiesił. O ile wiem, dużo już na tej drodze zrobiono.

— Ej, nie! Powiesić wszystkich, to za surowo!

Teraz wachmistrz powstał od stołu, przeciągnął się, i przybrawszy nadzwyczajnie uroczysty wyraz twarzy, rzekł:

— Proszę pana o arkusz czystego papieru, pióro i atrament, gdyż mam przedstawić do władzy ważny raport o strasznych kradzieżach i nadużyciach, jakie się na kolonjach polskich dzieją. Raz temu trzeba położyć tamę i winnych wyśledzić! Czyż ja, porządny żandarm, mogę obojętnie patrzeć na to, jak łotry okradają biedaków i do rozpaczy ich doprowadzają?... O, nie, dosyć tego!... Zdaje się, że nić łotrostwa mam w ręku, że jestem na śladach głównego rabusia!

Mówiąc te słowa, Caldo, wzburzony, przechadzał się po izbie, brzęczał ostrogami, a jego fizjognomja miała nieubłagany wyraz surowości.

Dozorca zzieleniał cały, chciał ukryć swe pomieszanie, zakręcił się raz, drugi po izbie, szukał niby to papieru, pióra, atramentu, a pod nosem niewyraźnie coś bełkotał. Nareszcie wypadł do sieni i począł gniewnie łukać na posługacza:

— Francisco, co to znaczy, dlaczego nie podałeś panu wachmistrzowi butelki wina do obiadu? Dlaczego po obiedzie nie stoi tu na stole przed panem wachmistrzem wszystko, co mamy najlepszego do picia?... Ty, niedołęgo, gapiu!

— Ależ, *colonos polacos* wpadli do baraków i zjedli, wypili wszystko, co było!—odrzekł posługacz śmiało, mrugając na dozorcę.

— Głupiś, Francisco! Zabrali to, co było w spiżarni; ale naszej skrytki w ziemi nie mogli przecież odkryć.

— Aha, to znowu co innego! — odparł posługacz. — Czegóż się pan gniewa i odrazu mi nie powie? Myślałem, że pan tych żandarmów chce zbyć psim swędem, tak samo, jak zbywamy pomocnika pana szefa. Zresztą, myśmy tu już z pomocnikiem i tłumaczem ułożyli, aby do rządu przedstawić rachunek szkód, zrobionych w barakach przez Polaków, na tysiąc milrejsów... Kucharz mówił, że pan na tem nie poprzestanie.

— Milcz, Francisco, idź do piwniczki i przynieś wina, likieru, tylko prędko!

Wachmistrz, który słyszał przez drzwi całą tę rozmowę, spojrzał znacząco na swych towarzyszy, jakgdyby chciał powiedzieć:

— Dzisiaj będziemy mieli gratkę! Powinniście mi podziękować, żem trafił na słabą żyłę tego trutnia.

Wkrótce na stole pojawiły się dwie butelki portwejnu i butelka likieru, co wszystko wachmistrz bacznem okiem ogarnął i w te słowa przemówił:

— Szanowny panie dozorco, przyjmujesz nas w swym domu tak godnie, jakgdyby członkowie prześwietnego trybunału w Rio de Janeiro wyprawiali bal dla dostojnej sprawiedliwości! Słowo honoru daję, portwejnu nie piłem aż w dniu ogłoszenia rzeczypospolitej, a przepadam za tem winem. Ale czy pozwalasz mi pan rozporządzać temi butelkami tak, jak mi się podoba?

— Bardzo proszę, panie Caldo! Należysz przecie do rzędu ludzi, których ja cenię, kocham, uwielbiam.

— Dobrze, więc butelkę wina i likier każ mi owinąć mchem, ponieważ zabiorę to ze sobą na pamiątkę od przyjaciela; drugą butelkę wina wypijemy tu na miejscu za twoje zdrowie i powodzenie. Znam ja was, panie dozorco, wiem, żeście dobry bursz, stary pijak i, jeżeli jaki nowy toast wznieść jeszcze przyjdzie, to, otwierając nam swoje złote serce, nie będziecie nas trzymali przed zamkniętemi drzwiami swojej piwniczki. Tylko butelek na stole nie trzymać, chyba próżne, bo lada chwila zjawi się Saltes, a ten goli bez miłosierdzia. Po jego przybyciu ja odjadę, możecie go karmić bananami i poić wodą.

— Jakto, odjedziecie, panie wachmistrzu? Co za szkoda mieć przyjaciela w swoich progach przez czas tak krótki!

— Sądziłes, widzę, że na kolonjach ze dwa dni jeszcze zabawię? — rzekł wachmistrz, wychylając do dna kieliszek wina.

— Nie inaczej, nie inaczej!

— Wyobrażam sobie, ilebym ja tu zjadł i wypił przez ten czas u ciebie. Mój panie dozorco, jestem człowiek otwarty, co w myśli, to i na języku! Otóż, zamiast mię tu żywić i poić przez dwa dni, zaopatrz mię porządnie na jeden dzień życia w podróży. W trokach na moim szłapaku sporo się zmieści różnych rzeczy, a gdyby tam miejsca zbrakło, to od czegóż włóczę za sobą tego poczciwego niedołęgę João?

Dozorca wybiegł z izby i polecił posługaczowi zaopatrzyć wachmistrza w zapasy żywności, jako też w trunki.

Wtedy João głos zabrał:

— Ten człowiek musi być koronnym złodziejem!

— João, jesteś potworem głupoty!—rzekł Caldo.—Piętnuj i prześladuj złodzieja nie wtedy, kie-

dy on daje, ale kiedy bierze... Pamiętaj, że w tej chwili my bierzemy!

Wysadził się dozorca i wachmistrza zaopatrzył bardzo suto, a przytem otrzymali podarunki inni także żandarmi. Caldo uważał sobie teraz za obowiązek wyjaśnić poprzednią swą przemowę o nadużyciach na kolonjach polskich nad Itapava.

— O tak! — mówił — strach, co się tu dzieje!... Parę dni temu, jak zamordowano człowieka w lesie przy drodze, wiodącej do Blumenau; oprócz tego skradziono babie pieniądze, a dzisiaj znowu powiesił się chłop w lesie. Zdaje mi się, że nić mordercy i złodzieja mam w ręku.

Teraz dozorca zrozumiał, że wachmistrz wyprowadził go w pole, postrachem wydurzył różne łapówki; więc zaraz skwaśniał, stracił humor, podczas gdy Caldo pokpiwał nieustannie i coraz lepiej.

Było już dobrze po siódmej wieczorem, gdy w oddaleniu dał się słyszeć huczny śpiew; to Ferreira de Saltes nadciągał z murzynami, którzy wchodząc na terytorjum kolonji, nucili jakiś straszny marsz bojowy.

Wachmistrz natychmiast wdział hełm na głowę, przypasał do boku pałasz, dosiadł konia i na czele swoich żandarmów wyjechał na drogę, gdzie oczekiwał przybycia oficera, któremu zaraz na wstępie winien był dać objaśnienia o stanie umysłów zbuntowanych emigrantów.

ROZDZIAŁ XXXI

Co potem robił Caldo?

Kiedy de Saltes już nadciągnął z piechotą, żandarmi, prostując się na koniach, sprezentowali broń przed oficerem piechoty, który ich pozdrowił, jakby odniechcenia dotykając palcami skroni, a potem podjechał butnie do wachmistrza i tak pytał:

— No, cóż tam słychać? Czy bunt chłopski bardzo się tu sroży?... Jakie też mniej więcej mogą być siły buntowników?

— Źle słychać!—odparł Caldo.—*Colonos*, nazwani przez waszą łaskę buntownikami, doszli do takiego stopnia wzburzenia, że się wzajemnie między sobą mordują i sami się dobrowolnie wieszają. Co się zaś tyczy ich ilości, jest ona jednakże tak znaczna, że gdyby to byli jacy Hiszpanie albo nawet Włosi, to ja w tej chwili nie miałbym zaszczytu dowodzić hufcem swoich dzielnych żandarmów, lecz bujałbym na jakiem wysokiem drzewie, panując nad temi pięknemi borami stanu świętej Katarzyny.

— Widzę z tego, mój wachmistrzu, że sprawdziłeś na kolonjach fakt formalnego buntu i że roztropność wojskowa nakazuje oczekiwać na przybycie posiłków z Desterro, ażeby potem skutecz-

nie uderzyć na emigrantów. A powiedz mi, czy nie sprawdziłeś przyczyny buntu?

— Owszem, sprawdziłem! Przyczyną tego jest niezadowolenie, którego przyczyną jest znowu obfitość wszystkich rzeczy, jakiemi błogosławiona ziemia naszej sławnej ojczyzny tak szczodrze darzy emigrantów, a głównie — Polaków.

— Nie pojmuję, co przez to rozumiesz, mów jasno! W jaki to sposób obfitość może wywołać niezadowolenie?

— Jest to bardzo proste! Istotny stan rzeczy może każdego przekonać, że *colonos polacos* mają tu obfitość: głodu, pragnienia, nagości, bardzo pożądanej w naszym cudownym klimacie, wszy, węży, skwaru słonecznego, że już nie mówię o pchłach ziemnych, jaszczurkach, tłumaczach, geometrach i innych urzędnikach. Sądzę jednak, iż nas, ludzi wojskowych, powinno to pocieszać, gdy mamy do czynienia z buntownikami, ponieważ taka obfitość jest naszym naturalnym sprzymierzeńcem: ona sama przez się zgnębi, wytępi powstańców; nie potrzebujemy psuć prochu, obnażać szabel, a i tak po skończonej wojnie awans nie minie najwaleczniejszych...

— Wachmistrzu Caldo! — krzyknął zaczerwieniony od gniewu de Saltes.—Jesteś znany ze swego lekceważenia ludzi wyższej rangi i wogóle z niezachowywania przepisów militarnej dyscypliny! Ten dziwny, dwuznaczny sposób przemawiania do zwierzchnika jest karygodny.

Caldo z uszanowaniem skłonił głowę i odrzekł:

— Jako żandarm, staram się tylko o rzetelne wyświetlenie tego, co inni ludzie mogą waszej łasce przedstawić w fałszywem świetle. Wasza łaska raczy to sprawdzić, a wówczas przyzna, że wachmistrz żandarmów spełnił swą powinność i złożył raport zgodny z rzeczywistością.

Powiedziawszy te słowa, Caldo czekał, dopóki oficer nie ruszył dalej z piechotą, poczem wydał komendę, a żandarmi wsunęli w pochwy obnażone pałasze i z wachmistrzem na czele kłusem ruszyli w powrotną drogę, po której przed chwilą właśnie przybył de Saltes z Blumenau.

— Szelmy! djabelnie czuć od nich wszystkich spirytus! — mruknął de Saltes. — Założyłbym się, że wypili wszelkie zapasy w barakach rządowych i ja na tej puszczy będę musiał lizać łapy.

Nocą raźno pomykały żwawe, lekkie i wytrwałe żandarmskie konie; w trzy godziny dobrze się już spieniły i zapociły, gdy przyniosły jeźdźców swoich do miejsca, gdzie, aby odbywać dalszą podróż, trzeba się na promie przeprawić przez rzekę Itajahy-Assú.

Wachmistrz zdaleka już wołał na przewoźnika:

— Hej, Angelo, wstawaj, opoju, śpiochu! Prom dawaj tutaj!

Na kilkakrotne wezwanie, zajaśniało światełko w oknie chatki, stojącej nieopodal od brzegu rzeki; potem skrzypnęły drzwi i wyszło dwóch ludzi, którzy z długiemi drągami i z latarką, jak widma, zbliżali się ku rzece.

— Ooo, senhor wachmistrz! A zawsze się po nocy włóczycie—rzekł jeden z przewoźników grubym, ochrypłym głosem.

— Angelo, hiszpańsko-peruwjańsko-brazyljańska małpo, nie utyskuj, boś przecie i w nocy rad widzieć porządnego człowieka, który w ciebie wleje tyle szlachetnego trunku, że później śpisz snem dubeltowym!

— Że dobre tylko trunki pić lubię, jest to znakiem mego szlachetnego pochodzenia, znakomitej krwi, która się jednak we mnie oburza, ilekroć na wezwanie muszę do pracy wstawać.

— A czemuż sobie nie sprawisz katarynki z małpą? Miałbyś lżejszy zarobek.

— Tfu do krocset! To dobre dla Niemca, Włocha, Portugalczyka, ale nie dla hiszpańskiego szlachcica, któremu krew pozwala tylko nic nie robić, a w ostatnim razie—ciężko pracować... Dzisiaj żałuję, żem nie został mnichem.—Mówiąc to, otwarł kłódkę, która zamykała łańcuch promu.

Wnet prom z żandarmami przepłynął rzekę i przybił do przeciwnego brzegu, gdzie wachmistrz wydał taki rozkaz;

— Wy dwaj, Antonio i José, pojedziecie prosto do Blumenau, aby tam złożyć raport o Polaku emigrancie, który się powiesił podczas obecności na kolonjach. W drodze pozwalam wam się upić, jeśli macie czem, gdyż czyny, jakie trzeba wykonać, nie wymagają wcale przytomności umysłu. João zostanie tu ze mną.

Dwaj żandarmi, stosownie do danego rozkazu, niebawem puścili się w drogę. Teraz Caldo wyciągnął z troków przy siodle butelkę, mchem owiniętą, pociągnął z niej dobry łyk i oddał ją w ręce przewoźnika z temi słowy:

— Angelo, sprobujno tego trunku, a zaraz ci zaświta we łbie, staniesz się mądrym, jak Salomon, czego w stanie trzeźwości niepodobna od ciebie wymagać!

— Ho, ho, domyślam się o co chodzi! Z pewnością w tych dniach przeprawił się na moim promie jaki zbój albo złodziej.

— Pij, zrób się przytomnym, a później pogadamy!

Angelo oburącz pochwycił flaszkę, przypiął się do niej, jak pijawka, a po niejakim czasie oddał ją swemu pomocnikowi, ale ten, zaledwie szkło do ust przyłożył i głowę wtył przechylił, zaraz butelkę ze złością rzucił w rzekę, mrucząc:

— Już też los ciężko mnie prześladuje! Nietylko, że mam służbę przy promie, prawdziwie psią służbę, ale jeszcze w dodatku—towarzysza złego!... Słuchaj, Angelo, jesteś podłym kolegą, albowiem chciwe twoje gardło, bez względu na pragnienie cudze, wysącza nawet zapach z butelki.

— Mój przyjacielu!—rzecze Angelo—kiedy Pan Bóg stwarzał różne napoje, wtedy się dobrze zastanawiał, co kto pić może. Otóż, dla zwierząt przeznaczył wodę, dla niewolników—śmierdziuchę czyli kaszas i podłe wińska, a dla szlachty, ludzi dobrze urodzonych — najlepsze wino.

Ja, wypiwszy wino, ofiarowane przez wachmistrza, spełniłem tylko wolę Najwyższego, mając wzgląd zarówno na ciebie, jak i na wino.

— Zawsze miałem to przekonanie, mój Angelo, że ty po wypiciu jesteś, co najmniej, tak wymowny, jak sławny proboszcz z Gaspar, który zresztą od ciebie niższy jest jedną tylko wstrzemięźliwością—odezwał się Caldo.—I dlatego dałem ci dobrego wina... Boję się atoli, czy aby w ciągu ostatnich dwóch dni i nocy nie byłeś trzeźwym idjotą.

— Eee, panie wachmistrzu, czy nie uważasz, że w naszej Brazylji z każdym dniem jest gorzej i gorzej? Dzisiaj nie są to już te czasy, co przed laty, kiedym tutaj przybył z Peru; było się z kim zabawić i miało się na to. Teraz wszędzie pełno murzynów, z którymi trudno mi żyć szczerze... Ja, szlachcic hiszp...

— Nie peroruj, nie peroruj! Powiedz mi, czy mogę na tobie polegać, że dokładnie opowiesz, co się dokoła ciebie działo w ciągu ostatnich dwóch dni i dwóch nocy?

— On od trzech dni tak się bawi z butelką, jak głodne niemowlę z piersią matki—odezwał się pomocnik przewoźnika.

— Tem lepiej!—odrzekł Caldo.—Powiedzże mi, Angelo, lub powiedzcie obaj przewoźnicy, czy wczoraj lub przedwczoraj nie przeprawiał się tu na promie jaki *colono polaco?* Wiecie chyba, co to jest *polaco?* Człowiek, który chodzi w długich butach i dlatego nosi koszulę z białego płótna, ażeby lepiej znać było, że jest brudny.

— Och, *polacos*, *polacos*, znam ich! Od czasu jak rząd rzeczypospolitej sprowadza tych ludzi na niemieckich okrętach, różni urzędnicy robią u nas bardzo dobre interesa... Wogóle, kolonizacja zdaje się być zyskowną...

— Przeklęty gaduło, nie o kolonizację mi chodzi...

— Wiem, wiem, chodzi o Polaka w długich butach i białej, chciałem powiedzieć — w brudnej koszuli... Nie, panie wachmistrzu, zauważyłem to dobrze, że ci *polacos*, gdy się raz przeprawią promem przez rzekę,—wcale już potem o nich nie słychać, widocznie przepadają gdzieś w lasach.

— Hm, jeśli się mój ptaszek nie przeprawił przez rzekę do gościńca, to popłynął wodą... Znany to fortel każdego łotra! Tem pewniejszy jestem jego zbrodni. Ale skąd on wziął czółno?... Ha, mógł kupić, ukraść! W każdym razie trzeba się puścić do Gaspar; wietrząc po drodze, koniecznie muszę na ślad trafić. — Tak sobie rozumował wachmistrz.

Popaśli konie i dali im wytchnąć. a sami żandarmi przespali się nieco.

Już był dobry dzień, kiedy Caldo i João pędzili truchtem po drodze, biegnącej wzdłuż rzeki aż ku jej ujściu.

Wachmistrz wstępował czasem do jakiejś kolonji lub badał, wypytywał spotkanego przechodnia; widocznem było, że zarówno miejscowość, jak i mieszkańców, znał nawylot.

Ale dopiero oberżysta w Gaspar opowiedział

żandarmom rozmaite szczegóły, dotyczące pobytu tamże Polaka, który w gospodzie porozumiewał się tylko na migi, nie umiejąc ani po portugalsku, ani po niemiecku. Oprócz tego, różni ludzie zeznali, że widzieli, jak *colono polaco* wsiadł w małe czółenko i popłynął w kierunku miasta Itajahy.

— Już mi teraz ślad jego nie zginiel—zawołał Caldo. — Jeżeli go nie znajdziemy w Itajahy, to jedno z dwojga: albo się lądem udał ku Porto Bello, albo—co jest prawdopodobniejsze — wsiadł w Itajahy na parowiec, aby zemknąć. Skoro się atoli dowiem, co za parowiec w tych dniach odpłynął z portu, będę jednocześnie wiedział, jakie porty on nawiedzi i już zapomocą telegrafu przytrzymamy gdziekolwiek bądź pana Polaka.

Przed samym wieczorem żandarmi przybyli do Itajahy i tu z łatwością odnaleźli gospodę, w której Cierniak i Szmidowicz noc przepędzili. Opowiedziano im tyle szczegółów o dwóch podróżnych, że wachmistrz mógł teraz ściślej wnioskować. Dowiedziawszy się, iż kupili konia, strzelbę, pobiegł na miasto, aby wszystko dokładnie sprawdzić na miejscu, a nic go tak nie zachwyciło, jak to, co posłyszał z ust aptekarza, który oświadczył:

— Jeden z nich widocznie nie miał strzelby, więc kupili u mnie starą pojedynkę; ale nie ten jej potrzebował, który ją targował, gdyż drugi, nie umiejący po portugalsku chciał za strzelbę płacić i wydobył z kieszeni pieniądze niemieckie, piękne złote i srebrne sztuki.

— O, to, to, to! — wykrzyknął Caldo. — Złote i srebrne pieniądze niemieckie! Takie właśnie skradziono babie na kolonjach polskich nad Itapava! A ileż sztuk wydał on tutaj?

— Nic nie wydał, bo mu towarzysz nie pozwolił zmieniać niemieckich pieniędzy i sam cenę strzelby zapłacił naszą brazyljańską monetą.

ROZDZIAŁ XXXII

Jak się skończyła pogoń?

Niepodobieństwem jest być tu ścisłym i drobiazgowo opisywać, jak dwaj żandarmi, wyruszywszy z Itajahy i raz wpadłszy na trop Cierniaka, pędzili niby psy gończe, których uwagi nic nie uchodzi, kiedy przed sobą mają zwierzynę. Szczególnie też wachmistrz Caldo interesował się każdym, bodaj nawet najmniejszym szczegółem: już to obchodziły go wyciśnięte na ziemi ślady stóp ludzi, psa lub konia, już znowu spostrzegał miejsce, gdzie Szmidowicz i Cierniak przystawali na chwilę, widział on, gdzie koń zrywał trawę, a gdzie ludzie schodzili nabok z drogi, oglądał wreszcie ciepłe jeszcze ognisko, przy którem idący przodem noc przepędzili.

W ciągu tej pogoni żandarmi nie nocowali nigdzie, koniom dawali krótkie tylko wypoczynki, ponieważ pośpiechem pragnęli wyrównać tę przewagę w czasie, jaką nad nimi mieli dwaj emigranci.

Kiedy nareszcie Caldo i jego towarzysz wydostali się na ową górę, gdzie to Szmidowicz zastrzelił był owego pięknego ptaka, którego głos przypomina uderzenia kowalskiego młota o kowadło, wtedy wachmistrz rozejrzał się stąd po okolicy i zupełnie wyraźnie widział przed sobą

w oddaleniu dwóch podróżnych, mijających źródła rzeki Rio de Moura.

— Joâo—rzecze Caldo—nie ulega wątpliwości, że już teraz widzimy ptaszka; ale chodzi o to, jak go napędzić w sidła nasze przedtem, nim go sprawiedliwość osadzi w klateczce. Możemy tych jegomościów najechać znienacka, a możemy im dać czas, aby nam się zdaleka przypatrzyli. Jak myślisz, co lepsze?...

— Panie wachmistrzu, nasze szable i hełmy zdaleka świecą się od słońca; więc, jeśli jeden z tych dwóch ludzi jest winowajcą, to będzie miał dosyć czasu, ażeby drapnąć w zarośla. A nuż na widok żandarmów obadwaj w gąszcze się wszyją? Jak ich tu potem szukać? Mają przecież strzelby i każdy jednego z nas może wziąć na oko.

— Ja o tem wiem lepiej od ciebie, mój Joâo, że żandarm nigdy nie powinien udawać zbyt walecznego, ponieważ tchórz zawsze śmierdzi od niego, ile razy chodzi o przytrzymanie złoczyńcy, który ciepłą ręką niejedno już może życie wypłoszył z ludzkiego ciała. Ale zważ tylko, o ile dla żandarma prostszem jest zadanie, jeśli ujrzy przed sobą już przerażonego zbrodniarza. Ci polscy emigranci wcale nie są burzliwi i zuchwali; jest to naród, który mi nadzwyczajnie przypomina owczą łagodność. Dlatego sądzę, że nam należy rozpuścić konie cwałem i z dobytemi pałaszami pędzić ku tym ludziom. Gdy przybędziemy już do nich, wsuniemy szable w pochwy, a wtedy oni ochłoną ze strachu i zaczną mieć dla nas dobre usposobienie, co właśnie jest stanem najwyższego ogłupienia... W takim nastroju cap za kołnierz i wio do zacnych przybytków sprawiedliwości! Ale, ale, mój Joâo, miej też napogotowiu sidełka, a kiedy na ciebie prawem okiem mrugnę, ty zaraz szust z konia i łapy krępuj!

— Niepotrzebnie mi pan wachmistrz przypomina, bo ja, jako żandarm, w tem jednem celuję, że paradnie umiem brać w postronki. Gdy ktokolwiek inny skrępuje złoczyńcę, niema żadnej rękojmi, że sznurki nie potrzaskają, jeśli są na rękach siłacza.

— Oh, tak, tak! Jeśli ci tylko złoczyńca z grzecznością odda w opiekę swoje ręce, ty je już w takim razie za pomocą stuły umiesz połączyć nierozerwalnym ślubem; wiążesz po katolicku!

Tak rozmawiając, żandarmi zjechali z dosyć spadzistej góry, a gdy stanęli już na równinie, poczęstowali swe konie ostrogami i z dobytemi szablami pędzili naprzód. Kiedy najwyżej pięćdziesiąt kroków dzieliło ich jeszcze od dwóch podróżnych, wsunęli pałasze w pochwy, sfolgowali koniom i drobniutkim truchtem pojechali.

Szmidowicz przystanął i nakazał milczenie psu, który, prowadząc za sobą szkapę, oglądał się, rzucał i straszliwie warczał na widok nieznanych jeźdźców.

— Cóż to ja widzę? Andreio tutaj, przyjaciel!— zawołał wachmistrz, zwracając swego konia ku Szmidowiczowi, podczas gdy na Cierniaka zboku tylko nieznacznie zerknął.

— Pan wachmistrz Caldo!— wykrzyknął Szmidowicz ze zdziwieniem. — Dalibóg, niespodzianka! Prędzej mógłbym się spodziewać, że tutaj spotkam pumę lub inne jakie rzadsze zwierzę, aniżeli was, panie wachmistrzu!

— Dlaczego, mój Andreio? Przecie żandarm nie chodzi zwyczajnemi drogami, nigdy nie brnie we własne tropy, lecz raczej, jak jaguar, ciągle musi być na cudzych. Przypomnijno sobie, że nasze poznanie się nastąpiło także na niezwykłej drodze i rzeczywiście w nadzwyczajnych okolicznościach!

— Tak jest, pamiętam, było to na przestrzeni pomiędzy rzeką Rio Itapocú, a górami Serra do Jaragua.

— Opuściwszy cię wówczas, sądziłem, że się zobaczymy dopiero na wielkim kongresie wszystkich narodów, kiedy w rzeczypospolitej tamtego świata trąba archanioła ogłosi pospolite ruszenie zwartwychwstania.

— Nie chciałeś, panie wachmistrzu, czekać do tego czasu, ażeby wtedy dopiero przyaresztować hiszpańskiego zbira, który, zadawszy mi nożem trzy rany, uszedł w góry do Jaragua. Tak jest, pogoniłeś za Hiszpanem, a zostawiłeś mnie umierającego bez pomocy żadnej w szczerym boru. Prawdziwie, cudem tylko ocalałem.

— Zrobiłem swoje—odrzekł Caldo — ponieważ porzuciłem jedną już zdychającą owcę, ażeby prędzej złowić krwiożerczego jaguara, który mógł inne żywe jeszcze dusić. Wiedz, mój Andreio, że ten sam Hiszpan na tydzień przedtem zgładził ze świata wybornego obywatela, golibrodę z Joinville, ponieważ go, równie jak i ciebie, uważał za swego rywala, a amanta swej żony czy tam kochanki.

— Oh, ta Hiszpanka była cudownie piękna!

— To prawda; ale djabli wiedzą, poco on się z nią włóczył po świecie, dawał jej możność, ażeby kusiła ludzi, których potem przedziurawiał nożem, jak sita. Mam teraz jednak nadzieję, że Hiszpan nieprędko na szerszy świat wyjrzy, ażeby żandarmom zatruwać i tak przykry żywot... Jego Hiszpanka podstarzeje się tymczasem, zbrzydnie i nie będzie już ani dla innych pokusą, ani dla niego przyczyną zazdrości szalonej.

— A cóż się z nim stało?

— Za wyrokiem sądowym wysłano go na wyspę Fernando do Noronha, gdzie jest już tylu i takich zbrodniarzy, że choćby tam którego i oprawił

swym nożem, wypadnie mu być za to raczej wdzięcznym, niż go prześladować.

— A gdzież się obraca ta jego żona czy kochanka, za którą tak szalał, chociaż go zdradzała?...

— No, może pomimo trzech szpar od noża, jeszcze ci się jej zachciewa? Mógłbym ci oddać przysługę i wysłać cię za nimi, bo wiedz, że i ona dobrowolnie się udała na wyspę Fernando do Noronha.

— Doprawdy, to bardzo dziwne! Przecież go nieustannie zdradzała...

— Jego zdradziła dla kilku, ale kilku zdradziła znowu dla niego jednego. Mój Andreio, nie jesteś, jak sądzę, Frycem, aby myśleć, że kobieta, podobna do tej Hiszpanki, może przepadać za mężczyzną ozdobionym w cnoty katechizmowe. Jest to cała tajemnica owej miłości niewieściej, która się stała powodem tragicznej śmierci golibrody z Joinville, twoich bolesnych ran, i która sprawiła, że ja prawie przez tydzień nie zsiadałem z konia. Ale co tam, to się już skończyło! Teraz oto opowiedz mi, co porabiasz i dokąd dziś podążasz; bardzo być może, iż wspólnie odbędziemy jakiś kęs drogi.

— Ja poluję—odrzekł Szmidowicz—obdzieram ze skór zwierzęta brazyljańskie, prowadzę tem handel; obecnie zaś zmierzam ku rzece das Tijucas, posunę się ku jej źródłom i w tych okolicach zabawie przez czas dłuższy... Ale oto przedstawiam panu wachmistrzowi mego towarzysza i rodaka, nazywa się Sobek Cierniak.

Caldo wyciągnął z konia rękę do Sobka, a kiedy chłop podał mu swoją, żandarm ją skwapliwie pochwycił, ścisnął i, nie wypuszczając, tak mówił:

— Pan Cierniak, *colono polaco?* A to prawdziwa dla mnie niespodzianka!...

I rzekłszy to, wachmistrz uprzejmie zwrócił się

do Szmidowicza, prosząc, aby podczas rozmowy posłużył za tłumacza, poczem znowu prawił:

— Toć ja właśnie ciebie, panie Cierniaku, szukam, a właściwie mówiąc, za pośrednictwem mojej osoby poszukuje cię sąd rzeczypospolitej! Prawdopodobnie jesteś człowiekiem nietylko niewinnym, lecz sprawiedliwym, jak sędzia; jednakże bez względu nato, sędziowie Stanów Zjednoczonych Brazylji pragną z ust twoich usłyszeć niektóre zeznania, dotyczące Mateusza Dzwonko, Mikołaja Dąbka i żony tego ostatniego. Ze swojej strony mogę ci, panie Cierniaku, zaręczyć, że zeznania takie nigdy jeszcze nie zaszkodziły niewinnemu człowiekowi...

Sobek, trzymany za rękę, stał przy koniu wachmistrza ze zwieszoną głową i słuchał tego, co mówił Caldo, a na polszczyznę tłumaczył Szmidowicz.

— Nie pochodzi to zapewne z twej winy—ciągnął dalej wachmistrz—iż przypadkiem, szanowny obywatelu, posiadasz w swojej kieszeni pieniądze niemieckie i że przypadkiem jest tych pieniędzy pięćdziesiąt sztuk w złocie, a dziesięć dużych sztuk srebrnych. Przypadkiem, mówię; „przypadkiem" takąż samą ilość pieniędzy uroniła Mikołajowa Dąbkowa—i oto sprawiedliwość, z powodu szczególnego przypadku, jest w kłopocie, ponieważ gorąco pragnie uzasadnić prawne posiadanie przez ciebie owych pieniędzy, a bez ciebie uczynić tego nie może. Proszę cię, panie Cierniaku, o pozwolenie przeliczenia sumy pieniędzy, którą masz w kieszeni...

Sobek wahał się, nie wiedział, co ma począć; wtedy wachmistrz zwrócił się do swego towarzysza i mrugnął nań jednem okiem.

João natychmiast zeskoczył z konia, przetrząsnął kieszenie Cierniaka i znalezione pieniądze

oddał wachmistrzowi, który zkolei podał je Szmidowiczowi znowu, mówiąc:

— Andreio, przelicz, czy jest tyle, ilem wyliczył, a zarazem przyznaj, jak dziwny jest nieraz zbieg okoliczności!

— Djabli nadali, żem sobie złodzieja przybrał za towarzysza!—mruknął Andrzej.

— Wstydź się, Andreio! jesteś zarozumiały, gdy wydajesz wyrok wtedy, kiedy sprawiedliwość jeszcze milczy! Pan Cierniak ma zupełne prawo wnieść na ciebie skargę do sądu za obelgę słowną.

I teraz znowu wachmistrz mrugnął na swego towarzysza jednem okiem.

João miał już pod kurtą przygotowane sznury i w okamgnieniu, zaledwie Szmidowicz skończył przeliczanie pieniędzy, on już tak oplątał Sobka, że chłop był zupełnie obezwładniony.

— No, mój Andreio — rzecze Caldo — kiedy rzeczy wzięły tak niespodziewany obrót, to muszę bezzwłocznie zawracać. Żandarmowi zawsze pilno, bo jedna robota się kończy, a czynni ludzie już dla niego drugą przygotowują.

Powiedziawszy to, wachmistrz uścisnął rękę Szmidowicza, potem wydał rozkaz, ażeby João z Cierniakiem podążał przodem, on zaś sam ruszył stępa za nimi.

ROZDZIAŁ XXXIII

Miłość na poczekaniu.

W kolonji, u zródeł rzeki Itingi, jeden dzień był podobny do drugiego. Grzędzianka ciągle tu była czynna, jako naczelna gospodyni, z której łaski mieli wszyscy codziennie gotowaną strawę. Bartłomiej Kobylak, naprzemiany, to się modlił, to znowu drzemał. Wicek Strzała nie wzmógł się jeszcze i nie podźwignął na nogi po ranie, którą mu zadał jadowity wąż *jararaca*. Felek Głodzikowszczak zastępował Wicka we wszystkich robotach na kolonji; ale, niestety, właściwy czas dla zasiewów już minął i należało czekać odpowiedniej pory. Murzyn Manoelo nie opuścił ani jednego dnia, aby nie odwiedził kolonistów polskich.

Jednego dnia, bardzo wczesnym rankiem, Maryna wyświeżona, czyściutka, z parasolką w ręku, wybrała się do miasteczka, aby tam kupić różnych zapasów żywności. Porobiła sprawunki i z koszykiem pełnym wracała do domu, posilając się bananem. Nie dochodząc do gór, naraz spostrzegła, iż na drogę, po której szła, z bocznej jakiejś ścieżki wysunął się szczególny orszak: przodem biegł wielki pies, prowadzący dobrze objuczonego konia, a za tą parą zwierząt postępował czło-

wiek wysoki, w kapeluszu z dużem rondem i z dwiema strzelbami na ramionach. Zaniepokoiło to nieco Grzędziankę, gdyż sobie wyobrażała, że może mieć przed sobą jakiego rabusia.

Podróżny spostrzegł dziewczynę i zwolnił kroku, widocznie dlatego, ażeby się z nią zrównać. Kiedy, pełna obawy, nadeszła, on przemówił do niej po portugalsku, zapytując grzecznie: skąd i dokąd dąży. Ponieważ Maryna nie rozumiała języka, przeto odpowiedziała po polsku:

— Nie rozumiem—i szła dalej w swoją drogę.

— Tak że mi trzeba odrazu powiedzieć!—zawołał Szmidowicz, on to był bowiem. — Ja też żadnym innym językiem nie umiem rozmawiać tak dobrze, jak po polsku, chociaż mogę sobie poradzić i z Niemcem, i z Brazyljaninem, a od biedy rozmówię się i z Hiszpanem, i z Włochem.

— To pan widać jest Polakiem? — zapytała Maryna, z większą już ufnością spoglądając na nieznajomego.

— Nigdy sobie tego nie uważałem za wielkie szczęście; ale teraz, kiedy się oto nadarza sposobność pomówić z tak piękną rodaczką, nie oddałbym dziś swojej polskości za żadną inną narodowość.

Na taki kompliment Grzędzianka odpowiedziała miłym uśmiechem i tem zalotnem spojrzeniem, z którego zawsze można poznać, że kobieta nietylko ośmiela mężczyznę do dalszej rozmowy, ale także do wyznań pewnych uczuć, jakie jej widok obudził.

Odrazu można było poznać, że Andrzej wiele obcował z płcią piękną i że posiada sztukę zjednywania sobie jej sympatji. Wielbiąc los, który mu pozwolił spotkać na drodze tak przyjemną twarzyczkę, odebrał od Maryny koszyk ze sprawunkami, zakupionemi w mieście i niebawem obarczył nim swoją szkapę.

— Nie mogę na to pozwolić — mówił—ażeby tak piękna osoba w mojej obecności gięła się i trudziła pod ciężarem jakichś tam pakunków.

— Oo, to mi nic nie szkodzi—odrzekła Grzędzianka.—Przywykłam do daleko cięższej jeszcze roboty.

— To źle, jeżeli pani ludzie pracować pozwalają! Piękne kobiety przychodzą na świat nie po to, aby się zapracowywały.

— A pocóż?

— Ażeby je kochać, dawać im takie samo szczęście, jakie one dają tym, których pokochały.

— Ho, ho! Co też pan mówi!... To nie na kolonji, gdzie trzeba ludziom jeść warzyć i myśleć o wszystkiem, czego w domu potrzeba. Ja przecie nie jestem panią...

— Dalibóg, nigdybym nie pomyślał tego, że mam do czynienia z gospodarną mężatką. Wcale pani na taką nie wyglądasz.

— Bo też mężatką jeszcze teraz nie jestem, ale dopiero mam nią zostać — rzekła Grzędzianka z pewną dumą.

— Ja zaraz odgadłem, że nie mężatka, a z tego wszystkiego, co widzę, domyślam się, ilu tu mężczyzn musi się starać, aby sobie zasłużyć na względy i nareszcie dostać klejnot taki.

— Pan sobie ze mnie żartuje!—odpowiedziała Maryna, a jednocześnie oddała Szmidowiczowi i za ten kompliment nowem spojrzeniem, zalotności pełnem, i nowym bardzo przyjemnym uśmiechem.

— Nie, nigdybym sobie nie darował jakichś żartów z kobiety, którą się tylko kochać powinno!

Grzędzianka nic nie odrzekła, a idąc w milczeniu, myślała, że przyszły jej mąż, Wicek Strzała, chociaż jej okazuje swoje kochanie, ani razu

jednak nie potrafił jej nigdy tak przemówić do serca, jak dzisiaj oto ten grzeczny podróżny.

— A skądże pan pochodzi?—spytała po chwili, ośmielając się coraz więcej.

Szmidowicz w krótkich słowach opowiedział dziewczynie przebieg swego życia, nie zamilczał nawet o znajomości z Sobkiem Cierniakiem i o przygodzie z żandarmami. Zdziwił się zaś niemało, kiedy Maryna wyznała, że Cierniak pochodzi z tej samej wsi, co ona, i że go powszechnie uważano za złodzieja. Ta atoli okoliczność zdawała się czynić Andrzeja poufalszym względem Grzędzianki, gdyż ujął jej rękę, złożył na niej pocałunek i rzekł:

— Śliczna panienko, któraś mi się jakby cudem zjawiła, zrób mi jedną wielką łaskę!

— Cóż to takiego?

— Pragnę oto przedłużyć czas pobytu obok swej pięknej rodaczki, więc proszę usilnie, ażebyśmy mogli wypocząć tutaj pod górą w cienistym lesie.

Prosił tak uprzejmie, wpatrywał się w jej oczy z takiem uwielbieniem, że dziewczyna w głębi serca zgóry już przystała na propozycję; uważała jednak za stosowne okazać niejakie wahanie, więc rzekła:

— Oj, bardzo mi się spieszy, bo tam ludzie czekają na mnie, abym im zwarzyła obiad!

— Kiedy moja piękna rodaczka ma litość nad głodnymi, niechże ją ma i nade mną!

Szmidowicz znowu pocałował Grzędziankę w rękę i spojrzał na nią błagalnym wzrokiem. Oboje w tej chwili przystanęli; ona także na niego spojrzała, zbiegły się ich spojrzenia, rzekłbyś— oko w oku utonęło.

Teraz Maryna w odpowiedzi na prośbę spo-

kojnie usiadła, a tuż przy niej spoczął na trawie Szmidowicz, zachwycony dziewczyną.

Pies szedł jeszcze ciągle, prowadząc konia za sobą, naraz obejrzał się i, gdy spostrzegł, że pan jego usiadł, przystanął, a wzrokiem zdziwionym zdawał się zapytywać: Cóż to znaczy taki niezwykły wypoczynek? Czy może należy pociągnąć bułanka i iść z nim dalej, jeżeli tu wszelki świadek jest zbyteczny?

— Matto, pójdź tu! — zawołał Andrzej, a gdy się pies zbliżył wraz z koniem, pan go zwolnił, odwiązując od cugli uzdy.

Bułany począł natychmiast chciwie rwać trawę, a Matto legł u stóp pana i Maryny.

— Powiedzże mi, piękna panienko, jakie jest twe imię, nazwisko, i jakim sposobem znalazłaś się w tych mianowicie borach, gdzie, o ile wiem, kolonje stanowią rzadkość.

Dopiero Maryna zaczęła zkolei rzeczy wymownie opowiadać losy swoje własne i emigrantów z Rokitnicy. Utyskiwała nad tem, że jest na świecie sama jedna i że każdemu łatwiej, aniżeli jej, na takiej emigracji.

Podczas całego owego opowiadania Szmidowicz trzymał jej rękę w swojej i częstokroć zbliżał ją do swych ust, składając coraz to gorętsze pocałunki.

Siedzieli tak pewnie ze dwie godziny.

W lesie dokoła nich odzywały się: arapongi guachos; śpiewały bentevi, sanha-su, siriri i sabie; wgórze skrzeczały przelatujące papugi lub tukan pokan okrzyknął krótko „rak"; bujały świetne, połyskujące beijaflory. Ale zawołany łowca nie pomyślał nawet, żeby opuścić swoje stanowisko i gonić po lesie, choćby za najosobliwszą zdobyczą; wdzięki dziewczyny, pocałunki, uściski, tak go odurzyły, że nie wiedział, co się dokoła działo

Pierwsza Grzędzianka porwała się nareszcie, popatrzyła na słońce i rzekła:

— Oj, gwałtu, toć oni mnie tam przeklną, że do tego czasu są bez obiadu! Siedzę sobie, jakby nigdy nic, a wszystko w domu na Boskiej opiece...

— Za te wszystkie ich przekleństwa ja cię kocham!—odrzekł Szmidowicz.

Widocznie nie był syt jeszcze pieszczot, bo objął Marynę wpół, nachylił się ku niej i na ustach złożył długi pocałunek. Tym razem ona także lekkim pocałunkiem go obdarzyła i chciała co prędzej odejść.

— Czy się spóźnisz pół godziny, czy całą godzinę, wszystko to jedno — mówił Andrzej, tuląc dziewczynę do swej szerokiej piersi.

Było jej zapewne dobrze, skoro pozostała czas jakiś.

— A dokąd pan teraz pójdzie? — spytała, patrząc mu w oczy cała zapłoniona, a w swych oczach miała dziwny połysk, który im tylko jedna miłość zdolna jest nadać.

— Pójdę z tobą do kolonji, odprowadzę cię, pójdę wszędzie, gdzie będziesz chciała! — wyszeptał Szmidowicz.

— Ee, nie, nie!... Na kolonje nie możemy iść razem! Jeżeli pan chcesz odwiedzić nas na kolonji, to trzeba, żebyś przybył sam nad wieczorem i tak...

— I tak, jakbyśmy się oboje wcale nie znali. Rozumiem to!... Doskonale! Dzisiaj wieczorem przybędę więc tak, jakby przypadkiem. Nie przeszkadza to, że, mając dosyć czasu do wieczora, zapoluję tymczasem i przyniosę wam świeżej zwierzyny na wieczerzę.

Grzędzianka zabrała teraz swoje sprawunki i puściła się ku kolonji. Andrzej ciągle na nią spoglądał, a ona odwracała niekiedy głowę i wi-

działa, że jej z oddalenia ręką przesyłał pożegnalne pocałunki.

Zaledwie Maryna straciła z oczu Szmidowicza i szła teraz pospiesznym krokiem, gdy na skręcie drogi, z pomiędzy gnącej się w łuki trzciny takuare, wyszedł Manoelo. Murzyn odebrał od dziewczyny koszyk ze sprawunkami i gestami dawał jej do zrozumienia, że na kolonji wszyscy się niepokoją z powodu opóźnionego powrotu jej z miasteczka. Musiał on spostrzec coś niezwykłego w fizjognomji Grzędzianki, ponieważ kilkakrotnie przyglądał się jej nadzwyczajnie uważnie.

Skoro przybyła do kolonji, dowiedziała się zaraz od Felka, że murzyn zaledwie zdołał powstrzymać Wicka od powstania z łóżka; Strzała bowiem znał dobrze odległość kolonji od miasta i nie umiał sobie wyjaśnić opóźnienia Maryny inaczej, jak tylko przez przypuszczenie nadzwyczajnego wypadku.

W odpowiedzi na to wszystko, Grzędzianka wybuchnęła gniewem:

— A cóż wy sobie myślicie, że ja tu w niewoli u was jestem? Za dziewięcioro pracuję i o wszystkich myślę, a wy mnie żadnej folgi dać nie chcecie? Cóż z tego, żem sobie w mieście dłużej posiedziała? Mogłam przecie zajść do kościoła, popatrzeć na ludzi!... Czy mi to nie wolno?...

Nafukała się do woli, nakrzyczała, a nikt jej jednem słówkiem nie odpowiedział. Strzała słyszał wszystko w izbie, co Maryna mówiła, ale się też nie odezwał, tylko mu było okrutnie markotno i pomrukiwał:

— Za to, com się tu trapił, żeby jej się jaka bieda nie przytrafiła na drodze, ona teraz wrzeszczy i wymyśla. Baba zawdy będzie babą!...

ROZDZIAŁ XXXIV

Fanaberje Maryny. — Gość na kolonji.

Grzędzianka ugotowała obiad i obdzieliła bardzo dziś głodnych mieszkańców kolonji polskiej; ale ciągle była gniewna, roztargniona i wszystkim dawała uczuwać swe niezadowolenie. Pies Wicka, Zabój, nie dostał tego dnia zwykłej porcji obiadowej, więc się nieustannie nastręczał gospodyni, chcąc jej przypomnieć to zaniedbanie. Maryna najprzód go za to kopnęła nogą, a gdy jej pies znowu wszedł w drogę, porwała polano i dobrze go niem poczęstowała. Zabój, głodny i pokrzywdzony, odszedł nabok, przysiadł, lizał bolącą okolicę swego ciała i czasem odniechcenia spoglądał ku Grzędziance, sądząc, że jej niełaska przeminie, a on dostanie wtedy swoje.

Coś i porządek około naczyń gospodarskich lada-jako zbyła Maryna; ale zato, chociaż się już była bardzo pięknie wystroiła dziś rano do miasta, teraz jeszcze sobą się zajęła i w ubraniu poczyniła niektóre dodatki. Ponieważ Grzędziankę znali wszyscy jako elegantkę, więc na jej strój nie zwracano uwagi. Jeden tylko Manoelo, którego zawsze uderzały jaskrawe barwy i świecidełka, zaledwie okiem rzucił na Marynę, zaraz zauważył, iż sobie włosy spięła świecącą szpilką,

przy której na złocistym łańcuszku wisiała szklana bombka, naśladująca dużą perłę; niemniej spostrzegł, że w sukni około szyi przybyła krezka z różowego tiulu, przeszywanego złotemi nićmi, a na piersi spadał jakiś medaljonik, zawieszony na ciemno-szafirowej wstążeczce.

Murzyn obszedł wkoło Grzędziankę, która siedziała przed chatą na pniu drzewa i coś szyła, a potem ruchami rąk swoich pokazywał jej te niezwykłe upiększenia, cmokając ustami na znak, że w tym stroju dziewczynie było bardzo do twarzy.

Spostrzeżenia owe nie przypadły, widać, Marynie do smaku, gdyż zgóry wsiadła na Manoela i porządnie mu naklęła; on wprawdzie nie rozumiał tych polskich obelg, jednak z zaperzonej twarzy, z wyrazu gniewnie połyskujących oczu odrazu odgadł, że obraził dziewczynę, i niezmiernie się zdziwił, ponieważ bynajmniej tego nie pragnął. Podobnie jak pies, murzyn odszedł nabok i, włożywszy ręce w kieszenie, przyglądał się drzemiącemu pod ścianą Kobylakowi.

Było jeszcze zupełnie widno, a Grzędzianka już rozniecіła ognisko i zabierała się do gotowania wieczerzy; Felek zrobił jej uwagę, że jeszcze jest sporo czasu do zachodu słońca, za co go ofuknęła:

— Widzicie wy, tego tylko brakuje, żebym takich glupich smarkatych miała słuchać!... Nosa swego pilnuj, a do mnie się nie wtrącaj!

Głodzikowszczak potajemnie uwielbiał Marynę i Strzala słyszał raz nawet, jak Felek w nocy przez sen o niej mówił, więc taka obelga z ust uwielbianej istoty dużo przykrości sprawiła chłopakowi.

Dostało się tym razem Bartłomiejowi, który, oddrzemawszy swój czas, zaczął odmrukiwać pa-

cierze; ale mu nagle przyszła jakaś myśl do głowy, podniósł się przeto przy pomocy laski, przystąpił do Maryny i tak mówił:

— Maryś, moja ty, jak przyjdzie czas majowego nabożeństwa, to tu musimy ołtarzyk wyrychtować!... Ja tu mam śliczny obrazek z Matką Boską Częstochowską, trzeba tylko, żebyś zrobiła firaneczki bielusieńkie i obrusik z falbankami. Widziałem u ciebie kiedyś takie paradne łaszki, tobyś z nich mogła zrobić chorągiew i na tej chorągwi wyszyć: „Najsłodsze imię Jezus...“

Stary tak prosił, a ona mu nie odrzekła ani słówka, jeno się zajmowała przystawianiem garnków do ognia.

Kobylak przystąpił bliżej, wyciągnął drżącą rękę i pogłaskał Grzędziankę pod brodę, mówiąc:

— Mojaś ty, jakeś dobra, uszyjże, uszyj! Bo mi się okrutnie cni bez nabożeństwa...

Grzędzianka uchyliła nabok głowę, jakby chciała uniknąć pieszczot starowiny, ręka jej drgnęła i przewróciła jeden garnek wody, zalewając ognisko.

— A bodaj to djabli nadali! — krzyknęła Maryna. — Idźcież sobie, stary, do licha ciężkiego!... Nie zawracajcie mi tu głowy, nie głaskajcie mię, bom nie pies.

— Djabli, djabli! — zawołał starzec z trwogą w oczach, gdyż ten jeden tylko wyraz wpadł mu wyraźnie do uszu. — A cóż ty, kobieto, najlepszego robisz? Nieprzyjaciela Pańskiego z imienia przyzywasz?... Wszelki duch Pana Boga chwali! O Jezu i wy, Aniołowie Stróżowie, czuwajcież też miłościwie nad duszami naszemi grzesznemi, ażeby nie popadły w moc czarta! Święta Boża Rodzicielko, módl się za nami teraz i w godzinę śmierci naszej — amen!

Z temi słowy przerażony starzec odskoczył

od ogniska, jak mógł najprędzej, i wkrótce potem głosem cichym, drżącym, śpiewał: „Kto się w opiekę poda Panu swemu".

Grzędzianka gotowała wieczerzę, a od czasu do czasu oczy jej z jakimś niepokojem mimowolnie zwracały się w kierunku drogi, wiodącej do miasteczka, jakgdyby z tamtej strony wyczekiwała czyjegoś przybycia.

I pies Strzały jakoś się niepokoił: często zwracał oczy w jedną stronę, nastawiał uszy, nasłuchiwał, niekiedy warknął przeciągle; nareszcie, gdy raz i drugi głośniej szczeknął, Maryna pogroziła mu zdaleka polanem, co go raczej zadziwiło, niż uspokoiło. Powstał ze swego miejsca i odszedł dalej, jakby się chciał odsunąć od gniewnej gospodyni. Ale teraz się już nie kładł, nie przysiadał, tylko wzniósł do góry ogon i pazurami począł ziemię drapać, niby przygotowując się do jakiejś walki. Naraz poskoczył, wydał głos, przypominający nawpół szczekanie, nawpół wycie, jeszcze bystro przed siebie patrzał, nasłuchiwał, a potem się pędem rzucił ku lasowi, zajadle szczekając. Zaledwie wściekły wypadł na ścieżkę, gdy ujrzał idącego z przeciwnej strony ogromnego srokatego psa, który prowadził za sobą konia. Zabój niedługo podziwiał ten osobliwy zaprząg, lecz odrazu rzucił się z natarczywością do nieznanego sobie przybysza i zuchwale chwycił go zębami za gardło. Rzecz prosta, iż Szmidowicz to właśnie zdążał do kolonji polskiej, stosownie do swojej poprzedniej umowy z Maryną; ale szedł on ztyłu w odległości jakich dwudziestu kroków od psa i konia, ponieważ upolował był jelonka i ciągnął go właśnie rękoma, nie mogąc obarczać swej szkapy.

Napadnięty niespodziewanie Matto niezawodnie byłby niebawem pokonał i surowo skarcił Za-

boja, cóż kiedy wściekła napaść nadzwyczajnie przestraszyła konia: bułanek, strwożony, rzucił się gwałtownie w krzaki, ciągnąc za sobą przywiązanego do cugli dotychczasowego swego przewodnika, który, naturalnie, nie mógł należycie stawić czoła.

Zrobił się ogromny zamęt i harmider. Matto, ciągnięty z jednej strony przez szkapę, z drugiej zaciekle szarpany przez psa Strzały, upadł na ziemię.

Teraz ciała obu psów utworzyły jedną ruchomą masę, ponad którą chrapał i rzucał się, jak opętany, uwikłany cuglami w krzakach bułanek.

Manoelo i Felek z kolonji nadbiegli zobaczyć, co znaczy ten alarm, który daleko rozbrzmiewał po lesie; z przeciwnej znowu strony nadbiegł Szmidowicz, który przedewszystkiem przeciął nożem sznur, przywiązujący kark psa do cugli uzdy i sprawiający, że koń nie miał żadnej swobody ruchów, a Matto był bliski uduszenia. Dokonawszy tego dzieła, Andrzej począł rozbrajać oba psy, strasznie rozjuszone. Ale niełatwo mu to przyszło uczynić, gdyż Matto, wyzwolony raz od sznura, chciał się teraz pomścić za doznane krzywdy i niebawem wziął górę nad przeciwnikiem: łapami przygniótł go do ziemi, a strasznemi zębami przypiął się do jego skóry, którą szarpał bez litości.

Szmidowicz pochwycił za kark jednego psa prawą ręką, drugiego—lewą i z niemałym wysiłkiem rozłączył te rozwścieczone zwierzęta; kolejno podnosił nawet wgórę to Zaboja, to Matto. Atoli zaledwo z rąk popuścił psa Strzały, zalecając murzynowi, aby go przytrzymał i nie dopuszczał dalszej walki, kiedy Zabój, cały krwią zbroczony, rzucił się zajadle, a nie spotkawszy

swego przeciwnika, dopadł do nogi jego pana i zadał mu dotkliwą ranę.

Teraz już Głodzikowszczak i Manoelo oskoczyli Zaboja, pochwycili na sznurek i zdala trzymali, podczas gdy Szmidowicz nakazał swemu psu spokojność, a bułanka wziął za cugle i wolnym krokiem zdążał ku kolonji.

Panowało tutaj wielkie zdziwienie, kiedy nieznajomy wędrowiec, który dotychczas z murzynem mówił tylko po portugalsku, naraz począł rozmawiać po polsku.

Jak tylko Andrzej pojawił się na kolonji, zaraz ustąpił, jakby ręką odjął, zły humor Maryny; nie gniewała się ona już teraz na nikogo, owszem, okazywała każdemu uprzejmość, a gościa podejmowała jak tylko mogła najlepiej.

Szmidowicz odwiedził Wicka Strzałę, jako głównego gospodarza kolonji, obejrzał jego ranę i dał mu jakąś skuteczną maść, której, jak powiadał, oddawna używali w takich wypadkach Indjanie, dzicy mieszkańcy dziewiczych lasów Brazylji.

Ale nieznajomy przybysz zjednał sobie na kolonji, oprócz Grzędzianki, jednego tylko Głodzikowszczaka. Manoelo przyglądał mu się z jakąś podejrzliwością, łypając ciągle białkami swych oczu. Kobylak znowu odrazu sobie zmiarkował, że wypomnienie przez Marynę imienia djabelskiego i przybycie na kolonję tak zagadkowego gościa nastąpiły prawie jednocześnie, a zatem pozostają one prawdopodobnie w przyczynowym związku.

Ta myśl, że szatan w ludzkiem przebraniu mógł się wedrzeć na kolonję, zaniepokoiła mocno pobożnego staruszka.

Kiedy więc po wieczerzy Szmidowicz wydobył butelkę kaszasu, sam pił i częstował Marynę, Kobylaka, Manoela i Felka, wówczas stary ze

zgrozą się odwrócił, a Głodzikowszczakowi dał znak ruchem głowy, aby nabok odszedł.

— Jeszcze młodziak jesteś—mówił do Felka—to nie możesz wiedzieć, że nieprzyjaciel boski i ludzki czatuje na niewinne dusze, a niczem łatwiej nie skusi, jak gorzałą... Cóżto to za jedno przyszło do nas? Skąd się wzięło?... I z nami, i z murzynem potrafi się rozmówić; czyby on to umiał bez nieczystej siły?... Słuchajno, Felek, pewnikiem tyś jeszcze nie nabroił, nie nagrzeszył na świecie, to taki może tu na ciebie mieć chrapkę, strzeżże się! Osobliwie, że w tych tu borach ani nabożeństwa, ani Sakramentu człek nie użyje.

— Oj, gwałtu!—zawołał Głodzikowszczak i aż się za głowę chwycił obiema rękoma, tak go uderzyły trafne uwagi Bartłomieja.—Juści on do człowieka ani krzyny nie podobny! Ślepie mu się jakoś tak osobliwie iskrzą, a na skórze cały obrósł, nikiej w wilcze kudły.

— Wielka szkoda, że tu niema święconej wody!—powiada Bartłomiej. — Zarazbyśmy go stąd wyświęcili... Takiego dosyć pokropić, sparzy się i zaraz sobie pójdzie tam, skąd przyszedł... Ale ty, Felek, pamiętaj prosić przed snem o opiekę nad sobą Anioła Stróża.

Starzec odszedł, modląc się gorąco, a Głodzikowszczak stał zdaleka, przyglądał się, jak Andrzej, Maryna i Manoelo wesoło pili kaszas. Kusiło go, nie mógł się oprzeć pokusie, bo sobie pomyślał: „Jakby Maryna poszła do piekła, to jabym też z nią poszedł."

Manoelo po trzeciej czarce kaszasubył już zupełnie pijany, powalił się na trawie i począł chrapać.

Felek podszedł do biesiadujących, a gdy mu Andrzej podał czarkę z wódką, wydawało się chłopakowi, iż pije piekielną smołę.

ROZDZIAŁ XXXV

Dwie nocy i dzień.

Nikt na kolonji nie wiedział ani się domyślał, że Szmidowicz i Maryna ułożyli sobie nocną schadzkę, i kiedy już wszyscy twardym snem zasypiali, oni bawili się w najlepsze.

Cóż warta miłość przy świadkach, zwłaszcza gdy są powody, aby ją ukrywać?...

A niema nic łatwiejszego, jak utaić przed okiem ludzkiem wylewy uczuć dwóch serc, bijących dla siebie, w tych pierwotnych lasach Brazylji.

Odeszli paręset kroków od chaty i już gęsty bór nieprzeniknioną zasłoną otoczył tajemnicę ich szczęścia.

Ciepła podzwrotnikowa noc, dysząca upajającą wonią kwiatów, z konstelacją Srebrnego Krzyża na niebie, z mirjadami świetlików na ziemi, przeszła im szybko i dopiero świtanie ich spłoszyło.

Rano, jak zwykle, Maryna spełniała obowiązki gospodyni, a Szmidowicz oświadczył, iż po południu zamierza opuścić kolonję; tymczasem odwiedził chorego Strzałę, opowiadał mu, jak sobie to radzą różni koloniści w Brazylji, i zalecał, ażeby bez zwłoki czasu obsiać pole kukurydzą, fasolą.

— Pora wcale nie jest jeszcze zbyt spóźniona

—mówił—grudzień, to dopiero pierwszy miesiąc lata, deszcze padają tutaj często, a gorąca trwają nieraz do końca maja i wszystko dobrze dojrzewa wtedy. Niema żartów, śpieszcie się, bo jak was bieda raz weźmie za kołnierz, nigdy jej już rady nie dacie!

Przedstawiał też Wickowi, że kolonista w Brazylji, jeżeli nie ma żadnych zasobów, musi się przygotować na parę lat strasznie ciężkiego życia; jednakże, gdy kto przetrzyma i przywyknie do miejscowych warunków, to potem już mu lżej z każdym rokiem; Strzała wyrzekał, skarżył się na takie gospodarstwo, którego chłop polski nie rozumie; utyskiwał, że go oto zwaliła choroba, i noga, spuchnięta, jak kłoda, ruszyć mu się z miejsca nie pozwala.

— Nie mam się na kogo spuścić, nie mam się kogo poradzić—mówił—wyręcza mię chłopak, co go to wszystko niewiele obchodzi, a radę mi daje murzyn, dobre człowieczysko, jeno sam próżniak—i dogadać się z nim trudno...

— Rady murzynów nanic, kiedy chodzi o robotę w gruncie; z tych ludzi nigdy nie będzie kolonistów. Żyją oni jak bądź, byle tylko nic nie robić. Prawda, że mnie źle poszło na kolonji, ha, bo nie miałem wytrwałości, bo mi taka robota nie pachnie; ale kto dotrwa, kto w ziemi grzebać lubi, ten się zczasem wyrobi, w kilka lat wypłaci się rządowi i zostaje właścicielem kolonji.

Wicek wziął do serca uwagi Andrzeja, zaraz przyzwał Felka i polecił mu, aby tego samego jeszcze dnia obsiać pole kukurydzą, czarną fasolą.

— Nic nie uważaj na to, jak ci murzyn będzie mówił, że spóźnione, bobyśmy tu przy jego radach wykierowali się na dziadów.

Szmidowicz poszedł z chłopakiem w pole i tam

go nauczył, jak należy postępować, ażeby porządnie dokonać zasiewów.

Ale wszystkie te zabiegi Andrzeja nie zjednały mu jednak zaufania Kobylaka. Stary zachodził do Wicka i, przemawiając ogródkami, ostrzegał go o niebezpieczeństwie sideł piekielnych, ukazywał potrzebę opieki Boskiej, ażeby człowiek nie popadł w moc szatana.

Strzała przywykł już był do tego, że Kobylak ciągle rozprawiał o rzeczach nadzwyczajnych, więc go wysłuchiwał pobłażliwie, a wkońcu się już zniecierpliwił i powiada:

— Dajcież pokój, ojcze, nie siejcie tu strachu między nami! Gdzie w tej naszej biedzie mają komu przychodzić do głowy pokusy?

Manoelo, wyspawszy się w szałasie, wstał bardzo rano i poszedł odwiedzić swoją kolonję; ale tam nie mógł coś długo wytrzymać, więc wnet powrócił do emigrantów: ciągnęły go tu zapewne zapasy kaszasu u Szmidowicza. Murzyn zdziwił się bardzo, widząc, iż na kolonji polskiej rozpoczęto zasiewy, którą to pracę uważał za straconą.

— Lepiejby zrobili—rzekł do Andrzeja—gdyby zjedli te nasiona, zamiast je wrzucać w ziemię.

— Nie bałamuć, przyjacielu, ludzi, i nie narażaj ich na biedę!—zawołał Szmidowicz.

— Eh, jakie to tam moje bałamucenie!... Twoje zupełnie inne, bo zawróciłeś głowę kobiecie... Hoho, dobrze ja widzę, że ona cię pokochała! No, poczęstuj mię swoim kaszasem!

Andrzej nie odrzekł na to ani słowa, miał minę taką, jakgdyby nie rozumiał, o co chodzi; murzyn atoli otrzymał od niego suty podarunek, bo prawie pół butelki kaszasu, i wnet spił się, jak bela.

Było już zapewne koło godziny szóstej po po-

ludniu, kiedy osobliwy gość pożegnał swoich rodaków, poczem opuścił kolonję.

Za odchodzącym spoglądał zdaleka Kobylak, ręką robił w powietrzu znak Krzyża świętego, to znowu wywijał swoim poświęcanym różańcem, a ciągle podszeptywał jakieś zaklęcia.

Manoelo bo nawet nie był w stanie pożegnać się ze Szmidowiczem: chrapiąc rozgłośnie, spał pod ścianą chaty z nawpół otwartemi oczyma, z rozwartemi i zaślinionemi ustami.

Nadszedł wieczór, każdy znowu robił swoje; życie emigrantów weszło na zwykłe tory.

Ale po wieczerzy, kiedy już wszyscy udali się na spoczynek, Maryna sama jedna czuwała jeszcze przy ognisku. Najprzód siedziała czas jakiś z założonemi rękoma, wpatrując się w ogień; potem wstała, poznosiła rozmaite swe stroje, przetrząsała je, składała starannie, nareszcie wszystkie te rupieci spakowała i związała w prześcieradło.

Już się na dobre rozlegało chrapanie śpiących, gdy Grzędzianka obwinęła sobie głowę chustką, wzięła na plecy pakunek z rzeczami, przeżegnała się i ruszyła z przed gasnącego ogniska. Szła po tej drodze, która wiodła do miasteczka.

Po półgodzinnej może podróży dobrym krokiem, Maryna znalazła się na tem samem miejscu, gdzie wczoraj, wracając z miasteczka, wypoczywała była obok Andrzeja tak przyjemnie, że się spóźniła z obiadem. On czekał już tutaj na nią i przywitał ją, mówiąc:

— O, to dobrze, moja Marysiu, żeś przyszła... Coprawda, bałem się trochę, czy cię tam na kolonji nie zatrzymają...

— A cóż mię mieli zatrzymywać? Co im do mnie? Nie jestem przecie niewolnicą. Nietylko w nocy, ale w szczery dzień mogłam sobie iść, dokąd mi się podoba.

Andrzej wziął na siebie tobołki Grzędzianki i, gwarząc zcicha, poszli dalej.

W dobrą godzinę potem przybyli znowu do miejsca, gdzie bułanek, należycie już, widać, napasiony, położył się w bujnej trawie i wypoczywał, a niedaleko od niego, nastawiając uszy na wszystkie strony, czuwał Matto przy ładunku, który mu pan oddał pod opiekę.

Grzędzianka wypoczęła tu sobie cokolwiek, Szmidowicz zaś tymczasem objuczył konia pakunkami i tak samo, jak poprzednio, dał mu psa za przewodnika.

Teraz zwrócili się na lewo od miasteczka S. João Baptista das Tijucas, podążając ku rzece Rio Biguassú, która ma źródła na kolonjach świętej Izabeli.

Można sobie wyobrazić, jakie to zdziwienie ogarnęło nazajutrz pozostałych na kolonji polskiej emigrantów, kiedy rano spostrzegli, że między nimi brakuje Maryny.

Do chorego Strzały pierwszy Felek z tą wiadomością przybiegł i rzekł z przejęciem:

— Oj, co też się porobiło! Dziwne rzeczy, ledwie wiarę temu dać można!

— Cóż znowu nowego?—pyta Wicek—murzyn się pewnie upił, hę?

— Ej, toby przecie nie była żadna dziwota! Ale oto Maryna przepadła gdzieś bez śladu.

— Głupie gadanie, gdzieby miała przepaść!... Poszła może do rzeki prać chusty i wróci.

— Ale, ale, jużem ja wszystko spenetrował! Już ona nie ma ochoty do nas wracać, skoro wszyściutkie szmaty co do strzępka, całe swoje obleczenie z domu wyniosła. No, a Bartłomiej powiadają, że ten człowiek, co tu u nas był wczoraj, rzucił na Marynę jakiś taki urok i poleciała

za nim na zatracenie. Pono nieczystą siłę miał w sobie i przez to ją skusił.

Wiadomość ta zrobiła na Strzale bardzo przykre wrażenie, jednak widocznie nie chciał dać poznać wobec chłopaka, że tak było, bo odpowiedział:

— I pocóż robisz tyle rwetesu? Jak tu Marynie źle z nami było, to nie żadne dziwy, że poszła na lepsze. Niech sobie idzie z Bogiem! Czy to mus jaki, żeby z nami na tej pustce odsiadywała?

Ale swoją drogą w duszy sobie pomyślał:

„Rozkoszy u nas niema nijakiej, może jej gdzie indziej będzie lepiej, jeno mogła się była przecie pożegnać z ludźmi, a ona odeszła, jak od wrogów."

Wkrótce za Głodzikowszczakiem wszedł do izby Kobylak; był on nadzwyczajnie zmieniony i przestraszone oczy rzucał na wszystkie strony.

— Ha, no—powiada—skończyło się! Dostała się w moc jego, przepadła! Zwyczajnie, przez kobietę grzech na świat przyszedł... Dusza jej teraz znikąd ratunku mieć nie może; już nie pomogą ani msze święte, ani pacierze żadne.

— Nie wygadujcież, mój Bartłomieju!—rzecze Strzała.—Takiej prostej rzeczy nie rozumiecie, że Maryna poszła za chłopem—i koniec!

A pocichu sobie dodał:

— Myślałem, że ona się tu na kolonji zmieniła, a tymczasem jak była nicpotem, latawiec, taką, widać, już zginie.

Bartłomiej wybałuszył oczy, patrzył na Wicka i pyta:

— Coś ty powiedział?

— Powiedziałem, że Maryny nie skusił żaden bies, tylko jej się podobał ten Polak, co tu wczoraj był na kolonji, i poszła z nim.

Stary potrząsnął głową niedowierzająco.

Właśnie przybył i Manoelo, popatrzył na zebranych, a potem, posługując się ruchami rąk, oczu, ust, zaczął nadzwyczajnie żywo przedstawiać, że Szmidowicz i Grzędzianka pokochali się bardzo; następnie dał do zrozumienia, że kiedy kobieta kocha mężczyznę, to się temu nikt nie powinien dziwić.

— No, no, co się stało, to się nie odstanie! — powiedział Strzała.—Najgorsze to, jak się teraz urządzimy, żeby żyć; bo juści dlatego, że jedna baba odeszła , inni nie mogą z głodu pomrzeć!

Nie było się tu co namyślać, gdyż tylko jeden Felek mógł wziąć na siebie obowiązki kucharza. Kobylak był przecie zupełnie niedołężny, a Wicek chory.

Od tego czasu na kolonji polskiej nad rzeką Itinga rozpoczęła się jakby nowa epoka życia.

ROZDZIAŁ XXXVI

Dzieła wojenne.

Luis Ferreira de Saltes wcale się nie zadowolnił objaśnieniami, danemi przez wachmistrza Caldo, i bynajmniej się nie uspokoił w swych obawach buntu, tem bardziej, że Sauermann i tłumacz twierdzili, jakoby wachmistrz bardzo lekkomyślnie, powierzchownie tylko traktował sprawę powstania chłopów.

Oficer rozłożył się biwakami około baraków rządowych na górze, gdzie dniem i nocą rozstawiał pikiety, jakgdyby w oczekiwaniu napaści.

Zdołu, od strony baraków emigranckich, do uszu jego dochodziły nieraz rozgłośne swary i przekleństwa bab, chłopów; wtedy przyzywał on dozorcę, jego pomocnika, tłumacza, mniemając, że krzyki takie są odgłosami niezadowolenia buntowników.

Czasem też rozlegały się wesołe pieśni, które nań również źle oddziaływały: myślał on sobie, że dobry humor w szeregach zbuntowanych emigrantów jest dowodem otuchy raczej, aniżeli obawy na widok siły zbrojnej.

W odpowiedzi na to de Saltes zalecał swoim murzynom, ażeby śpiewali groźne wojenne marsze brazyljańskie.

Tak przeszła noc i prawie cały dzień, kiedy przed samym wieczorem nadciągnęły z Desterro posiłki w ilości dwudziestu zbrojnych piechurów z oficerem na czele.

Dwaj wodzowie złożyli teraz wojenną naradę, celem obmyślenia dalszych skutecznych kroków, i postanowili rano o samem świtaniu wysłać do chłopów parlamentarza, a to dla zbadania, czy buntownicy przypadkiem nie poddadzą się dobrowolnie.

Co się tyczy chłopów, ci nie uważali bynajmniej czynów swoich za jakieś nadzwyczajne przestępstwo i zdziwili się niepomiernie, gdy ku nim szedł podoficer z białą chustką na bagnecie, a towarzyszył mu tłumacz z głową, obwiązaną także w białą chustkę, i bębniarz, który, idąc przodem, walił z całej siły w bęben.

— Jużci oni pewnikiem poto bębnią, żebyśmy się zebrali—powtarzali zewsząd emigranci.—Musi pomiarkowali sobie, co u nas ostatnia bieda, i może nam przecie zapomogę jaką dadzą.

Ze wszystkich więc stron zbiegali się chłopi, baby, dzieci i tłumnie poczęli otaczać owych wysłańców, zaniepokojonych tem, co się dzieje. Wtedy tłumacz, Niemiec z pochodzenia, wystąpił naprzód, powiódł po tłumie niespokojnym pełnym podejrzliwości wzrokiem i tak przemówił:

— Pan kapitan, Luiz Ferreira de Saltes, w imieniu rządu rzeczypospolitej zapytuje was, koloniści Polacy, czy chcecie nadal używać swobód i dodrodziejstw, jakiemi rzeczpospolita obdarza swoich obywateli?...

Jeszcze nie skończył swej przemowy, gdy jakiś chłop na cały głos zapytał innego, stojącego obok:

— Jacenty, czy wy rozumiecie, co on takiego wygaduje?

— Nieosobliwie ta rozumiem — odrzekł zapytany.—W tem, co on baje, może być połowa łgarstwa, czego u nich zwyczaj; ale tylem pojął, że on od rządu pyta, czy chcewa swobody i dobrodziejstwa.

— A no, to Kasper dobrze powiada, co oni nam koniecznie dadzą jakową folgę w tej biedzie! —I zaraz huknął na całe gardło:—„Chcemy, chcemy!"

Teraz już ze wszystkich ust rozległ się jednogłośny okrzyk,

— Chcemy, chcemy, chcemy!

Wślad za tem poczęły się wysuwać baby, przedstawiając rozmaite żądania.

— Od tego czasu, jakeśwa z Polski wyszli— mówiła któraś — dziewczynina moja chodzi oto w jednej jedynej koszulinie, a chłopakowi znowu portczęta na nic się rozlazły... Niechżeby na początek choć ze trzy milrejsy dali, tobym dzieckowiny jakbądź ogarnęła!

Jeszcze ta kobieta nie ustąpiła, a już inna, z opuchniętem dzieckiem na ręku, rzuciła się przed podoficera, wołając wśród łez i szlochów:

— Toć człeka rozum odejść może! Dziecina mi się na nic schorowała: niebożątko moje, ani ono je, ani pije, smutne takie, ciągle tylko popłakuje, a mnie, nieszczęśliwej, aż się serce krajel... Cóżeście też za ludzie w tej Bryzolji! nie macie w sercu żadnej litości!... A toćby kamień zmiękł!...

Wtem ktoś z tłumu krzyknął:

— Proście, żeby nam chleba dali!

— Chleba, chleba, chleba! — wrzasnęło razem paręset głosów.

Krzyczą tak chłopi, a kilku z pomiędzy nich zbliżyło się znowu do podoficera i jeden przez drugiego mówi:

— Żyjemy tu w borach, jak zwierzęta: bez kościoła, bez księdza! Ani my dzieci swoje chrzcimy, ani mamy gdzie nieboszczyków pochować, ani nas kto słowem Bożem pocieszy!... O, zlitujcież się nad nami!...

— Prosimy o kościół, o księdza, o cmentarz!— wołały liczne głosy.

Te krzyki były prośbą, w której się przebijała rozpacz nieszczęśliwych i natarczywość ludzi, doprowadzonych do ostateczności.

Podoficer stał, jak wryty, bezmyślnym a trwożliwym wzrokiem wodził po tym huczącym tłumie, który coraz bardziej ścieśniał koło, tak że niektórzy chłopi deptali po nogach tłumacza, bębniarza, podoficera.

— Niech nas panowie zapiszą sobie z imienia i nazwiska, żeby było wiadome, czego kto chce! —zawołał jakiś ogromny chłop, przeciskając się przez gromadę.

— Słyszycie, z imienia i nazwiska trzeba nam się podawać!...

— Szymon Środa ze wsi Zagaje, w powiecie sierpeckim... prosi, żeby go przenieść z tych pałyg w górach na jakie równiejsze miejsce!...

— Mateusz Sikora! Niech pan zapisze!...

— O, rany Boskie, a toć się tak nie pchajcie, bo dziecko udusicie!... Bydło, nie naród! — wrzeszczała jakaś baba, którą tłum unosił.

— Bartłomiej Niedopytała z Czarnej pod Nieszawą!... Odmierzyli mi kolonję tam na samym brzegu... Nie naucznym chodzić koło roli z motyką i gracą!... Proszę o jaką taką szkapinę, o sochę!...

— Ani prosięcia, ani kury, ani gęsi niema!... Zatracone takie gospodarstwo!—darła się na cały głos znowu jakaś baba.

Kto inny upominał się o piłę, wyrzekali, że

nie mają chałup, a nieustannie z tłumu dawały się słyszeć sykania, wyrzekania ludzi podeptanych i pogniecionych.

Z rozmaitych punktów wołano: — „chleba!" — „księdza!" — „kościoła nam trzeba!" — „cmentarza!"

Nareszcie zrobił się tłok nadzwyczajny. W jednem miejscu tłum ścisnął, jak w prasie, tłumacza; dalej znowu zprzodu i ztyłu parli na podoficera, a gdzie indziej unoszono, jakby z falą, bębniarza. Ten ostatni, ściśnięty i wysadzony w powietrze naraz, zaczął ponad głowami chłopów walić z całej siły w bęben, co zupełnie zagłuszyło wrzawę tłumu.

Do baraków rządowych na górze dochodził ów nadzwyczajny gwar emigrantów i dwaj oficerowie sprawiali swe szyki w tem przekonaniu, że bunt musiał przybrać groźne rozmiary. Zaledwie tez posłyszeli alarmujące bicie w bęben, wydali niebawem komendę:—„marsz naprzód!"

Dowódca oddziału z Desterro rozkazał był swym żołnierzom nabić karabiny ślepemi ładunkami i puścił się naprzód, podczas gdy de Saltes ze swymi murzynami stanowił armję tylną, która miała broń, kulami nabitą.

— Wojsko idzie, wojsko! — wykrzykiwali tu i owdzie chłopi, widząc zbliżający się oddział desterjański.

I w tej chwili ustała wrzawa, a wszyscy zwrócili ciekawe oczy ku żołnierzom.

— Starszyzna jakaś z okrutną paradą ku nam wali—mówiono półgłosem.

Wyswobodzeni teraz z tłoku parlamentarze nadzwyczajnie skwapliwie połączyli się z siłą zbrojną i tłumacz natychmiast przedstawił oficerowi sprawozdanie, iż emigranci z niezmiernem zuchwalstwem dopominają się różnych rzeczy nadzwy-

czajnych: chleba, kościoła, księdza, cmentarza, chat, pługów, bydła i t. d.

Oficer wysłuchał tłumacza, a potem przez usta jego miał przemowę, wskazując, ile to już rząd rzeczypospolitej zrobił dla emigrantów i ile jeszcze zrobić zamierza, jeżeli oni sami nie będą mu stawiali przeszkód.

W odpowiedzi na taką przemowę chłopi kiwali tylko niedowierzająco głowami, mówiąc:

— Obiecanka—cacanka, głupiemu radość!

— Co warte takie gruszki na wierzbie?

— Zanim słońce wejdzie, rosa oczy wyje!

— A co oni mówią?—zapytał oficer tłumacza.

— Wyrażają się oto z nieufnością dla słów waszej łaski.

— Proszę im powiedzieć, aby się natychmiast rozeszli, gdyż wojsko ma rozkaz użycia siły w razie nieposłuszeństwa.

Tłumacz wypowiedział emigrantom, czego od nich oficer wymaga.

— I cóż oni sobie myślą, bestyjniki jakieś, że my tu z głodu pomrzemy?... Poco nas sprowadzili, poco różności obiecywali? — wyrzekano na wszystkie strony.

— Nie rozchodzić się!—Coś w tem jest takiego!

— Czekać trzeba, dopóki nie dadzą!

— Muszą dać zapomogi! Czekać, czekać!...

— Żeby się nikt nie ważył stąd ruszyć!

— Chleba, chałup, kościoła, księdza!...

Powtórne wezwanie do rozejścia się wywołało w tłumie jeszcze liczniejsze szmery niezadowolenia.

Teraz oficer wydał komendę:

— Ognia!

Rozległ się po borach tysiącznem echem huk wystrzałów, a cały tłum, wśród wrzasku bab i pła-

czu dzieci, pierzchał na wszystkie strony w nadzwyczajnym popłochu.

Nieszczęście chciało, że de Saltes z murzynami właśnie nadszedł i zajął ścieżkę w lesie na tyłach emigrantów. Szaloną ucieczkę chłopów wziął on za napad na swój oddział i kazał dać ognia do całej gromady.

Tym razem strzały były skuteczniejsze: krew się polała; tu i owdzie widziano konających lub rannych; inni, strwożeni, pośpiesznie uchodzili w puszczę.

Chłopi uciekli z kolonji; jedna część tych nędzarzy niewiadomo gdzie przepadła, druga—założyła w lesie szałasy, naradzając się, co dalej począć.

Wojsko brazyljańskie, syte sławy, opuściło kolonje polskie, a Sauermann spostrzegł, że wobec braku emigrantów i on nie ma racji bytu w barakach rządowych nad rzeką Itapava. Ale niedługo czekał, bo w parę tygodni potem przybył tam świeży transport wychodźców polskich.

Nowe ofiary własnej głupoty i lekkomyślności, a cudzej złej woli, której dano szumną nazwę polityki kolonizacyjnej.

ROZDZIAŁ XXVII

Zagadkowy człowiek.

Tak się miały sprawy wychodźców polskich w stanie świętej Katarzyny, kiedy do portu Rio de Janeiro na niemieckim parowcu przybył z Europy jakiś człowiek, mogący liczyć około pięćdziesięciu lat życia. Dzienniki miejscowe, wymieniając pasażerów parowca, zanotowały nazwisko „Kołomiński z Warszawy".

Ów Kołomiński przez kilka dni zrzędu żywo się krzątał w stolicy Brazylji; można go było widzieć już to w biurze kolonizacji, już w redakcjach różnych gazet, w kancelarji konsula ruskiego, to znowu przy *table d'hôte* w hotelu francuskim, w międzynarodowej kawiarni „do Globo", a z kimkolwiek zawiązał rozmowę, zawsze ją sprowadzał do emigracji i kolonizacji.

Chodził po księgarniach, skupywał mapy, przewodniki po Brazylji, broszury o emigracji.

Nareszcie jednego dnia wsiadł na parostatek „Lloyda" brazyljańskiego i popłynął wzdłuż południowych wybrzeży. Na okręcie odczytywał krajowe gazety, których miał całe stosy, podkreślał ołówkiem artykuły, odnoszące się do emigracji i kolonizacji brazyljańskiej, obliczał ilość przybyłych emigrantów, wyszukiwał na mapach miej-

scowości, które rząd rzeczypospolitej przeznaczył na kolonje polskie. Wstąpił do portu Santos, do Paranagua i dowiadywał się o Polaków.

Pasażerowie i oficerowie parowca różnie mówili między sobą o tym człowieku.

— Zdaje się, że to jest jeden z tych nieznośnych reporterów dziennikarskich, którzy się wszędzie wścibiają, a potem w Europie piszą dziwolągi o naszej Brazylji — odparł jakiś bardzo poważny urzędnik.

Kołomiński zapisał się na liście pasażerów, jako powieściopisarz, i mówił o sobie, że zbiera materjały do powieści, którą wyda, gdy wróci do kraju swego. Wysiadł na ląd w Desterro, przedstawił się tam delegatowi kolonizacji ziem Świętej Katarzyny, obejrzał koszary emigranckie nad brzegiem morza i znowu wsiadł na okręt, ażeby popłynąć do Itajahy.

Tutaj także przedstawił się szefowi kolonizacji, który go jednakże przyjął niechętnie i źle mówił o Polakach.

Idąc przez ulicę, spotkał jakiegoś człowieka w łachmanach, z nogami opuchniętemi i wyciągającego rękę po jałmużnę. Zatrzymał się, popatrzył chwilę, potem spytał:

— Emigrant Polak, wszak prawda?

— Mocny Boże! toć i pan, widzę, z Polski!— zawołał ten nędzarz.

— A z których stron pochodzicie?

— Z pod miasta Koła.

Biedak ów należał do rzędu tych, których strzały wypłoszyły z kolonij polskich nad Itapava, a nazywał się Mateusz Sikora. Prostemi słowy odmalował on Kołomińskiemu smutny obraz losów własnych i swoich współtowarzyszów.

— Toć tu po lasach wszędzie naszych pełno, włóczą się nikiej cygany! Ja się puściłem w po-

jedynkę, idę, gdzie oczy poniosą, i żyję, jak dziad, z opatrzności, bo cóż mam zrobić?...

Ognista tarcza słońca właśnie zapadła gdzieś w boru, a na złocisto-seledynowem tle nieba ukazała się piękna wieczorna gwiazda, kiedy z bramy niemieckiego hotelu w Itajahy wypadło dwóch ludzi na koniach.

Zadudniła ziemia pod kopytami koni, pędzących dobrego kłusa, i wnet dwaj jeźdźcy zniknęli na drodze, która z jednej strony prowadzi wgórę rzeki Itajahy-Assú ku Gaspar, a z drugiej, po przeprawie promem, zwraca się ku miastu S. da Penha de Itapocorohy.

Jeszcze przez chwilę dolatywał do uszu jeźdźców odległy szum fal oceanu, bijących o brzegi zatoki — jeszcze przez krótką chwilę trwał ów zmierzch krajów podzwrotnikowych, co to ledwie się zaczął, już znika. Ujrzeli teraz gładką i spokojną powierzchnię rzeki, odbijającą w sobie gwiazdy, któremi się zaiskrzył ciemny szafir nieba, a uroczystą ciszę nocy zakłócała jedynie muzyka piewików. Coraz to gęściej i gęściej roiły się w powietrzu świetliki, coraz silniej odurzała woń kwiatów, gdy nareszcie na skraju nieba zajaśniała łuna księżyca.

Jeźdźcy żwawo pędzili obok siebie i prowadzili urywaną rozmowę w języku niemieckim. Młodszy, chłopak, liczący najwyżej lat osiemnaście, był to przewodnik, którego właściciel hotelu wynajął wraz z parą koni gościowi swemu, przybyłemu z Europy do Itajahy.

Naraz starszy człowiek wydobył z kieszeni kaftana zegarek, popatrzył nań uważnie i rzecze:

— Dochodzi oto pierwsza godzina; za chwilę powinniśmy tu spotkać gdzieś szałasy emigrantów. Człowiek, który się z nimi rozstał przed nie-

dawnym czasem, upewnił mię, iż koczują nie dalej, jak o cztery godziny dobrej jazdy od Itajahy.

— Myślę, że pan nie masz powodu uskarżać się na jazdę: konie nasze są krzepkie i dobrze wypoczęte.

W jaki kwadrans potem, starszy jeździec powstrzymał konia w biegu, nasłuchiwał i odzywa się w te słowa:

— Jeśli się nie mylę, posłyszałem coś, jakby głos ludzki.

— Eh, zapewne to złudzenie. Jeśli tu i są gdzieś wpobliżu ludzie, muszą przecież spać o tej porze.

Ale tym razem przewodnik się mylił; bo zaledwie pięć może minut upłynęło, a można już było odróżnić wyraźnie jakiś śpiew.

Jechali jeszcze przez parę minut i głos ludzki stał się już tak wyraźnym, że do uszu jeźdźców dolatywały słowa.

W milczeniu podjechali bliżej i wnet spostrzegli ognisko, przed którem siedziała kobieta w średnim wieku i, pośpiewując pieśń nabożną, tuliła do piersi dziecko.

Tu i owdzie stał szałas, zbudowany napoczekaniu z gałęzi, a dokoła rozlegało się chrapanie śpiących.

Jeden z koni parsknął, co sprawiło, że czuwająca kobieta zwróciła ku jeźdźcom przestraszone oczy.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!— przemówił po polsku starszy jeździec, poczem znowu usiłował uspokoić kobietę, mówiąc w te słowa:—Nie obawiajcie się, matko; nie przybywam tu do was z żadnemi złemi zamiarami; jestem wasz rodak z Warszawy, a choć zapewne nie złagodzę waszej niedoli, to pragnę ją poznać, odczuć, ażeby potem ostrzec innych, których ludzie złej woli namawiają na emigrację do Brazylji.

Kobieta, do której nieznajomy przybysz tak przemawiał, była to Mikołajowa Dąbkowa. Jak tylko się przekonała, że niema żadnego powodu do obawy, powstała czem prędzej od ogniska i z dzieckiem na ręku przystąpiła bliżej, a strach jej i niedowierzanie wnet się zmieniły na wylewy uczuć jakiejś dziwnej radości, która graniczyła z szaleństwem.

— Pan nas wybawi z tegoc piekła! — wołała.— A niechże ci za to Bóg zapłai!...

Wypadła potem do szałasów, budziła rozespanych ludzi, wykrzykując nieustannie:

— A wstajcież, wstajcie! Pan Jezus się zlitował nad nami, przysyła nam oto dobrego człowieka z Warszawy!... Pójdźcie, pójdźcie, zobaczycie!

Jeden za drugim wychodzili z szałasów chłopi, przecierali sobie oczy, spoglądali to ciekawie, to podejrzliwie; podnosiły się ze snu kobiety, brały na ręce dzieci i wszystko to gromadziło się około osobliwego jeźdźca.

Wielki krzyk rozległ się po lesie:

— Ratuj nas, wybaw, zlituj się!

Ci ludzie byli jak widma rozpaczliwej nędzy: obdarci, brudni, pokaleczeni.

Baby załamywały ręce, płakały, a niektóre miotały jakieś straszliwe przekleństwa; chłopi odgrażali się ponuro. Skargi i złorzeczenia sprawiały na słuchaczu takie wrażenie, jakgdyby nieszczęście olbrzymim potokiem zalało całą kulę ziemską, a jego źródła znajdowały się w Brazylji.

Tu matka lamentowała, że jej wymarły dzieci; tam żona, wybuchając płaczem i zionąc przekleństwa, opowiadała, jak mąż jej stracił życie, ugodzony kulą brazyljańską. A od czasu do czasu zawył jakiś dziki okrzyk, który zdał się być wyrazem boleści, rozpaczy i wściekłości:

— Ratunku, ratunku!

Ci wszyscy ludzie garnęli się do jeźdźca, otoczyli go wkoło tak, że się z koniem nie mógł ruszyć. Zaczął do nich przemawiać spokojnie, tłumaczył przekonywająco, że w tej chwili już im nie pozostaje nic innego, jak tylko praca.

— Wcześniej czy później — powiada — każdy z was, gdy dołoży starań, może zgromadzić tyle środków, że mu to wystarczy na opłacenie kosztów powrotu między swoich.

Teraz każdy się domagał, ażeby ów rodak, którego oni pierwszy i może ostatni raz w życiu widzieli, poniósł do ich kraju wieści o strasznym losie emigrantów.

— Skoro pan wracasz do kraju, to opowiedz, co się tu dzieje, daj znać naszym braciom, jak nas oszukano!

I to pragnienie opanowało umysłami wszystkich tak dalece, że jeździec nie był w stanie wysłuchać życzeń każdego, a tem bardziej — zapisać sobie, kogo ma, po powrocie swoim do ojczyzny, pozdrowić, zawiadomić, objaśnić.

Biedacy, widzieli w takiem przesłaniu wieści o sobie jakąś niewyraźną deskę zbawienia.

Nareszcie jeździec obdarzył tego i owego skromnym datkiem, jeszcze raz przemówił do nich serdecznie i wśród okrzyków pożegnania opuścił szałasy.

Emigranci zasiedli teraz i długo gwarzyli o ciekawem nocnem zjawisku: co to za jeden, kto go przysłał do Brazylji, kogo może obchodzić dola wygnańców?

Ich rozum nie dawał odpowiedzi na te pytanie, więc weszła w grę wyobraźnia. I po stanie Świętej Katarzyny rozszedł się mit o tajemniczym jeźdźcu, który, jak duch, wystąpił z głębi ponurych borów, ażeby strapionych emigrantów pocieszać, uspokajać, a nawet wskazywać im nadzieję powrotu do ojczystej ziemi.

ROZDZIAŁ XXXVIII

Żandarmi i niedobitki z nad Itapava.

W tym czasie dzienniki brazyljańskie zrobiły nadzwyczajny alarm: pojawiły się w nich artykuły o jakimś tajemniczym człowieku, który podróżuje po Brazylji, wstępuje do portów, zwiedza nowe kolonje, a gdziekolwiek spotyka polskich emigrantów, miewa do nich przemowy podburzające i, jako takie, nader szkodliwe dla celów kolonizacyjnej polityki państwa.

Artykuły te zaniepokoiły centralny zarząd kolonizacji ziem Brazylji. Zwrócono się niebawem do krajowej policji z wymaganiem, ażeby przez organa swoje wyśledziła owego wichrzyciela i, jeżeli tylko sprawdzi jego niebezpieczne knowania, nie omieszkała dostarczyć go w ręce sprawiedliwości.

Udział wachmistrza Caldo był tu więc niezbędny. Mając obok siebie z jednej strony urzędowego tłumacza, z drugiej—żandarma João, Caldo znowu się puścił w drogę. Spotykali oni wszędzie rozbitych na małe gromadki kolonistów, wałęsających się po okolicy, i wszczynali z nimi rozmowę, zręcznie badając. Ale jedni słyszeli tylko z drugich ust o tajemniczym jeźdźcu, inni widzieli go na własne oczy, lecz nie umieli powiedzieć, co do nich mówił i jak wyglądał.

— Zwyczajnie wyglądał, jak człowiek na koniu — mówił stary chłop, zachęcony do gawędy garstką tytoniu i kieliszkiem kaszasu. — Alebym nie przysięgał, czy to człowiek... Skądby się tu wziął nasz szlachcic w takich borach? A czy on głupi? Czy jemu tam źle siedzieć sobie spokojnie we dworze na wsi albo w mieście? My ciemne chłopy, tośmy poszli i teraz nędza!...

W innej znowu gromadce jeden tylko dwunastoletni chłopak zapamiętał, że jeździec, o którego chodziło, miał na sobie „czarny kaftan w czerwone pasy, a na głowie siwy kapelusz".

Jeszcze gdzie indziej opowiadano, że sobie ludzi spisywał, że miał w kieszeni rewolwer i nóż za pasem.

— Hm, hm—mruczał pod nosem Caldo, wysłuchawszy tych i innych jeszcze opowiadań. — Każą mi aresztować legendę, ćwieka w głowie, którego sami zabili we łby sobie i tym biednym ludziom... João, a czy ty wiesz, co to jest legenda?

— Legenda? Coś kiedyś słyszałem od żony, która czytuje różne książki. Zdaje mi się, że to jest imię córki guvernadora z Minas Geraes, w której się zakochał wódz indyjski z pokolenia Macuchy, zakochał się, no, i naturalnie...

— Stary łysoniu, wiedz i pamiętaj, że głupi jest wtedy mądry, kiedy milczy, choć go zapytują, a milczy, ponieważ wie, iż jest głupi. Tymczasem o twojej głupocie wiedzą wszyscy, oprócz ciebie jednego. Legenda, mówię ci, jest to ćwiek w ludzkiej głowie!

— Z tego wynika, że mamy aresztować ludzi z ćwiekami w głowie!

— A cóż oni są winni? Przecież ty, naprzykład, nic a nic nie jesteś winien temu, że ci brakuje włosów na głowie; ta krzywda twoja jest na czysto dziełem twej nadobnej żony i, gdyby spra-

wiedliwości zależało na tem, aby dochodzić krzywdy takiej, musiałbym przyaresztować twoją małżonkę.

— Co nie, to nie! Gdyż ja wcale się nie skarżę i nie żałuję utraconych włosów, albowiem otrzymałem za nie wynagrodzenie w uściskach.

— Tak, tak, tylko gdyby ci żona jednego dnia zwróciła wydarte włosy, ty nie byłbyś w stanie oddać jej ani jednego uścisku, a przeto przyprawia ci teraz rogi. Nic wspanialszego nie znam nad te rogi, mój João, chociaż się ciągle obawiam spotkania z jaguarem: ten głupi zwierz drapieżny może wziąć żandarma rzeczypospolitej za jelenia lub barana.

— Wy, panie wachmistrzu, przemawiacie zawsze tak niezwykłym językiem, że nic nie mogę zrozumieć, jakkolwiek nieraz dobrze się namyślam — rzecze tłumacz.—To wszystko, coście powiedzieli, mojem zdaniem, nie ma najmniejszego związku z człowiekiem, którego sprawiedliwość ściga, jako burzyciela porządku w rzeczypospolitej.

— Gdyby papuga nie była tak zielona, jak liście indaí albo bagnasu, nie przeżyłaby od wschodu do zachodu słońca, ponieważ gavião czatuje na nią nieustannie — odpowiedział Caldo. — A z żandarmem, zwłaszcza na służbie zarządu kolonizacji, jest jeszcze gorzej, niż z papugą. I ty, panie tłumaczu, człowiek tak zacny, że z twoich paznogci możnaby było fabrykować surogat uczciwości, zgoliłeś sobie jednak brodę, wąsy, ostrzygłeś włosy i przywdziałeś ubiór żandarma, ażeby *colonos polacos* nie poznali, że jesteś ten, który jesteś. Bo chociaż znakomita nasza konstytucja zaprowadziła wyborne prawa i ustanowiła nieporównany porządek, są jednak ludzie nielegalni, którzy te prawa nazywają bezprawiem, a porządek błogosławiony —nieładem. Naraziłeś się, panie tłumaczu, na utra-

tę wąsów, brody i włosów, ażeby ocalić duszę; drżę jednak na myśl, że ci pozostała bardzo niebezpieczna część ciała, która, niestety, mimo swej nieszlachetności, musi zwykle odpowiadać za przewinienia serca i rozumu... O, ci Polacy, to wielkie gbury! U nas, w Brazylji, po zniesieniu niewolnictwa, nikomuby na myśl nie przyszło zaglądać tam, skąd nogi wyrastają...

Kiedy tak rozmawiali, przybyli do jakiejś kolonji włoskiej, gdzie przed domem wypoczywała gromadka ludzi: mężczyźni, kobiety, dzieci.

— Zdaleka poznaję niedobitków z nad Itapava — powiedział wachmistrz.

— Niezawodnie, oni to są rzeczywiście i bardzo być może, iż się od nich dowiemy czegoś o tajemniczym agencie — rzekł tłumacz.

— Podjedźno ku nim, panie tłumaczu, i zapytaj, co się dzieje z kobietą, wdową po zabitym w lesie Polaku, którego za życia dobrze podobno skubała żona, a po śmierci równie dobrze na nim popsuły skórę nasze poczciwe sępy. Jeśli mię pamięć nie myli, *colono* nazywał się Dąbek.

Caldo spostrzegł, że tłumacz obawia się spotkania sam na sam z emigrantami, więc śmiało zwrócił się do nich, zsiadł z konia, rozdał dzieciom po wintynie (około 4 gr.), a chłopom po garstce tytoniu i dał znak tłumaczowi, że należy przystąpić do rozmowy.

Pomiędzy tymi ludźmi była także i Dąbkowa, ale biedaczka przed dwoma dniami oto pochowała dziecko i, siedząc zdala od innych, nie miała chęci wdawać się w rozmowę. Jakaś kobieta opowiadała tylko, że Dąbkowa podąża ku miastu Itajahy, gdzie pragnie iść w służbę, ażeby wyżywić pozostałe dzieci.

— A jej poco służba?—rzecze wachmistrz przez tłumacza. — Ona może powrócić, skąd przyszła.

Jest przecież wdową, a w Brazylji istnieje prawo, że emigrantka, której mąż umarł już na kolonji, może żądać, ażeby ją na koszt rządu odesłano do ojczyzny.

Tu tłumacz mrugnął na wachmistrza i rzekł po portugalsku:

— Prawo takie istnieje wprawdzie, jednakże nie wchodzi w wykonanie, ponieważ ostatniemi czasy namnożyło się wdów po wychodźcach polskich i rząd rzeczypospolitej poniósłby dotkliwe straty, gdyby te wszystkie kobiety chciał odsyłać.

— Masz pan tłumaczyć Polakom to, co mówię— rzekł Caldo ze stanowczością.—Mnie, wachmistrzowi żandarmów, przydano do pomocy tłumacza, a nie przeciwnie.

Zdaje się, że tłumacz nie wyłożył emigrantom całej sprawy tak, jak należało, co wachmistrz umiał jakoś odgadnąć z ich fizjognomij, i przeto polecił tłumaczowi po raz drugi i trzeci wracać do tego samego przedmiotu.

Dąbkowa i Dzwonkowa zdziwiły się niezmiernie, usłyszawszy o przysługującem im prawie.

— Powinnyście natychmiast udać się do szefa kolonizacji w Blumenau—mówił wachmistrz przez tłumacza—i podać się tam, jako wdowy, chcące powracać do kraju. Ale to jeszcze nie wszystko: wdowa po Mikołaju Dąbku ma się zgłosić do sądu, gdzie się upomni o swoje pieniądze, które wachmistrz żandarmów, Caldo, odebrał był złodziejowi, Sobkowi Cierniakowi.

Mikołajowa teraz dopiero dowiedziała się, że jest wdową, że mąż jej zginął, prawdopodobnie z ręki Cierniaka. Baba, jakkolwiek jednocześnie otrzymała i wiadomość o możności powrotu do kraju i o pieniądzach, złożonych dla niej w sądzie, zaczęła przedewszystkiem gorzko opłakiwać śmierć męża i skarżyć się na swoje wdowieństwo.

— O, mój Mikołaju, nieboraku! nażyłeś się poto w biedzie takiej, żeby po sobie zostawić sieroty i wdowę! Na taki ci koniec przyszło w onej nieszczęśliwej Bryzolji, coś się tu spodziewał i ziemi, i bogactw różnych!

Od tego Dąbkowa przeszła niebawem do miotania strasznych przekleństw na zabójcę swego męża:

— Wisielec jeden, zbój, jeszcze w kraju powinien był zgnić w kryminale!

Nawinęło jej się któreś z dzieci, uderzyła je w kark pięścią, wołając:

— Raku jakiś zatracony, czego się wiercisz! Tatuś ci umarł, a ty nie wiesz tego, jak się żałuje ojca!...

Dziecko poczęło zaraz beczeć, nietyle z żalu po ojcu, ile wskutek bólu i pobudzenia przez matkę.

Nie koniec temu; Dąbkowa zaczęła sobie samej złorzeczyć i czynić wyrzuty:

— Oj, ja nieszczęśliwa kobieta! pocóżem mu też odebrała te pieniądze! Żeby nie ja, toćby on żył jeszcze. A niechby mię był zeprał na kwaśne jabłko, a nie schodził tak marnie ze świata. Odpuść-że mu też, miłosierny Boże, wszystkie grzechy...

Nakrzyczała się kobieta, napłakała, aż ją dopiero Dzwonkowa poczęła uspokajać:

— Uciszcież się, Mikołajowa, moiście-wy, toć wam na pocieszenie zostały jeszcze te sieroty, a Bóg najwyższy lituje się nad nimi oto i może wrócimy do wsi swojej!... Nie trzeba tak przeklinać, wyrzekać, lepiej to wszystko ofiarować ku większej chwale Pana Boga.

Powiedziawszy to, Dzwonkowa zaraz klęknęła na ziemi, wyciągnęła obie ręce ku niebu i tak się modliła:

— Najsłodszy Jezunieczku, nacierpiałeś się Ty

na ziemi na Krzyżu dowoli za grzechy ludzkie, niechże się dzieje wola Twoja przenajświętsza. Ofiaruję Ci wszystkie swoje strapienia i proszę o zmiłowanie dla tego mego drobiazgu, co niewinnie cierpi za grzechy rodziców swoich!

Żegnała się znakiem Krzyża świętego, biła w piersi, a za jej przykładem poszły także inne baby i Dąbkowa.

Tymczasem Caldo i tłumacz rozmawiali na boku z chłopami o tajemniczym jeźdźcu, ale jeden z chłopów poznał tłumacza urzędowego, odciągał innych od rozmowy i podszeptywał:

— Strzeżcie się, ludzie, bo ten sobaka coś złego zamyśla! Ogolił się, ostrzygł i mundur włożył, widzicie wy!...

Chłopi, już ujęci przez wachmistrza, zerwali zaraz rozmowę i zaczęli się rozchodzić, z niedowierzaniem spoglądając na żandarmów.

ROZDZIAŁ XXXIX

Niepowodzenie.

Od czasu zniknięcia Maryny Grzędzianki z kolonji polskiej u źródeł rzeki Itingi upłynęło ze trzy miesiące czasu. Strzała, jakkolwiek jeszcze niedomagał, chodził precz koło gospodarstwa i brał się do roboty. Cieszyło go to, że kukurydza jak las wyrosła na polu, że czarna fasola bogato obrodziła strąkami, a pośród tych głównych płodów kolonji krzewiła sią tu i owdzie manioka, lub — szerokolistne kartofle, zwane inhames.

I Manoelo chadzał nieraz na to pole, wyciągał tam ze sobą Kobylaka, a zawsze podziwiał piękny urodzaj, cmokając językiem, kiwając głową, wykrzykując: „dobra!“, gdyż tyle nauczył się po polsku.

Walenty bo coś nie był nigdy zadowolony z niwy; przedewszystkiem nie mógł pojąć tego, że na roli niema ani żyta, ani jęczmienia, ani owsa, bobu, i wogóle płodów, które ongi znał w Rokitnicy.

— Panie odpuść, po jakiemu oni tu gospodarują!—mawiał.—Na polu nie uświadczy ani porządnego zagonu, ani brózdy, ani miedzy... Człowiekowi nijako, kiedy wgórze skowroneczka nie posłyszy albo przepiórki w zbożu. O, nie, nie, to nie chrześcijańska robota!...

Dopiero Wicek przekonywał starca, dowodził mu, że i za to Pana Boga chwalić należy, bo jakby był nieurodzaj, ludzie pomarliby z głodu.

— Niechże ta i tak będzie — powiada starzec i wyciągnął ku niwie rękę, jakby ją błogosławił, i mówił cichym głosem: — Przedwieczny Panie, pobłogosław tej roli, ażeby ludzie mieli żyć z czego i tem lepiej wielbili imię Twoje święte! Amen...

Zwolna przywykał stary do pola owego i miał tam nową stację do modlitwy i drzemki, tak że jeśli Kobylaka nie było na kolonji przed chatą, szukał go Felek teraz w kapliczce lub w kukurydzy.

Ale jednego dnia o zachodzie słońca Kobylak przybiegł z pola zadyszany i z wielkim pośpiechem; w jego oczach przebijało się jakieś nadzwyczajne przerażenie, kiedy stanął przed Wickiem i machając ręką mówił tajemniczym głosem:

— Błogosławieństwa Bożego brak: źle, źle!...

Strzała spojrzał na starca i pyta:

— O czem wy mówicie, ojcze?

— Powiadam ci, że... źle—rzekł Kobylak uroczyście.—Pan Jezus nie ma zmiłowania nad nami grzesznymi! O, Panie sprawiedliwy, nie odwróciłeś od nas nieszczęścia, nie przestałeś nas karać za to, żeśmy porzucili ziemię ojców swoich!... Tu ziemia jest przeklęta, przeklęta!...

— Ojcze, ojcze, znowu bajecie swoje, a jużeście mi obiecali, że przestaniecie siać strachy, grozić karą Boską!

— Cicho, cicho!—zawołał z zapałem Kobylak.— Tego, com ja widział na własne oczy, niech nikt z was nie ogląda!...

— A cóż znowu takiego?—spytał Wicek, uderzony tem niezwykłem zachowywaniem się starca.

— Szatany!... Synu, zapłacz gorzkiemi łzami pokuty nad niedolą naszą!

Zaniepokojony tym stanem umysłu starca, Strzała wziął go łagodnie za rękę, posadził obok siebie. Kobylak nachylił się teraz i szeptał Wickowi do ucha:

— Hurmem wpadli na nasze pole, łamali wszystko, psuli... Oh, jaki tam pisk był, co za trzask, zgrzytanie zębów—brrr!... Dopiero się podniosłem z ziemi i znakiem krzyża świętego wypędziłem ich w bory!... Niech Bóg broni, jak uciekali! Ale zniszczyli wszystko, spustoszyli, bo to jest przeklęta rola!... Nie chodź tam, nie oglądaj, co się stało; dosyć tego, co moje grzeszne oczy widziały! O, Panie, Panie, muszą być ciężkie moje winy, kiedyś mię skazał na to, abym za życia widział nieczyste siły piekielne!...

— Jakto, kukurydza zniszczona? — pytał Wicek żałosnym głosem.

— Wszystko przepadło!... Praca bez błogosławieństwa Bożego, niwa przeklęta!

Twarz i oczy Kobylaka wyrażały taką zgrozę, że Strzała mimowolnie zadrżał, a choć miał zamiar iść na pole, zobaczyć, co się stało, siedział jednak w miejscu, jak przykuty.

Po chwili dopiero, kiedy Kobylak powstał, odszedł nabok, klęknął i, wsparłszy drżące ręce na kiju, począł się gorąco modlić, podźwignął się także Wicek i poszedł na niwę.

Zapadający mrok nie pozwolił mu tutaj rozpatrzeć się w szczegółach; jednakże widoczne było jakieś nadzwyczajne zniszczenie plonu: niektóre łodygi kukurydzy stały jeszcze nawpół przełamane, inne, ścięte przy samej ziemi, poniewierały się tu i owdzie, a wszędzie czuć się dawała woń soku ze świeżo zmiażdżonych łodyg, liści i niedojrzałych ziarn kukurydzy.

Ścisnęło się serce chłopa na widok zupełnie

zmarnowanej pracy, a co gorsza — przepadłej już, jedynej nadziei ocalenia się z nędzy.

Wrócił do domu zbity i bardzo zgnębiony usiadł przed chatą.

Strzała wpatrywał się w tę drobną, zgarbioną postać starca, na której w mroku jaśniał wyraźnie tylko śnieżno-biały wieniec długich, rozwianych w nieładzie włosów.

Głodzikowszczak już był przygotował wieczerzę, lecz nadaremnie do niej przyzywał:

— A pójdźcież — mówił — bo jakieś robactwo nocne i ćmy wpadają do warzy, na nic ją plugawią.

Na wezwanie nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Smutkiem starszych zaraził się i Felek: zaledwie dotknął wieczerzy, odrzucił łyżkę i oddał wszystko Zabojowi.

Wicek późno w noc nie mógł zasnąć, rozmyślał nad tem, jak tu wyżyć na kolonji po takiej klęsce i zupełnem wyczerpaniu zasobów pieniężnych z Rokitnicy: zarówno z gotówki Kobylaka, jak i z resztek, pozostałych po Marcinie Głodzikowskim, prawie już nic nie było we wspólnej kasie.

Nareszcie sen zmorzył Strzałę i zamknął mu czuwaniem znużone powieki. Wystąpiły teraz nadzwyczajne widziadła senne, które udręczyły Wicka bardziej jeszcze, aniżeli bezsenność. Oto, wśród pola kolonji, on, Strzała, Kobylak i Głodzikowszczak zasiewali kukurydzę, a z każdego ziarnka kiełkowała jakaś straszliwa postać djabelska, z czarnym ogonem, iskrzącemi ślepiami i dysząca ogniem. Na całej niwie wzrosły takie przerażające postacie; porwały się naraz, poczęły szaleć, wyć, gwizdać i skakać.

Pochwycony w wir szalony, on także, chcąc nie chcąc, pędził po polu, tratował ziemię i zaledwie mógł ich pochwycić. Już, już miał upaść

pod nogi tych czartowskich postaci, gdy zgóry sfrunął na skrzydłach jakiś biały człowiek i spuścił mu sznur różańca. Wicek chwycił się tego sznura i leciał przez powietrze, a za nim pędziła cała zgraja szatańska z niwy. Biały człowiek czy anioł wiódł go ponad ogromnemi morzami, ponad jakiemiś krajami nieznanemi; czarni zaś ciągle ich ścigali, lecz zostawali wtyle coraz dalej i dalej. Nareszcie Strzała spostrzegł krzyż na wieży kościoła w Rokitnicy, ujrzał chaty chłopskie, otoczone sadami, drogę i rzekę, pola i błonia; obejrzał się za siebie, czarnych już nie było, tylko po wsi uwijało się pełno ludzi w białych kitlach...

Wickowi chciało się teraz śmiać i zarazem płakać z radości, a tak silnie uczucie miotało nim we śnie, że się przebudził. Gdy zasnął, znowu majaczył. Rano pobożnie odmówił pacierz, wyszedł z domu i zaraz spotkał Manoela. Strzała gestami porozumiał się z murzynem, zapraszając go ze sobą na pole, gdzie przy świetle dziennem znowu sprawdzili zniszczenie plonów.

Manoelo patrzał na pole z obojętnością, machnął ręką, jakgdyby chciał powiedzieć:—„Ja to przecież przewidywałem! Czy się opłaci pracować?"

Potem podnosił z ziemi złamane łodygi kukurydzy, oglądał je na wszystkie strony, a to samo czynił i z owocami; wziął jeden wałek, okryty ziarnami, pełnemi mleka, i pokazał odciśnięte na nim ślady zębów.

— *Macacos*!—zawołał, a to znaczyło, że na polu klęskę sprawiły małpy.*)

*) Przyrodnicy dosyć powszechnie utrzymują, że małpy, znane pod nazwą wyjców (Mycetes), nie pustoszą zasiewów kukurydzy, melonów i t. d.; atoli fakt zniszczenia powyżej opisanego miał miejsce na kolonji w stanie Świętej Katarzyny, w okolicach miasta S. Feo de Joinville, gdzie mniejsze lub większe gromady wyjców czarnych (Mycetes niger) nie są

Wicka ogarnęła teraz rozpacz, nie wiedział, jak się ratować, co czynić, aby uniknąć nędzy.

„Ha, co będzie, to będzie! — pomyślał. — Zostawać tu dłużej nie mamy czego. Trzeba się zabrać, iść w świat..."

Było to łatwiej pomyśleć, niż wykonać. Bo jakże się tu zabrać i iść w drogę ze starcem tak niedołężnym, jak Kobylak. Odległa podróż piesza i przy braku wszystkiego niezawodnieby starego zmogła.

Strzale chwilowo i to przychodziło do głowy, ażeby się on sam ratował, bo jeśli wszyscy mają marnie zginąć, niechże się choć jeden ocali. Ale ten pomysł tylko przelotnie postał w głowie Wicka i zaraz zniknął. Onby nigdy nie opuścił biednego starca, którego sobie sam przybrał za ojca.

Pasował się tak chłop sam ze sobą, a był jak skrępowany: nie udawało mu się żadne postanowienie. Zrobił się z tego powodu zły i niejednokrotnie ciężko los swój przeklinał.

Czasem biegał, jak warjat, od chaty na pole i znowu oglądał zniszczone plony, a gdy wrócił do domu, to mu się wydawało, że jeszcze nie wszystko przepadło.

Gdy tak udręczony wyszedł raz z chaty, przybiegł do niego Żabój, merdał ogonem, łasił się, poszczekiwał radośnie, jakgdyby chciał zachęcić swego pana do wycieczki myśliwskiej. Nasunęło to myśl Wickowi, że kto wie, czyby z łowiectwa nie można było wyżyć. Wziął więc strzelbę i w towarzystwie psa puścił się do lasu.

---

rzadkością. Humboldt podaje, jakoby ilość ich wynosiła nieraz 2000 sztuk na jednej mili kwadratowej dziewiczego lasu, który odpowiada warunkom pobytu tej małpy. Wyjec czarny, ma twarz ciemno-brunatną, porost na ciele smołowo-czarny, a charakteryzują go nogi, ogon i broda, która u samca jest dłuższa, niż u samicy. Mieszka on w Paraguayu i południowej Brazylji. O wschodzie i zachodzie słońca gromady owych małp z głębi borów wydają straszliwe wycie.

Idąc, spotkał po drodze Manoela, objuczonego jakimś pakunkiem. Murzyn niósł do miasteczka na sprzedaż kilka mat z rogoży, które żona jego umiała wyrabiać.

Cóż, kiedy i łowy nie udały się teraz Strzale. Zabój ruszył w gąszczach jelonka, zwanego sabulo, do którego Wicek strzelił, ale zamiast jelenia, na miejscu trupem położył Zaboja.

Wracając do domu, Strzała usiadł nad strumieniem wpobliżu owej przepaści, gdzie to Marcin Głodzikowski śmierć był znalazł. Siedział i myślał sobie, że lepiej takiemu, co już jest na tamtym świecie: czy tak, czy owak, zawdy umrzeć trzeba, a przecież ten szczęśliwszy, kto prędzej zakończy oną brazyljańską tułaczkę i niedolę. Wicka ciągnęło coś do przepaści, od dna której jakiś miły chłód powiewał.

Aż tu naraz zaszeleściały liście i wśród ich zieleni zarysowała się czarna twarz murzyna. Manoelo był uśmiechnięty, w jego fizjognomji malowało się szczęście, trzymał w ręku butelkę, a oprócz tego dwie jeszcze butelki tkwiły w obu kieszeniach kaftana. Szedł on ku siedzącemu nad strumieniem Wickowi, przykładał do ust szyjkę butelki, zdawał się mówić:

— Komu jest źle na świecie, a chce zapomnieć o swym frasunku, ten niechaj łyknie z butelki kaszasu!...

Murzyn zjawił się, jak pocieszyciel; przystąpił do Strzały i podał mu zaledwie napoczętą butelkę wódki, którą chłop pochwycił skwapliwie i począł pić kaszas z taką chciwością, jakgdyby chciał duszkiem wszystko wypić. Roześmiał się zadowolniony Manoelo, poklepał Wicka po plecach i czarną twarz swoją przytulił do jego głowy; ale widocznie już sam przebrał był miarę podczas bytności w mieście, bo legł obok Wicka i niebawem zasnął.

Strzale smakowała dzisiaj gorzałka przedziwnie, więc znowu przyłożył do ust butelkę. Dopiero oto był smutny, strapiony, a teraz wszystkie troski zniknęły, jakby ręką odjął. Wickowi świat wydał się innym: było mu dobrze, wesoło, pohasałby może nawet, gdyby miał towarzystwo.

— Dobry kaszas!—mruknął sam do siebie i znowu popił z butelki.

Teraz wydawało mu się, że wszystkie dokoła niego przedmioty są w ruchu: góry i skały podskakiwały, drzewa biły hołupce, niebo ze słońcem kręciło się to na prawo, to na lewo, a strumyk wyśpiewywał bardzo wesołą piosenkę.

Wicek przypomniał sobie dawne czasy, przyszło mu na myśl, jak to raz zaproszono go na wesele do sąsiedniej wsi: weselnicy przechodzili przez miasto Rypin; basista niósł ogromne basy, przywiązane powrózkiem na szyi, i przed każdym szynkiem wyraźnie było słychać z tych basów gruby głos:

„Tu wstąpmy, tu wstąpmy, tu wstąpmy!..."

A dwóch skrzypków zamaszyście rznęło od ucha:

„Nie tu, nie tu, Szymku,
Lepsza wódka w rynku!..."

On, Wicek Strzała, był wtedy drużbą, przy czapce miał jeden kwiatek czerwony, drugi żółty, wziął sobie druchnę, stanął przed kapelą i śpiewał:

„Siedzi wilczek w jamie,
Pokazuje łapę;
Tej kobiecie bieda,
Co ma chłopa gapę."

Inni ludzie z Rokitnicy byli także na tem weselu; była Antoniowa Dudzina, która nigdy nie opuściła ani chrzcin, ani wesela; przypomniał sobie, jak Dudzina wtedy śpiewała.

Ah, jak też to wesoło było wtedy w Rypinie!

ROZDZIAŁ XL

Zakończenie.

Kołomiński, gdy sprawdził bardzo smutne położenie wychodźców polskich w Brazylji, wrócił do kraju i bądź ustnie, bądź w pismach miejscowych przedstawiał obrazy straszliwej nędzy emigrantów.

Niezależnie od tego, cała prasa europejska wrzała już oburzeniem, a rządy przedsięwzięły różne energiczne środki, ażeby powstrzymać emigracyjną falę, zdążającą ku portom Brazylji.

W Warszawie grono zamożnych obywateli niebawem zgromadziło fundusze i ze znaczną ilością pieniędzy wyprawiono za Atlantyk dwóch delegatów, ażeby ci ułatwili, o ile można, powrót do kraju nieszczęśliwym ziomkom.

Delegaci nie mieli wiele trudu w wyszukiwaniu smutnych ofiar złej woli agentów i zgubnej dla emigrantów polityki rządu brazyljańskiego.

Właśnie podówczas koloniści Polacy ze stanów Rio Grande do Sul i Świętej Katarzyny rzucali precz daną sobie ziemię, a tłumy ich dniem i nocą garnęły się ku Rio de Janeiro.

— Zawdyć to z Ryjo bliżej do krajul—mówili ci biedacy.

Niedostatek wszelkiego rodzaju, choroby zmniej-

szyły o połowę ilość wychodźców, a i tak pod koniec kwietnia 1891 roku około dwóch tysięcy nędzarzy znajdowało się na bruku stolicy Brazylji. Iluż ich jeszcze było w drodze, ilu się tułało po większych i mniejszych portach!

Szli pieszo poprzez dziewicze lasy, znękani, schorowani, głodni i obdarci, zostawiając po sobie ślady na ziemi w mogiłach. Szli tak, umierając, i poto, aby umrzeć.

Matki i ojcowie nieśli na rękach dzieci wybladłe, zgłodniałe, spieczone przez żar słoneczny. Szepty modlitw, dźwięki nabożnych pieśni rozlegały się wśród gromad tych tułaczów; ale niebo zdawało się nie patrzeć na ich niedolę, nie słyszeć ich skarg i jęków.

Na nieszczęście, w Rio de Janeiro wybuchła żółta febra, choroba straszniejsza od cholery, i znowu poczęła brać swoją dziesięcinę z polskich emigrantów. Kiedy człowiek umiera, jest to zawsze fakt smutny dla rodziny i danej gromady ludzi; ale kiedy umiera nędzarz na obcej ziemi, trudno widzieć łzę, która zrosi jego mogiłę. On jest ciężarem dla gromady i lżej bez niego.

Podjeżdżał wóz z drewnianą skrzynią, słudzy grobów, jak oprawcy, żelaznemi hakami porywali zaraźliwe trupy, pakowali je razem do owej skrzyni, a ze skrzyń wrzucano we wspólny dół po dwudziestu i trzydziestu nieboszczyków razem.

Któżby się ważył powiedzieć nad takim grobem:—„Oby wam lekką była ziemia Brazylji!"...

Zaprawdę, w tym razie śmierć była litościwsza, niż ludzie. Ci, co zostali jeszcze przy życiu, wynędzniali, przerażeni i zrozpaczeni, powinniby zazdrościć umarłym. A oni jeszcze, jeszcze niezupełnie stracili nadzieję...

Znaleźli się przedsiębiorcy, którzy zaczęli handlować: jedni wynajmowali biedaków do pracy,

a drudzy znowu polowali na to, ażeby, o ile się tylko da, wydrzeć im zarobki za pracę.

Ustawiono więc za miastem baraki z tarcic, gdzie każdy emigrant za opłatą znajdował schronienie. Trudnoby było gdzieś na ziemi znaleźć bardziej przerażającą siedzibę nędzy ludzkiej: takie baraki przedstawiały widok wstrętniejszy, aniżeli nasze chlewy dla zwierząt domowych. W błocie, wśród śmieci i robactwa, w atmosferze cuchnącej, ludzie gnili tam za życia.

Około baraków pojawiły się stragany i kramy, gdzie przekupnie starali się sprzedać nędzarzom takie zapasy żywności, których nigdzie indziej zbyć niepodobna było.

Zaraza znajdowała ze wszystkich stron dostęp i zbierała też nadzwyczajnie sute żniwo.

Żywo zabiły serca emigrantów, kiedy pewnego dnia w barakach zjawił się między nimi jeden z owych wysłanych warszawskich delegatów.

Cóżto była za nadzwyczajna radość biedaków, kiedy im oznajmiono, że niektórzy z nich będą mogli wracać do rodzinnego kraju.

Oniby wszyscy co do jednego pragnęli wyrwać się z tego piekła, ale, niestety, zebrane fundusze nie wystarczały na opłacenie kosztów tylu ludzi. Przytem delegaci mieli obowiązek stosowania się do danej im instrukcji i musieli dobierać wychodźców z różnych powiatów kraju, tak, ażeby cały naród dowiedział się z ust naocznych świadków, co to jest nędza brazylijska. Przecie takie żywe podanie oddziała zapewne i nawet najlekkomyślniejszym odbierze chęć puszczania się za ocean, lecenia na złamanie karku.

*

Okręt niemiecki, należący do towarzystwa północnego Lloyda, stał na kotwicy w porcie Rio de

Janeiro. Od samego rana ładowano nań węgiel kamienny, a wszystkie gazety miejscowe ogłosiły, że okręt ten o godzinie trzeciej po południu wypłynie z portu do Europy.

Pomiędzy emigrantami w barakach tego dnia był ruch niezmierny, gdyż przeszło dwustu czterdziestu wychodźców posiadało zakupione przez warszawskich delegatów bilety na powrotną podróż do rodzinnego kraju.

Razem z owymi szczęśliwymi, na których padł wybór delegatów, miały także powracać dwie kobiety, dobrze nam już znane z losów swoich: Mikołajowa Dąbkowa i Mateuszowa Dzwonkowa.

One się nie dopraszały o bezpłatne bilety, ponieważ Dąbkowa odzyskała swoje pieniądze i na własny koszt zabierała Dzwonkową z dziećmi.

Niektórzy z emigrantów byli tak dalece niecierpliwi, że już o godzinie szóstej rano na rybackiej łodzi popłynęli z brzegu do okrętu, byleby jak najprędzej porzucić raz tę opłakaną ziemię, która zdaleka tylko wydawała się być rajem. Oh, jak to dobrze wyrwać się z Brazylji!

Mikołajowa i Mateuszowa, mając dosyć jeszcze wolnego czasu, postanowiły zaopatrzyć się na drogę w różne potrzebne rzeczy i przeto udały się na wielki plac targowy.

Ciekawie wygląda taki brazyljański rynek, coś w rodzaju targu za Żelazną Bramą lub na Starem Mieście. Pełno tutaj naczyń z żywemi i już rozpłatanemi rybami morskiemi dziwacznych kształtów; wszędzie leżą wielkie raki — langusty, lub stosy krabów, świeżo złowionych. Stoją tu ogromne kosze i stoły pełne ananasów, bananów, brzoskwiń, owoców, zwanych zuputikaba, melonów, pomarańcz, wierzchołków z młodych palmit, okrzesanych łodyg trzciny cukrowej. Nie brakuje, naturalnie, mąki manioki, kukurydzy, czarnej fa-

soli i t. d. A przy każdym straganie wiszą klatki z ptakami: pogwizduje tu sabia, ruchliwy curio, śpiewa nieustannie canario da terra, skacze z żerdki na żerdkę pięknoczuby kardynał. Skrzeczą lub wywołują rozmaite portugalskie wyrazy zielone papugi, za nogi łańcuszkami przykute do grzędek. Gdzie indziej znowu wywraca koziołki przez wpół przywiązana na sznurku małpeczka. Wszystko to na sprzedaż.

Baby kupowały to i owo dla siebie, dla dzieci; ciekawie przyglądały się straganom. Wtem przeszła koło nich jakaś elegantka w pięknej sukni, w długich jedwabnych rękawiczkach, z barwną parasolką w ręku, a za nią szła służąca murzynka, biało i niebiesko ubrana.

— Mateuszowa, spojrzyjcieno, jaka też ta pani wykapanie podobna do Maryny Grzędzianki! — rzekła Dąbkowa do swej towarzyszki.

— O, jakże ma być podobna, kiej to rychtyk ona sama! — odrzekła Dzwonkowa i niebawem podeszła do straganu, gdzie elegantka targowała u przekupnia papugę.

— Z przeproszeniem, czy też pani nie z naszego kraju? — zapytała baba.

— Aaa, Mateuszowa! Jakże się macie? Cóż tu robicie?

— Rety, a toć widzę naprawdę Marysia Grzędzianka z naszej Rokitnicy! O rany, taka się pani zrobiła z Marysi, że aż w ocy bije patrzeć!... A toć my dzisiaj odjeżdżawa do kraju przez tę biedę, a drugiemu człowiekowi widno szczęśliwie się tu wiedzie w Bryzolji.

— Odjeżdżacie? Dobrze robicie, moi kochani! W Brazylji nie każdemu lubuje. Ja co innego; mogłam już z pięć razy wyjść zamąż, ale nie chcę tego. Wiecie wy, Mateuszowa, że sobie rady nie mogę dać z zalotnikami! Jeden Polak wy-

kradł mię z kolonji, to, powiadam wam, u nóg mi ciągle leżał i skamlał, żebym z nim poszła do ołtarza. Od niego wykradł mnie inny, bardzo bogaty człowiek, a teraz trzeci, jeszcze bogatszy pan, daje mi tyle pieniędzy, ile sama zechcę... Powiedzcie też tam, że mi tutaj lepiej, aniżeli dziedziczce rokitnickiej!

— No, moi ludzie! widzicie! A niby co też tak panna Marysia robi?...

— Co ja robię? — odrzekła z niejakiem wahaniem Grzędzianka. — Nic nie robię, podobam się i przez to ludzie o mało mię na rękach nie noszą...

— I tak darmo pannie Marysi dają pieniądze?...

— Pójdźcież, Mateuszowa! — zawołała Mikołajowa, która się właśnie zbliżyła i słyszała koniec rozmowy. — Czas na nas setny, a niema się co zadawać z taką!... Ona tu musi nie robi nic godnego, skoro jej tak dobrze idzie!...

Zabrały się baby i poszły, a Grzędzianka zaczęła się dalej targować o papugę, choć tylko kilka wyrazów portugalskich umiała.

*

Pijany Wicek Strzała, wspominając szczęśliwe czasy w Rokitnicy, siedział nad strumieniem obok śpiącego murzyna, pośpiewywał sobie, pomrukiwał, aż nareszcie padł na ziemię i wnet chrapał na wyścigi ze swoim towarzyszem.

Była już dobra noc, kiedy go Manoelo obudził i, ukazując gwiazdy na niebie, dawał znak, że pora wracać do domu.

Ociężały, rozespany, jakiś nieswój, podniósł się Wicek, zawiesił strzelbę na ramienin i poszedł do domu. Tutaj zastał jeszcze przy ognisku czuwającego Kobylaka, odmawiającego, według zwyczaju, pacierze.

Kiedy starzec ujrzał przed sobą Strzałę, zawiesił na chwilę modlitwy i rzekł cichym głosem:

— Czekam na ciebie tylko, Wicusiu, bo chcę cię pożegnać.

— Jakto pożegnać? — spytał zdziwiony Wicek.

— A tak, pożegnać... Bo, widzisz, ja tu dłużej z wami już być nie mogę... Trza iść do Rokitnicy!

— I poco takie próżne gadanie, ojcze?

— Wiem ja dobrze, co mówię, nie ucz mię!— odrzekł Kobylak.—Jakem miał objawienie, żebym koniecznie poszedł, to iść muszę i nikt mię nie zatrzyma...

— Którędy!... Gdzie Bryzolja, gdzie Rokitnica! Każdyby poszedł, żeby łatwo było.

— Widzisz, Wicusiu, zdrzemnąłem się kęs tam w swojej kapliczce, śpię sobie, a tu przychodzi Łucka, pochyliła się na mojem ramieniu i do ucha mi mówi:—„Bartuś, czego ty siedzisz w Bryzolji? Zabierz się zaraz i idź do Rokitnicy!"—Patrzę się na nią, bo gdzie mnie staremu ruszać w dal taką, a ona znowu powiada:—„Mówię ci, zbierz się i idź! Niczego się nie bój, Boga weź tylko na pomoc".— „Kiedy tak, to pójdę" — odrzekłem i ona zaraz odeszła, musi do nieba, bo jasność od niej biła... Skoro mi opiekę boską zapewniła, to się nie mam bać czego i idę.

— Nie wiecie to, ojcze, że droga idzie przez ogromną wodę? Tam trzeba płynąć na okręcie.

— A co znaczy taka woda, jak jest wola Boga? Bez tego, to człowiek i na okręcie nie dopłynie... No, pożegnaj się ze mną, Wicusiu, bo ja przed świtaniem w podróż pójdę!...

— Ej, różności wam takie dziwne przychodzą do głowy! Idźcież oto lepiej spać, to jutro pogadamy, bo i ja tu nie mam co robić!

Kobylak nic nie odrzekł, tylko ręką uderzył się

w piersi i szeptał:—„Boże, bądź miłościw grzesznej duszy mojej"...

Nazajutrz rano nadaremnie Głodzikowszczak przyzywał Bartłomieja do śniadania; nareszcie pobiegł do kapliczki, gdzie zastał starca, ale już— martwego.

Strzała, pogrzebawszy zwłoki Kobylaka, zabrał Felka i opuścił kolonję. W połowie czerwca roku 1891-go przybyli do Rio de Janeiro, gdzie zamieszkali w barakach za miastem, a jakiś przedsiębiorca wynajął ich zaraz jako robotników przy budowie fabryki: noszą piasek, kamienie, wodę, z zarobku tego zaledwie nędznie wyżyć mogą.

Takie były losy emigrantów z Rokitnicy.

KONIEC

OBJAŚNIENIA WYDAWCY

W roku 1888 zniesiono w Brazylji niewolnictwo. Z tego powodu kraj znalazł się w sytuacji krytycznej, bo zbrakło rąk do pracy, zwłaszcza na plantacjach kawy, która stanowiła główne bogactwo Brazylji. Sytuację pogarszało słabe zaludnienie olbrzymich obszarów brazylijskich.

„Rąk do pracy i ludzi do kolonizacji" — stało się hasłem rządu brazylijskiego. Po import ludzi Brazylja zwróciła się do Europy. Rząd Brazylji i poszczególnych jej stanów wszedł na drogę emigracji subwencjonowanej czyli dostarczyciele towaru ludzkiego byli odpowiednio przez rząd Brazylji opłacani. W roku 1890 zawarł rząd Brazylji umowę z niejakim Joachimem Caetano Pinto na dostarczenie do Brazylji 100 000 kolonistów, płacąc mu od głowy stokilkadziesiąt franków. Powstał więc proceder, a wkońcu nawet rodzaj przemysłu, mający na celu dostarczanie żywego ładunku krajom imigracyjnym. Wychodźców przewoziły za Ocean przeważnie statki hamburskich i bremeńskich linij nawigacyjnych. Większość tych emigrantów stanowili Polacy. To też badacz spraw emigracyjnych, J. Okołowicz, powiada, że niemieckie przedsiębiorstwa przewozowe swój rozwój zawdzięczają emigrantom polskim. A zaś rząd brazylijski, subwencjonując emigrację, pobudził towarzystwa okrętowe do rozpętania gorączki brazylijskiej. Gorączka ta czyli masowe wychodztwo leżała w interesie kompanij okrętowych. Emigranci—był to żywy ładunek, za którego przewóz płacił rząd brazylijski. Rząd pruski był przeciwny emigracji masowej Niemców do Brazylji. Towarzystwa okrętowe w pogoni za zyskiem zarzuciły więc sieci na ziemie słowiańskie, a w szczególności polskie. Agitacja Santosa, generalnego kon-

sula brazylijskiego w Lizbonie, rozpuszczającego po Polsce listy, drukowane w języku niemieckim, pełne obietnic, zresztą fałszywych, głoszących prawdziwy raj na drugiej półkuli, oraz akcja przedsiębiorstw okrętowych, działających na ziemiach polskich przez ajentów i naganiaczy emigracyjnych, rozpętały pierwszą słynną gorączkę brazylijską, która wybuchła na początku roku 1890. W ciągu roku porwała ona za Ocean kilkadziesiąt tysięcy Polaków. Był to wyjazd masowy. Zatrwożył on społeczeństwo polskie, bo nie był ani planową emigracją zarobkową, ani celowo zorganizowanem osadnictwem. Przytem exodus ten wpływał na zmniejszenie się liczby ludności polskiej, co w każdym z trzech zaborów nie było wskazane ze stanowiska polskiej polityki narodowej. Dlatego też agitacja, werbująca emigrantów do masowego wyjazdu, była tolerowana przez rząd rosyjski. A przybierała ona takie rozmiary, że nawet zamożni włościanie sprzedawali swe gospodarstwa, aby się dostać do przyobiecanego raju brazylijskiego. W podróży zdani na łaskę losu i pijawek emigracyjnych, w strasznych przewożeni warunkach, dostawali się wreszcie do—piekła brazylijskiego. Rząd brazylijski był zupełnie nieprzygotowany i bez poczucia jakiejkolwiek odpowiedzialności. Brakowało miejsc w portach, w punktach rozdzielczych, brakowało baraków, nie było terenów wyznaczonych. Rozgoryczeni niezliczonemi obietnicami, zdani na niełaskę administracji, niedołężnej i przekupnej, trapieni nędzą warunków okropnych, chłopi polscy szli ostatecznie na plantacje kawy, co było właśnie życzeniem gorącem plantatorów. Niewolnictwo ludzi czarnej skóry zostało zniesione, ale pozostało niewolnictwo białych—chłopów z Polski. Nie było wówczas trybunału na kuli ziemskiej, któryby stanął w obronie ich praw ludzkich. Zdani byli na łaskę srogiego losu i własnego nieszczęścia.

Wieści, dochodzące o warunkach, w jakich znaleźli się nasi emigranci w Brazylji, jako też owe wychodztwo masowe i dzikie zatrwożyło społeczeństwo polskie. Postanowiono zbadać—„jaką podstawę mają obietnice ajentów emigracyjnych". Inicjatywę dał *Kurjer Warszawski*, najpoważniejszy wówczas dziennik polski. Zdecydowano wysłać delegata społeczeństwa w charakterze korespondenta *Kurjera Warszawskiego*, któryby na miejscu w Brazylji zbadał warunki. Zaproponowano tę misję *Adolfowi Dygasińskiemu*, który do Brazylji „nie wyjechał... jako turysta-podróżnik ani literat, lecz jako obywatel kraju swego".

Obecnie podróż do Brazylji nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa. I nawet, jak pisze inny znów badacz spraw emigracyjnych, dr. M. Szawleski—„mamy wyjazdy przygodnych delegatów, którzy najczęściej z pluszowego siedzenia w wagonie lub na okręcie badają warunki klimatyczne, glebę, zarobki, pomieszczenie, opiekę społeczną lub karmią się miłemi komplementami w gabinetach wyższej biurokracji". Ale przed laty niemal czterdziestu była to—wyprawa. Pojechał na nią *Adolf Dygasiński* „z namaszczeniem misjonarza, który protestuje przeciw wszystkiemu, co jest podłe". W liście do żony, pisanym na okręcie dnia 25 listopada roku 1890 w wigilję przybycia do Rio Janeiro zauważa: „...Marny Polak, pragnę zaprotestować publicznie przed całą cywilizacją świata przeciw ohydnej robocie handlowania naszym biednym ludem... (przeciw sprawom), które się wloką poprzez całą ludzkość, którą się okuwa w kajdany w imię handlu kawą, bawełną, cukrem i t. d.".

Przyjąwszy propozycję *Kurjera Warszawskiego*, wyjechał *Dygasiński* w tajemnicy, nawet przed rodziną, przez Toruń do Bremy. Z Torunia jechał 4-tą klasą razem z emigrantami. Wraz z nimi wsiadł na parowiec *München*, należący do towarzystwa północno-niemieckiego Lloyda, i z Bremerhaven odjechał do Brazylji 5 listopada r. 1890 w towarzystwie grupy emigrantów, liczącej 2500 osób. To, co widział i czego doświadczył w podróży, musiało wpłynąć nietylko na jego odczucie nędzy ludzkiej, ale i na twórczość artystyczną.

Pierwszego dnia pobytu na okręcie notuje dn. 5 listopada r. 1890 w dzienniku podróży: „Zapewne ułożę powieść". W liście do St. Witkiewicza dn. 13.XI pisze: ...„Zbieram wyborny materjał do przyszłej powieści" a w pięć dni potem notuje w dzienniku podróży: „Piszę powieść *Na złamanie karku*, opartą na stosunkach emigracji..." W liście pisanym na okręcie *München* do żony dn. 25 listopada, wspomina, że ma „już dziesięć rozdziałów powieści", a zaś w liście, datowanym 1-go stycznia r. 1891 z Rio Janeiro, a pisanym do Witkiewicza, nadmienia: „Masę notat zebrałem i napisałem powieść *Na złamanie karku*".

Ale powieść ta nie była wtedy jeszcze w stanie zupełnie wykończonym, do druku. W spuściźnie, przechowanej przez córkę, zachował się mały (8 cm. na 12), w skórę oprawny notes, w którym powieść owa, pisana ołówkiem i atramentem, rozpoczynała się rozdziałem X-m, a urywała się na rozdziale XXIII. Nadto zachowały się luźne kartki tej powieści, począwszy od

rozdziału XXIV-go do końca. Jest to więc bruljon powieści, różniący się od ostatecznej redakcji, zarówno w szczegółach, jak i pod względem wykończenia stylistycznego. *Dygasiński* napisał więc ten utwór dopiero po powrocie z Brazylji. Istotnie, w liście do St. Witkiewicza, wysłanym z Zagród, siedziby swego ojca, a datowanym dn. 7-go marca r. 1891, notuje: „...pędzę z powieścią *Na złamanie karku*, której pisze XXII rozdział"—w bruljonie—a wreszcie w liście do tegoż, datowanym 29 maja: „...*Na złamanie karku* skończone..."

Na tle wyprawy brazylijskiej napisał *Dygasiński* jeszcze nowele *Klawiszewski i Rózia* (druk. 1891), *Opowiadanie Kuby Cieluchowskiego o emigracji do Brazylji* (1892), *Wigilja w Superagui* (1901), oraz nadsyłał do „Kurjera Warszawskiego" korespondencje, które poruszyły prasę europejską i amerykańską, zwracając uwagę opinji społecznej na emigrację do Brazylji. Korespondencje te ukazały się także w osobnem wydaniu książkowem p. t. *Listy z Brazylji Adolfa Dygasińskiego, specjalnego delegata „Kurjera Warszawskiego"* (1891).

Autograf utworu *Na złamanie karku* nie jest znany. Powieść była drukowana po raz pierwszy w „Kurjerze Warszawskim" w r. 1891. Druk jej rozpoczęto w № 69 z dn. 10 marca, ukończono zaś w № 208 z dn. 30 lipca. Poczem w roku 1893 ukazało się wydanie książkowe, nakładem „Kurjera Warszawskiego" i S. Lewentala, druk S. Lewentala, stron 374, w jednym tomie.

Powieść *Na złamanie karku* w wydaniu niniejszem jest przedrukiem wydania z r. 1893, przyczem zrewidowano tekst i poprawiono błędy korekty.

Nazwy miejscowości, rzek, gór itp. w Brazylji skontrolowano na podstawie słowników geograficznych Rittera, Andreesa, M. N. Bouillet'a oraz dwu monografij: 1) J. M. de Macedo „Geographische Beschreibung Brasiliens", tłum. z port., Lipsk 1873; 2) N. A. Funke „Brasilien im 20 Jahrhunderte", Berlin, 1927. Rzecz zdawała się o tyle konieczna, że nazwy zmieniają się w Brazylji dosyć często i pod tym względem panuje duży nieporządek.

Nadto uskuteczniono poprawki następujące:

W t. I-ym:

Na str. 79, w. 15 od g., po słowie „zmartwychwstała" dano kropkę zamiast średnika; na str. 91, w. 9 od g., po słowie „sutereny" zamiast przecinka postawiono średnik.

W t. II-im:

Na str. 23, w. 5 od g., „Breina" na „Bryma"; na str. 27, w. 11 od d.—„miałyby" na „miałaby"; na str. 28, w. 4 od g., „ową" na „ową"; na str. 55, w. 2 od d. „przyświeca" na „prześwieca"; na str. 84, w. 2 od g., „wysłał" na „wydał"; na str. 93, w. 16 od g., po słowie „mężczyzną" wstawiono wyraz „ozdobionym"; na str. 104, w. 18 od d., „podobno" na „podobnie"; na str. 106, w. 9 od g., „zwraca" na „zwracał"; na str. 110 w. 1 od g., „ani się nie domyślał" na „ani się domyślał".

* * *

Str. 5, w. 1 od g., t. I. ...Rokitnica — wieś w rypińskim, oddalona 8 klm. od Brodnicy, ongi w Król. Kongresowem, przy samej granicy pruskiej.

Str. 11, w. 4 od d. ...Santos — osoba autentyczna, generalny konsul brazylijski w Lizbonie. „Brazylja jest to specjalność Portugalji, a w niej Santosa, tak mi powiedziano w Berlinie" — pisze Dygasiński w „Listach z Brazylji". Santos był to główny agent, organizujący propagandę, werbującą emigrantów.

Str. 25, ...Adwokat czyta ulotkę o Brazylji: tekst ulotki autentyczny. Ulotki takie Santos rozpowszechniał po Polsce przez naganiaczy.

Str. 60, w. 13 od g. ...Ksiądz Prachar — osoba autentyczna; wspomina o nim Dygasiński i w „Listach z Brazylji": ...Katolicki ksiądz Prachar cieszy się wielką sympatją między chłopstwem... Nikogo nie zostawia bez pocieszenia... jestem zbudowany jego chrześcijańską dobrocią... dobry człowiek". (str. 25).

Str. 64. Opisany wypadek nadesłania ofiar przez bremeńczyków zdarzył się rzeczywiście. „Społeczeństwo bremeńskie zachowuje się szlachetnie wobec emigrantów. Na wezwanie k ótkie księdza Prachara w „Bremer Nachrichten" z 1 listopada o trudnym stanie emigrantów, pośpieszono z ofiarami..." (*A. Dygasiński* „Listy z Brazylji", str. 24)

Str. 114, w. 1 od d. ...Cachas, a właściwie Cachaça — czyli wódka z trzciny cukrowej; ulubiony napój murzynów i Włochów w Brazylji.

Str. 118 ...wyspa Flores. — Jest to Wyspa Kwiatowa (Ilha das Flores) w zatoce Rio de Janeiro. Baraki na tej wyspie były dawniej więzieniem dla przywiezionych z Afryki murzynów-niewolników. W parę lat jeszcze po pobycie Dygasiń-

skiego w Brazylji, w styczniu r. 1896 trzymano tam „do 5 tysięcy przybyszów, po największej części Polaków i Rusinów... przez 5 miesięcy w największym brudzie... oświadczając bez ogródki, że pozostaną tam tak długo, aż wyrzekną się zamiaru udania się do Parany, a zdecydują się do pracy w plantacjach kawy w Sao Paolo..." (*Dr. L. Caro* „Emigracja i polityka emigracyjna", Poznań 1914, str. 219).

Str. 130, w. 5 od g. ...port Desterro. Obecnie zwany Florianopolis, ok. 35 tys. mieszk., stolica stanu S. Catharina; w. 9 od g. ...Porto Alegre. Stolica stanu Rio Grande do Sul, około 180 tys. mieszk.

Str. 133, w. 10 od d. ...Porto Bello — leży poniżej miasteczka portowego Itajahy, zazwyczaj na mapach nie oznaczone; w. 7 od d. ...Rio das Tijucas — zwykle na mapach nieoznaczone. Zatoka, do której wpada ta rzeka, leży tuż koło przylądka, oznaczonego na b. szczegółowych mapach, jako przyl. São Sebastião (Tijucas).

Str. 142, w. 3 od d. i dalej: ...Sipo (po port. pisze się Sipao). Roślina pasorzytna, która się wpija w pień drzewa, zrasta się z niem niejako, ssie je i po linji ślimakowatej wspina się wgórę, a potem od szczytu spada nadół w sznurach różnej grubości.

Str. 145, w. 1 od g. ...dojs Kasias — znaczy: dwa Kaszasy.

Str. 146, w. 4 od g. ...trejs Kasias — znaczy: trzy Kaszasy; w. 2 od d. ...obrigado — znaczy: dziękuję.

T. II., str. 19, w. 5 od g. in. ...Blumenau—kolonja niemiecka w stanie Św. Katarzyny, założona w r. 1850 nad rzeką Itajahy przez dr. Hermana Blumenau, liczy około 50 tys. mieszkańców, w tem około 30 tys. Niemców. Miasteczko Blumenau liczy około 20 tys. mieszk. W okolicy są kolonje polskie.

Str. 27, w. 15 od d. ...Baba piekut—baba dokuczliwa, umiejąca dopiec.

Str. 35, w. 10 od g. ...Imba-upa. W Brazylji pospolite, ale piękne drzewo (Cecropia L.) z rodziny palm chlebowych, daje sok mleczny; w. 12 od d. ...ticu-ticu—ptaszek w Brazylji, nazwa przypomina śpiew jego.

Str. 40, w. 13 od d. i dalej ...Caboclos. Tak nazywają w Brazylji metysów, potomków białych i Indjan. W Paranie osadnicy polscy nazywają ich Kaboklami.

Str. 40, w 7 od d. ...San Francisco. Port brazylijski, niedaleko Joinville, w stanie Św. Katarzyny.

Str. 46, w. 7 od g ...z pod Laguny. Małe miasteczko portowe w stanie Św. Katarzyny.

Str. 51, w. 11-12 od d. ...aptekarską syrengę — nazwa pogardliwa strzelby, znaczy: aptekarską strzykawkę.

Str. 54, w. 12 od d. ...beijaflor — koliber (Heliotrix auriculata), którego nazwa znaczy: całujący kwiaty.

Str. 56, w. 6 od d. ...kowale — ptaki te (Chasmarynchus nudicollis) należą do grupy dzwońców.

Str. 58, w. 1 od g. ...ogniowe oczko—ptaszek ten (Pyriglena domicella) jest zawziętym tępicielem mrówek.

Str. 63, w. 12 i 11 od d. ...pieczona jacutinga—gatunek bażanta; ...wędzona anta—anta czyli tapir.

Str. 100, w. 9 i niżej: ...arapongi — ptaszki brazylijskie (Chasmarynchus variegatus) wielkości gołębi, tzw. dzwońce; guachos—ptak (Steatornis caripensis) lasów brazylijskich o głosie podobnym do głosu naszego dzięcioła pstrego; bentevi—w Brazylji nazywają go „ben-te-vii", w Montevideo i Buenos Aires „bien-te-veo" czyli: dobrze cię widzę; ptaszek dosyć drapieżny (Saurophaghus sulphuratus); santa-su — śliczny ptaszek wielkości naszego gila: sabja—pospolity ptaszek (Mimus lividus) brazylijski, wielkości szpaka, ma śpiew melodyjny; tukan-pokan — należy do rodziny pieprzojadów (Ramphasti), o bardzo wielkim, niekształtnym dziobie, zbliżony do papug.

Str. 124, w. 7 od g., ...Kołomiński z Warszawy — czyli Dygasiński. W dzienniku podróży notuje autor dn. 1 listopada, że w Bremie odwiedził pastora Schlössera, członka Tow. opieki nad emigr. pod wezw. Św. Rafała Pastorowi temu powiedział kto jest i że podróżuje incognito, zapisany w hotelu jako Kołomiński. Podyktowane to było względami ostrożności przed ajentami emigracyjnymi. Wybór pseudonimu pod wpływem zapewne skojarzenia Rybienka, skąd Dygasiński wyjechał do Brazylji, z pow. leżącym koło Mińska (Mazowieckiego).

Str. 132, w. 15 od d. ...indaja, bagna. Rodzaje palm brazylijskich.

Str. 149, w. 5 od d. i dalej ...mit o tajemniczym jeźdzcu... Tym jeźdzcem tajemniczym był Adolf Dygasiński, który objechał Stan Św. Katarzyny i Parane, gdzie były zakładane kolonje polskie. „Przybyłem do Brazylji—pisze w swej korespondencji do „Kurjera Warszawskiego"—tylko poto jedno, aby się naocznie i bez żadnego uprzedzenia przekonać, co za podstawę mają nadzieje tysiącznych tłumów naszego ludu szu-

kającego polepszenia bytu materjalnego tak daleko, tak bard o daleko od kraju." (*Listy z Brazylji*, str. 57). W swych korespondencjach, a potem w utworach beletrystycznych przedstawił niedolę naszych emigrantów, płynącą z braku opieki nad niemi, z wyzysku ludzi nieuczciwych, żyjących z tych nędzarzy i niedołęstwa administracji brazylijskiej. Ale na sprawę emigracji patrzył głębiej i poglądowi swemu dawał wyraz w listach prywatnych. „Chłop polski na obczyźnie, rzecz dla mnie nadzwyczajna; nie miałem pojęcia, aby ten barbarzyńca miał takie zapasy wyobraźni, czuł w sobie nieświadomie taki ogrom siły, iż bez grosza często, boso, w dziurawej kapocie, z kupą dzieci i baba, rzuca się na najśmielsze w świecie przedsięwzięcia... (*w liście do nt. Sygietyńskiego* z dn. 6 list. r. 1890). „Chłopy są tu kapitalne... buntują się aż strach przeciw dawnym swym panom... Cóż chcesz, oni ojczyznę zrobią: wyszło ich do Brazylji i Argentyny około 70 tys... Zalewajmy Brazylię, skoro w stosunkach europejskich wypłynąć na wierzch nie można! (*w liście do St. Witkiewicza* 13 listop. r. 1890).

Badając warunki, w jakich znajdowali się nasi emigranci, miesiąc czasu przebył w puszczy. W tych wertepach spotkał chłopów polskich, rozpaczających nad swoim losem, bo „zaprowadzono ich w takie pustki, gdzie tylko ptaki i Niemcy dolatują... Wtedy przemówiłem—pisze—pierwszy raz w życiu, płacząc wolny i niczem się nie krępując. Był to wieczór straszny... potem oni mię wzięli za Mojżesza, który sobie nie życzy, aby lud jego jadł banany, bo przywykł do kluchów żytnich, zrobili bunt i pierzchnęli. Ja ich tylko zachęcałem, aby budowali nową Polskę." (*w liście do St. Witkiewicza* 1 stycznia r. 1891 z Rio de Janeiro).

Liczba Polaków osiadłych w Paranie dochodzi obecnie do 85 tys. (*Okołowicz* „Wychodźtwo i osadnictwo polskie przed wojną światową", 1920, str. 172). W całej zaś Brazylji jest ich przeszło 100 tys. (*R. T. Pierre*. „Le Brésil économique", L'Information, 22-XI-1922.)

Spotykany często w geograficznych nazwach brazylijskich pierwiastek Pará znaczy rzeka, a zaś przyrostek guaçu—wielka.

126192/9/22

V 30—

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

106407

Biblioteka WSP Kielce
0149281